



Ali-Baba



ZYGMUNT ZEYDLER-ZBOROWSKI

W KRĘGU PODEJRZENIA

ZEYDLER-ZBOROWSKI ZYGMUNT

**W KRĘGU
PODEJRZENIA**



ROZDZIAŁ I

Najwyższy wymiar kary.

Borzycki wolno schodził w dół, kłaniając się z roztargnieniem napotykanym po drodze znajomym. Sam nie wiedział dlaczego, ale nie był dzisiaj z siebie zadowolony. Nie cieszył się nowym sukcesem. Dźwięczały mu w uszach słowa obrońcy: „Nie zapominajmy o tym, że każdy z nas może się kiedyś znaleźć na ławie oskarżonych...” Ciągłe jeszcze miał przed oczami mizerną, otepiałą twarz tego chłopaka. Robił takie wrażenie, jakby nie rozumiał, o co właściwie chodzi.

Najwyższy wymiar kary.

Na półpiętrze Krzypiński wyciągnął rękę na powitanie. — Jak się masz, Stachu? Brawo, gratuluję! Twoje przemówienie było znakomite. To będzie szlagier roku 1961! Nie mam zamiaru prawić ci komplementów, ale naprawdę dziwię się, że jeszcze znajdują się adwokaci, którzy podejmują się obrony, kiedy ty wnosisz oskarżenie. Ale, ale... chciałbym z tobą któregoś dnia chwilę pogadać. Kiedy będziesz miał czas?

— Zadzwoń do mnie po niedzieli.

Krzypiński raz jeszcze potrząsnął dłonią przyjaciela i z zadziwiającą jak na swą tuszę szybkością pobiegł na górę. Znany był z tego, że nigdy nie jeździł windą.

Najwyższy wymiar kary.

Borzycki dopiero na dole przy szatni zdjął prokuratorską togę. Włożył jesionkę, z pedantyczną dokładnością zapiął wszystkie guziki i nie spiesząc się wyszedł przed gmach sądu.

Na ulicy dogoniła go Ewa.

— Tatuśku... jesteś wspaniały. Twoje przemówienie było fantastyczne. Szczerbiński zupełnie wysiadł ze swoją mową obrończą. To, co mówił, wypadło tak blado, że w ogóle...

Dumna jestem z ciebie, tatusiu.

— Dumna?

— Oczywiście. Jesteś sławnym prokuratorem. Nazywają cię postrachem świata przestępczego. Wiesz co? Dzisiaj się zdecydowałam. Ja także będę prokuratorem.

Spojrzał na nią zamyślony. Nie mógł sobie wyobrazić tej niezwykle wrażliwej dziewczyny w roli oskarżyciela. Wiedział jednak, że na nic się nie zda odwozić ją od tego zamiaru. Wziął ją pod rękę i spytał:

— Nie wolisz bronić ludzi?

Zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

— Nie. Będę prokuratorem tak jak ty, tatusiu. Będę walczyła ze złem, będę ścigała złodziei, chuliganów i morderców. Kiedyś będziesz dumny, ze mnie, tak jak ja jestem dumna z ciebie teraz. Wszyscy słuchali twojego przemówienia z zapartym tchem. Obserwowałam twarze ludzi, kiedy ty mówiłeś. Jestem przekonana, że...

Urwała nagle i przyjrzała się ojcu uważnie. Dopiero w tej chwili wyczuła jego nastrój.

— Co się stało? — spytała. — Dlaczego jesteś taki nie w sosie?

— Melancholijny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

— Widzisz, kochanie, to nie takie zabawne wysłać człowieka na szubienicę.

— Ale przecież ten człowiek zasłużył na najwyższy wymiar kary. To morderca. Zamordował z premedytacją. Nie masz chyba co do tego wątpliwości.

— Nie, nie mam wątpliwości. Gdybym je miał, nie wnosilibym oskarżenia ani nie domagałbym się kary śmierci. Ale czasem w takich sytuacjach pojawia się niepokój. A jeżeli ten człowiek jednak nie dopuścił się zbrodni, jeżeli jest niewinny?

— Przecież się przyznał.

— Nie od razu się przyznał. A zresztą różne bywają motywy przyznania się do nie popełnionych czynów. Jesteś jeszcze bardzo młodziutka. Nie wiesz, jakie się zdarzają fantastyczne zbiegi okoliczności.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Co się z tobą dzieje, tatusiu? Nie sądzisz chyba, że

dzisiejsza sprawa... że poza tym wszystkim może się coś kryć...

— Nie, oczywiście, że nie sędzę. To była raczej dosyć prosta, prymitywna sprawa. Ale widzisz, każdy uczciwy sędzia czy prokurator miewa takie chwile niepokoju. Dlatego chciałbym ci oszczędzić tych bardzo przykrych i trudnych momentów. Wolałbym, żebyś poszła na adwokaturę.

— Chcę być prokuratorem — powiedziała stanowczo

Borzycki nie miał zamiaru podejmować dyskusji. Skinął na przejeżdżającą taksówkę.

Mieszkali na Różanej. Karolcia przyjęła ich z ponurym wyrazem twarzy.

— Obiad gotów od godziny — powiedziała niemal groźnie. — Wszystko się na nic wypitrasi. Do czego to podobne? — Wzruszyła gniewnie ramionami i podreptała do kuchni. Po chwili rozległ się energiczny szcęk garnków.

Przy stole Ewa spytała:

— Czy ty, tatuśku, pamiętasz, że masz być dzisiaj u Siewierskich?

— Niestety, pamiętam.

— Dlaczego mówisz „niestety”?

— Bo wolałbym popracować. Ale tyle razy już mnie prosili, że nie wypada mi się wykręcić. Muszę pójść

— Powinieneś się od czasu do czasu rozerwać. Nie możesz tak ciągle pracować. A poza tym u Siewierskich zawsze jest pyszne jedzenie i trunki podają znakomite.

— To mnie nie interesuje. Wiesz przecież, że ja nie piję.

— Czy nigdy nie piłeś alkoholu?

— Kiedyś, bardzo dawno. Od dwudziestu kilku lat nie miałem alkoholu w ustach.

— Szkodzi ci.

— Nikomu to dobrze nie robi.

Karolcia podała budyń czekoladowy. Minał już jej zły humor i swoim zwyczajem opowiedziała jakąś sensacyjną historię, wyczytaną w „Expressie”. Była bardzo spoufalcona z panem prokuratorem i z Ewunią, którą wychowała od dziecka. Lubiała też nieraz wtrącać się do rozmowy i udzielać dobrych rad. Widząc, że jej opowieść nie spotkała się z zainteresowaniem,

zabrała talerze i pomrukując ruszyła ku drzwiom.

Borzycki skończył jeść, odsunął się od stołu i założył nogę na nogę.

— Słuchaj, dziecinko, a ty jakie masz plany na dzisiejszy wieczór? — spytał, sięgając po papierosy.

— Wybieramy się całą paczką do Halszki Zdrojeckiej, do Komorowa. Być może, że nawet u niej zanocuję i wrócę dopiero jutro wieczorem. Nie masz chyba nic przeciwko temu?

Potrząsnął głową.

— Nie. Cóż mógłbym mieć przeciwko temu? Lubię Halszkę. To miła i porządna dziewczyna. A poza tym jesteś już dorosłą panną. Nie mogę ci niczego zabronić. Uważajcie tylko w Komorowie na chuliganów.

— Nie ma strachu. Maciek z nami jedzie.

— To on w dalszym ciągu zajmuje się boksem?

— Tak. To jego hobby.

— Mam nadzieję, że nie chce zostać zawodowym pięściarzem.

Ewa roześmiała się.

— Skądże. Traktuje to jako gimnastykę. Po skończeniu uniwerku ma zamiar wstąpić do milicji. Interesuje go kryminalistyka.

— Dobrana będzie z was para, prokurator i oficer śledczy.

— Na razie nie spieszę się do małżeństwa.

— Oczywiście. Przecież żartowałem.

Zadzwoił telefon. Ewa poderwała się z miejsca i pobiegła do aparatu. Powiedziała:

— Tak, tak, dobrze. Zaraz wychodzę.

— Czuję, że masz ochotę się ze mną pożegnać — uśmiechnął się Borzycki.

— Zgadłeś, tatusiu.

— No więc jedź na ten weekend i bądź grzeczna. Nie zrób jakiegoś głupstwa, a przede wszystkim nie pij za dużo. U nas panuje ciągle jeszcze ten idiotyczny zwyczaj namawiania ludzi do wódki.

— Bądź spokojny. Nie dam się upić.

Po wyjściu Ewy Borzycki usiadł w fotelu i, jak codziennie, zabrał się do przeglądania gazet. Po chwili w drzwiach stanęła

Karolcia.

— Chciałam, proszę pana, jeszcze coś kupić na niedzielę, a potem pójść na różaniec.

— Proszę, niech Karolcia idzie. Tylko niech Karolcia nie zapomni kluczy, boja wychodzę.

Zapadł wczesny, jesienny mrok. Za oknem wiatr potrząsał drzewami strącając resztki pożółkłych liści. O szyby uderzały krople deszczu.

Najwyższy wymiar kary...

Borzycki odłożył gazetę i przymknął oczy. Znowu widział salę sądową, sędziów, adwokata Szczerbińskiego i obojętną, zrezygnowaną twarz oskarżonego. Dlaczego właśnie ta sprawa tak na niego podziałała? Zwykle, prymitywne morderstwo na tle rabunkowym. Żadnych niejasności, żadnych komplikacji... więc dlaczego?

Wstał i przeszedł się po pokoju. Nie mógł pozbyć się tego niczym nie uzasadnionego zdenerwowania, które dręczyło go przez cały dzień. Przez chwilę zatrzymał się przy oknie, patrząc na spływające po szybach grube krople deszczu. „Jak łyzy — pomyślał

— zupełnie jak łyzy”. Ten chłopak ma matkę. Przez cały czas rozprawy była na sali sądowej. Drobną, mizerną, wynędzniałą. Oczy miała zaczerwienione od płaczu. Nie chciała odpowiadać na zadawane jej pytania. Raz tylko spojrzała na syna i spytała: — Józek, dlaczegoś to zrobił? Dlaczego? — jak łyzy, zupełnie jak łyzy...

Borzycki odszedł od okna i przekręcił kontakt. Jaskrawe światło wydobyło z ciemności kształty i barwy umeblowania. W jednej chwili skończył się nastrój szarej godziny. Wszystko stało się realne, wyraźne, bez tajemniczych niedomówień.

Usiadł za biurkiem i wyjął z szuflady maszynopis. Przygotowywał nową pracę do druku. Były to rozważania na temat psychologii zbrodni. Zdołał jednak zaledwie przeczytać parę stron, kiedy zadzwieczał dzwonek. Podniósł głowę zdziwiony. Jego znajomi i przyjaciele nie mieli zwyczaju przychodzić niespodziewanie, bez uprzedniego porozumienia się. Może listonosz albo inkasent z elektrowni? Znowu dzwo-

nek. Wstał, poszedł do przedpokoju i otworzył drzwi. W progu stała Julia. Tak był zaskoczony tą wizytą, że w pierwszej chwili nie mógł się nawet zdobyć na zdawkowe słowa powitania.

Roześmiała się.

— Dobry wieczór, Stachu. Nie spodziewałeś się mnie. Masz taką minę, jakbyś zobaczył zjawę z tamtego świata. Czy mogę wejść?

— Ależ oczywiście. Proszę cię bardzo.

Pomógł jej zdjąć płaszcz i zaprowadził do pokoju. Rozejrzała się ciekawie, odnajdując znane sobie szczegóły umeblowania. Usiadła na fotelu, wyjęła z dużej czarnej torby puderniczkę i bardzo starannie zaczęła sobie pudrować nos. Obserwował ją w milczeniu. Zauważył, że przytyła. Jej delikatne, niezwykle subtelne kiedyś rysy poczynają zacierać się w nadmiernej ilości tłuszczu. Duże, niebieskie oczy utraciły dawny blask i ginęły w pulchnych policzkach. Różową, lekko sfałdowaną szyję ozdabiał zbyt strojny naszyjnik.

— Zapewne jesteś zdziwiony moją wizytą?

Skinął głową.

— Przyznaję, że nie spodziewałem się ciebie zobaczyć. Dlaczego nie dałaś mi znać, że przyjdiesz?

— Nagle się zdecydowałam. Znajomi jechali samochodem i mieli wolne miejsce. Zabrałam się z nimi. No i cóż, Stachu? Jak ci się powodzi? Nie ożeniłeś się?

Poczuł nagłą niechęć do tej podstarzałej kobiety. W tej chwili była dla niego kimś tak zupełnie obcym, że nie mógł sobie wyobrazić, jak to się stało, że kiedyś...

— Nie odwiedziłaś mnie chyba po to, żeby wypytywać o moje plany matrymonialne — powiedział, zapalając papierosa..

Roześmiała się. Po tym gardłowym, zmysłowym śmiechu poznałby ją wszędzie. Przed laty nieraz przyglądał się jej zdziwiony, tak bardzo ten śmiech nie pasował do jej delikatnej, pastelowej urody.

— Nie, nie przyjechałam po to, żeby cię wypytywać o twoje plany matrymonialne. — Nagle spoważniała. — Chodzi o Bogdana — powiedziała już zupełnie innym tonem.

— O Bogdana? A cóż z nim się dzieje?

— Dzieje się bardzo niedobrze. Grozi mu więzienie.

Borzycki zmarszczył brwi.

— Co się stało?

— Wyobraź sobie, że kuzyn Alfreda wyrobił Bogdanowi posadę w jakiejś spółdzielni. Produkują wyroby skórzane. Tę torbę mam od nich. Zupełnie niezła. Porządnie wykończona. Spójrzj. Prawda, że zupełnie szykowna?

— No i co z Bogdanem? — spytał niecierpliwie Borzycki.

— No właśnie. Takie nieszczęście. Wyszły na jaw pewne niedokładności w rachunkach i...

— Ile ukradł?

Pani Julia poruszyła się nerwowo na fotelu.

— Ty zawsze lubisz używać takich lapidarnych określeń.

— Ile ukradł? — powtórzył Borzycki.

— Manko wynosi około osiemdziesięciu tysięcy złotych.

— Osiemdziesiąt tysięcy złotych. To ogromna suma.

— Tak, to bardzo dużo. Sama nie wiem, co robić. Nawet gdybym sprzedała resztę mojej biżuterii, to i tak nie osiągnę więcej jak trzydzieści, czterdzieści tysięcy. A przecież nie możemy dopuścić do tego, żeby Bogdanek...

— Jak ukradł, to pójdzie do więzienia — powiedział twardo Borzycki.

— Ależ to twój syn! Pomyśl, co za skandal.

— Nic na to nie poradzę. Nie dysponuję taką sumą, a gdybym nawet dysponował, to nie dałbym ani grosza. Jak cymbał posiedzi w kryminale, to może nabierze rozumu.

Pani Julia zaczęła się nerwowo wachlować chusteczką.

— Przyjechałam tu, bo przypuszczałam, że znajdę u ciebie pomoc, radę...

Borzycki spojrział na nią zimno.

— Trzeba było w swoim czasie słuchać moich rad. Ale ty wolałaś rozpieszcać chłopaka. Buty mu czyściłaś, obsługiwałaś go, śniadanie podawałaś do łóżka, skakałaś koło niego, bez przerwy mu wmawiałaś, że jest ósmym cudem świata, że jest stworzony do wyższych celów. Nie nauczyłaś go pracować, nie nauczyłaś go żyć. Zaspokajałaś każdą jego zachciankę. No, to teraz masz rezultaty. Twój ukochany pieścioszek będzie

siedział w więzieniu.

— Jesteś jego ojcem.

— No to co z tego? Ja go nie wychowywałem. Ty uparłaś się, żeby go wziąć do siebie. Przeczuwałem, czym się to skończy, ale nie miałem na to żadnej rady. Chłopak się rozpuścił, nie chciał się uczyć, w głowie mu się przewróciło. A potem jeszcze to twoje zamąpójście...

— Bardzo cię proszę, nie mieszaj do tych spraw Alfreda. On z tym nie ma nic wspólnego.

Borzycki niecierpliwie machnął ręką.

— Ma czy nie ma, to mnie nie obchodzi. Nie możesz jednak zaprzeczyć, że nie miał na Bogdana najlepszego wpływu, nie dawał mu dobrego przykładu.

— Cóż chcesz? Artysta.

— Taki tam z niego artysta, jak... Ale mniejsza o to. No, więc co masz zamiar zrobić w sprawie Bogdana?

Pani Julia bezradnym ruchem rozłożyła ręce.

— Nie wiem. Gdybym wiedziała, to bądź pewien, że nie zwracałabym się z tym do ciebie.

Borzycki wstał i zaczął chodzić po pokoju. Sytuacja była bardzo przykra. Syn znanego prokuratora... Mogło to się niekorzystnie odbić zarówno na nim, jak i na Ewie. Wprawdzie oni nieomal zupełnie nie utrzymywali z Bogdanem stosunków, ale zawsze to samo nazwisko.

— Mam dziesięć tysięcy złotych na książeczkę. To wszystko, czym dysponuję.

— Zabraknie jeszcze co najmniej trzydzieści tysięcy — powiedziała pani Julia.

— Czy ty znasz kogoś z tej spółdzielni?

— Oczywiście. Znam prezesa.

— A może można by się jakoś z nimi ułożyć? Część pokryłoby się od razu, a część Bogdan spłaciłby później ratami. Jeżeli twój mąż urządził go tam na posadzie, to i jemu powinno by zależeć na tym, żeby uniknąć skandalu.

— Czyli, że ty byłbyś skłonny dać dziesięć tysięcy złotych?

W oczach Borzyckiego znowu zapalił się gniew.

— Ja nie jestem skłonny dać ani grosza. Gdybym jednak

zdecydował się wziąć udział w pokryciu tego nadużycia, to postawię swoje warunki.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Jakież to warunki?

— Ja się wezmę za tego durnia.

— Od paru lat już jest pełnoletni.

— To nic nie szkodzi. Dam sobie z nim radę.

— Obawiam się, że to już za późno.

— Nigdy nie jest za późno. Bogdan ma teraz dwadzieścia cztery lata. Można go jeszcze wyprowadzić na ludzi, trzeba się tylko do tego energicznie zabrać.

— No cóż... spróbuj.

Pani Julia wstała i naciągnęła rękawiczki.

— Wychodzisz? Więc jak się umawiamy?

— Postaram się przekonać prezesa spółdzielni. Napiszę do ciebie albo zatelefonuję. Do widzenia, Stachu.

Borzycki został sam. Rozmowa z Julią rozstroiła go. Podeszedł do radia i przekręcił galkę. Przez chwilę słuchał muzyki tanecznej. Spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta. Trzeba było się ubierać. Siewierscy zaprosili go na siódmą.

ROZDZIAŁ II

Promień słońca przedostał się przez szparę w okiennej zasłonie i padł na twarz śpiącego. Twarz ta była blada, nabrzmiała alkoholem. Rzadkie, siwiejące włosy pot posklejał w grube, sterczące strąki. W pokoju było duszno.

Borzycki z trudem otworzył oczy. Przez chwilę nie mógł sobie uświadomić, gdzie jest i co się z nim dzieje. Na wpół przytomnym spojrzeniem wodził po ścianach, po meblach. Wreszcie zatrzymał wzrok na portrecie Ewy. Uśmiechnięta dziewczynka w letniej, niebieskiej sukience.

Z wolna wróciła świadomość. Dźwignął się z wysiłkiem, jęknął i chwycił się za głowę rozgrzaną, wilgotną dłonią. Nieznośny ból łomotał w skroniach. W ustach czuł niesmak. Nie mógł poruszyć wyschniętym językiem.

Wstał z tapczana i chwiejąc się poszedł do łazienki Odkręcił kran, przemył twarz, długo pił zimną wodę. Kiedy się wyprostował, znowu zaczęło mu się kręcić w głowie. Ledwie mógł się utrzymać na nogach. Zwymiotował i wrócił na tapczan.

Przez długą chwilę leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami. Nie spał. Próbował sobie przypomnieć, co się stało, dlaczego czuł się tak fatalnie. Powoli, bardzo powoli mózg zaczynał wracać do normalnej pracy. A więc wczoraj wieczorem poszedł do Siewierskich, tak — do Siewierskich. Był zdenerwowany rozmową z Julią. Siewierski nalał mu duży kieliszek koniaku. Wypił zupełnie odruchowo. Pierwszy kieliszek alkoholu od dwudziestu kilku lat. Potem pili jakieś wódki, wina, likiery. Nie pamiętał już dobrze. Nie wiedział, jak i kiedy znalazł się w domu. Nie pamiętał, z kim i o kim rozmawiał u Siewierskich.

— Chyba nie mówiłem o Bogdanie — mruknął i otworzył oczy.

Miał dosyć leżenia w tej przepoconej, cuchnącej alkoholem pościeli. Podniósł się, podszedł do okna i szarpnął zasłonę. W jednej chwili słońce załało pokój. Blask był tak nagły, tak oślepiający, że gwałtownym ruchem zakrył twarz rękami. Jęknął cicho. Nie odrywając dłoni od oczu, poszedł do łazienki. Zrzucił z siebie pidżamę i odkręcił kurki. Gorący a potem zimny prysznic świetnie mu zrobił. Krew poczęła zwawiej krążyć w żyłach, myśli stawały się coraz jaśniejsze, szum w głowie ustał prawie zupełnie.

Wytarł się energicznie kosmatym ręcznikiem, umył zęby i zabrał się do golenia. Po pół godzinie wyszedł z łazienki odświeżony, pachnący dobrym mydłem i wodą kolońską. Resztki alkoholowego zamroczenia ustępowały szybko. Kiedy zawiązywał krawat, rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Karolcia.

— Czy podać panu śniadanie? Już późno.

Na myśl o jedzeniu Borzyckiemu zrobiło się niedobrze.

— Proszę mi zaparzyć mocnej herbaty. Nie jestem głodny.

Siedząc przy stole, spytał:

— Słyszała Karolcia, jak wróciłem w nocy?

— Nie słyszałam. Spałam. Ja w nocy najlepiej lubię spać. Obiadu dzisiaj nie robię, proszę pana.

— Tak, tak, wiem.

— To ja mogę pojechać do siostry, do Anina?

— Oczywiście. Przecież wczoraj mówiliśmy już na ten temat.

— Tak, ale myślałam, że może pan chory.

— Dlaczego mam być chory?

— Bo nie ma pan zupełnie apetytu. Nie chce pan jeść śniadania.

— Nic mi nie jest. Może Karolcia jechać do Anina.

Po dwóch szklankach mocnej herbaty Borzycki poczuł się jak odrodzony. Wyjął papierośnicę, ale zaraz wsunął ją z powrotem do kieszeni. Nie miał ochoty na papierosa. Spojrzał w okno. Jasny błękit nieba błyszczał nad domami. Dobrze byłoby odechnąć trochę świeżym powietrzem.

Jesienne słońce ozłacało kolorowe drzewa. Puszyste wiewiórki szeleściły zeschniętymi liśćmi w poszukiwaniu zapasów zimowych. Dzieci zbierały kasztany.

Borzycki usiadł w słońcu koło palmiarni i patrzył na niedzielne życie parku. Jesień zawsze nastrojała go melancholijnie. Opadające liście, nagie gałęzie drzew, cała zamierająca przyroda kojarzyła mu się niezmiennie ze zbliżającą się nieuchronnie starością. Jeszcze kilka lat. Ewa skończy studia, wyjdzie za mąż, stworzy sobie swoje własne, samodzielne życie. Od czasu do czasu odwiedzi starego ojca. Początkowo będzie to jej może sprawiało przyjemność, a z czasem stanie się obowiązkiem nie zawsze wygodnym. No cóż... takie jest życie.

Zaróżowiona dziewczynka w zgrabnym ciemnozielonym płaszczyku dygnęła grzecznie i powiedziała:

— Przepraszam pana, która godzina?

Spojrzał na zegarek. Dochodziła trzecia. Zamienił z małą parę słów, pogładził ją po jasnej główce, wstał i skierował się ku wyjściu. Był głodny.

Obiad zjadł w „Szanghaju”. Kiedy wychodził z restauracji, natknął się na Siewierskiego. Przywitali się serdecznie. Borzycki wziął przyjaciela pod rękę i spytał:

— Słuchaj, Zbyszku, masz chwilę czasu?

— Tak. Umówiłem się z Reną. Mieliśmy iść do kina, ale nie przyszła. Widocznie coś ją zatrzymało.

— To ty nie jadłeś obiadu w domu?

— Nie. Miałem takie maleńkie spotkanie z przyjaciółmi. Musiałem obgadać pewne sprawy. No, co u ciebie? Jak się czujesz? Chodź, pójdziemy gdzieś na kawę.

W „Niespodziance” znaleźli wolny stolik pod oknem. Borzycki wyjął papierośnicę.

— Muszę ci powiedzieć, że po wczorajszym czułem się dzisiaj rano fatalnie.

— Zaszkoziło ci coś? — spytał niespokojnie Siewierski.

— Nie. Po prostu chyba za dużo wypilem.

— Żartujesz. Przecież ty prawie nic nie piłeś.

— No, jednak musiałem sporo wypić, bo dzisiaj rano obudziłem się z potwornym kacem.

Siewierski spojrzał zdziwiony.

— Nic nie rozumiem. Wprawdzie nie wypada gospodarzowi rachować wypitych przez gości kieliszków, ale doskonale pamiętam, że wypileś dwa koniaki, dwa kieliszki jałowcówki, może trzy, i dwa kieliszki wina do pieczystego. Trudno to nazwać jakimś kolosalnym piciem.

— Nie zapominaj o tym, że ja od przeszło dwudziestu lat nie miałem kropli alkoholu w ustach.

— Ach prawda, że ty w ogóle nie pijesz. Zupełnie mi to wyleciało z głowy.

Borzycki w zamyśleniu mieszał kawę.

— Powiedz mi, czy byłem bardzo pijany, kiedy od ciebie wychodziłem?

— Ale skądże! Byłeś w dobrym humorze, nic więcej.

— I ty mnie nie odwoziłeś do domu?

— Nie. Dlaczegoż miałbym cię odwozić? Co się z tobą dzieje, Stachu?

— Nie wolno mi pić, absolutnie, ani kropli — powiedział cicho Borzycki.

— Myślisz, że to ci nie przeszło?

— Najwyraźniej nie. Znowu to samo. Nie wolno mi pić pod

żadnym warunkiem.

— Bardzo mi przykro — bąknął zmieszany trochę Siewierski.
— Rzeczywiście wczoraj zupełnie nie pamiętałem o tym, że ty nie pijesz, i w zapale częstowania gości... przepraszam cię.

Borzycki dotknął dłoni przyjaciela.

— Przecież nie mam do ciebie pretensji. Skądże! Sam powinienem się pilnować, ale byłem wczoraj bardzo zdenerwowany i tak jakoś machinalnie wypilem ten koniak. Bardzo mi smakował. No, a potem to już poszło.

Siewierski zaczął się śmiać.

— No, jeśli ci koniak smakował, to nie ma tragedii. Ale żarty na bok. Przy tej twojej skłonności do amnezji alkoholowej rzeczywiście nie powinieneś pić. Możesz mieć kiedyś niepotrzebne komplikacje.

— Nigdy mi się to już nie zdarzy — powiedział stanowczo Borzycki.

Porozmawiali jeszcze chwilę o tym i owym, skończyli kawę i Siewierski spojrzał na zegarek.

— Wybacz mi, Stachu, ale muszę cię już pożegnać. Spodziewam się zamiejscowego telefonu. A na pocieszenie mogę ci powiedzieć, że twój przypadek nie jest wcale odosobniony. Miałem parę pacjentek, u których dipsomania występowała w bardzo silnym stopniu.

— Nawet po niezbyt dużej ilości alkoholu?

— Oczywiście. Bywają takie struktury, że nawet stosunkowo niewielka porcja alkoholu poraża natychmiast pewne centra mózgowo wywołując niepamięć, trwającą nawet przez szereg godzin, przy czym dany osobnik porusza się i działa prawie zupełnie normalnie, nie wzbudzając podejrzeń otoczenia. Wiadać, oczywiście, że jest pod dobrą datą, ale nie ma mowy o stanie jakiegoś całkowitego opilstwa. Znam przypadek, kiedy na przykład taki gość grał przez kilka godzin w brydża, nie popełniając żadnych błędów, a na drugi dzień nie wiedział, że siadał do kart i był zdumiony, znalazłszy w kieszeni sporą wygraną.

— To są diabelnie nieprzyjemne historie — mruknął Borzycki. — Nigdy sobie na coś takiego nie pozwolę.

Siewierski położył na stoliku należność za kawę. Wyszli. Pogoda się zepsuła. Zerwał się wiatr, zaczął padać zimny deszcz. Borzycki podniósł kołnierz jesionki i wsiadł do tramwaju.

Na mokrym asfalcie zółciły się smugi latarnianych świateł. Lśniące deszczem parasole sunęły pośpiesznie ulicami, wypełnionymi szumem motoru i tramwajowym dzwonieniem. Trudno było sobie wprost wyobrazić, że przed kilkoma godzinami miasto tonęło w słońcu i nad dachami domów rozpościerało się błękitne, bezchmurne niebo.

Ciemne mieszkanie ziało pustką. Borzycki doznał nagle uczucia przykrego osamotnienia. Pospiesznie zapalił światło, nie zdejmując płaszcza wszedł do pokoju i przekręcił gałkę radia. Chciał usunąć jakoś niemiły nastrój, który w nim narastał. Przez chwilę stał nieruchomo, słuchając poloneza Chopina. Wrócił do przedpokoju, zdjął mokrą jesionkę i powiesił ją na wieszaku. W tym momencie zadzwieczał dzwonek. Pewny, że to wróciła Ewa, Borzycki szybko przekręcił zatrask i odsunął zasuwę. W drzwiach zobaczył mężczyznę średniego wzrostu, w nieprzemakalnym płaszczu i w berecie zsuniętym na tył głowy. Czarna, półkolista broda okalała opaloną twarz. Oczy zakryte były ciemnymi okularami.

— Pan do kogo? — spytał Borzycki, spoglądając ze zdziwieniem na przybysza. Ten zaśmiał się kordialnym śmiechem i wyciągnął rękę na powitanie.

— Sie masz, Stasiu. Cóż to, nie poznajesz mnie?

Borzycki zmarszczył brwi.

— Bardzo mi przykro, ale nie przypominam sobie.

— Kawalarz z ciebie. No, no, nie udawaj. Zamknij drzwi, bo wieje, a zresztą o tym, co mam z tobą do pogadania, lepiej żeby cała kamienica nie wiedziała. — Bez ceremonii wszedł do przedpokoju, zatrzasnął drzwi, zdjął płaszcz i energicznym ruchem strzepnął o niego wodę.

— No, gdzie możemy porozmawiać?

— Przepraszam pana, ale zdaje się, że to jakaś pomyłka — powiedział stanowczo Borzycki. — Nie znam pana i nie mam zamiaru z panem rozmawiać. Może pan zechce opuścić moje

mieszkanie.

Nieznajomy powiesił płaszcz i zwrócił twarz ku mówiącemu.

— Staszek, co z tobą? Zostaw te kawały. Przyniosłem ci forszę.

— Jaką forszę? Kim pan właściwie jest?

— Jak to kim jestem? Ty naprawdę mnie nie pamiętasz? Heniek jestem. No, piliśmy przecież u Stefy. Przypomnij sobie. Coś ty?

Nagły niepokój ogarnął Borzyckiego.

— Proszę, niech pan wejdzie — powiedział i otworzył drzwi do pokoju. — O co właściwie panu chodzi? Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

Człowiek, który przedstawił się jako Heniek, usiadł wygodnie w fotelu, poprawił sobie na nosie czarne okulary, wyjął z kieszeni gruby plik pięćsetek, polizał palec i zaczął liczyć banknoty. Borzycki zauważył szeroką, białą bliznę, biegnącą od wskazującego palca aż do przegubu.

— Co pan robi?

— Jak to co robię? Odliczam twoją dołę. A ty coś myślał, że cię wykiwamy, tak? Nie, bracie. Z porządnymi ludźmi masz do czynienia. Uczciwie zarobiłeś te pięćdziesiąt patyków.

— Nie mogę tego przyjąć — powiedział stanowczo Borzycki. — W ogóle nie wiem, za co mi pan chce płacić.

— O, jak pragnę Boga — zdenerwował się brodac. — Co ty, wariata ze mnie strugasz czy jak? No przecież umówiliśmy się, że jak załatwisz tego Elerta, to ci odpalimy pięćdziesiąt patyków. Robotę wykonałeś na medal. Forsa ci się należy. Nie ma o czym gadać. Bierz i nie cackaj się.

Borzycki z trudem przełknął ślinę.

— Proszę natychmiast zabrać te pieniądze, bo wezwę milicję.

Heniek roześmiał się.

— Żartujesz, Stasiu. Takiego głupstwa nie zrobisz. Milicja już tam sobie ogląda trupa. Popełniłeś jedną bardzo wielką nieostrożność. Byłeś bez rękawiczek. Mają już odciski twoich palców. Ale przecież nikomu do głowy nie przyjdzie, żeby podejrzewać prokuratora. To było pierwszorzędnie pomyślane. Sam diabeł się nie domyśli, że to ty...

Borzycki wstał. Krew uderzyła mu do głowy, na czole

wystąpiły nabrzmiałe żyły.

— Proszę wyjść! Proszę zabrać te pieniądze i proszę się wynosić!

Tamten bez pośpiechu zebrał pięćsetki, podniósł się z fotela i powiedział:

— Jak nie chcesz forsy, to nie. Bez łaski. Ale ci radzę po przyjacielsku, nie podskakuj i milicji w to nie mieszaj, bo będziesz miał duże kłopoty. Wystarczy, że damy znać milicji, żeby porównali odciski palców znalezione w mieszkaniu Elerta z twoimi paluszkami i już klops. Myślałem, że mnie poczęstujesz jakimś porządnym koniaczkiem, ale widzę, że jesteś zdenerwowany. Innym razem. No, cześć, trzymaj się. I dobrze pomyśl, zanim zrobisz jakieś głupstwo. A nie zapomnij zamknąć za mną drzwi, bo tu różne podejrzanym typy się kręcą.

Wyszedł. Borzycki bezwładnie osunął się na fotel. Przeciągnął dłonią po rozpalonym czole. To, co przeżył przed chwilą, było czymś tak fantastycznie nierealnym, że nie mógł uwierzyć. To niemożliwe, to niemożliwe — szeptał, nie chcąc dopuścić do swej świadomości myśli, że ubiegłej nocy stało się coś strasznego. Zapach taniego tytoniu ciągle unosił się w pokoju. Ten człowiek siedział tu na tym fotelu. To nie była senna zjawa.

Z wolna Borzycki odzyskiwał panowanie nad sobą. Wstał, poszedł do przedpokoju, zamknął drzwi, a potem zadzwonił do Siewierskiego.

— Słuchaj, Zbyszku, o której ja od was wyszedłem? Pamiętasz?

— Wyszedłeś za pięć druga — odpowiedział Siewierski. — Akurat wtedy regulowałem zegarek. Ale dlaczego o to pytasz? Co się stało?

— Nie, nie, nic się nie stało. Dziękuję ci.

Borzycki odłożył słuchawkę i zaczął chodzić po pokoju. Zamknął radio. Muzyka drażniła go. Tak był zdenerwowany rozmową z tym opryszkiem, że nie zauważył powrotu Karolci. Zdziwił się, gdy weszła do pokoju.

— To Karolcia już wróciła?

— Ano wróciłam. Deszcz, zimno. Co się będę tłukła po nocy. Spotkałam na schodach dozorcę. Oddał mi paczkę. Przynieśli

dla pana. Czy zrobić herbaty?

— Proszę.

Borzycki obracał w palcach niewielki pakiet zawinięty w zwykły szary papier, na którym było napisane drukowanymi literami jego nazwisko i adres. Poszedł do swojego pokoju i rozerwał sznurek. Spodziewał się tego. Gruby plik pięćsetek, związany czarnym sznurowadłem. Żadnego listu, żadnej kartki. Wsunął pieniądze do szuflady biurka, zamknął ją starannie na klucz i zamyślił się. Tak, teraz już nie mógł mieć żadnych wątpliwości. To nie był sen. Zapalił papierosa i włożył jesionkę.

— Pan wychodzi? — spytała zdziwiona Karolcia, stając w drzwiach.

— Ma chwilę. Zaraz wracam.

Dozorca mieszkał na parterze. Był to stary, dobrze zakonserwowany alkoholik, pamiętający chyba jeszcze czasy cara Mikołaja. Na widok dostojnego lokatora pospiesznie wstał od stołu, bo właśnie jadł zupę.

— Moje uszanowanie, panu prokuratorowi — powiedział, wycierając wierzchem dłoni wąsy.

Borzycki uśmiechnął się przyjacielsko.

— Dobry wieczór, panie Michale. Przyszedłem do pana w sprawie kartofli.

— W sprawie kartofli? — zdziwił się dozorca.

— Tak. Jakby się panu trafiła okazja, to wzięlibyśmy ze trzy metry na zimę. A przy sposobności chciałem panu dać parę złotych za otwarcie bramy. Zapomniałem klucza.

— Bardzo dziękuję, ale pan prokurator dał mi już piątkę za bramę.

— Nic nie szkodzi. Przyda się i druga piątka. Późno było.

— Dla jednego późno, dla drugiego wcześniej — zaśmiał się dozorca. — Ja już wstałem. Było po piątej. Pewnie pan prokurator Irenę wczoraj obchodził? Ano, trzeba się czasem rozerwać.

— Trzeba — powiedział Borzycki. Położył na brzegu stołu pięć złotych. — Niech pan, panie Michale, pamięta o tych kartoflach.

— Będę pamiętał. Ma się rozumieć. Może pan prokurator być

spokojny. W tym tygodniu się załatwi.

Borzycki wrócił do siebie. Wypił herbatę, wysłuchał dziennika i zabrał się do czytania maszynopisu. Nie mógł jednak skupić uwagi. Litery tańczyły mu przed oczami. Myśli krążyły uparcie wokół pięćdziesięciu tysięcy złotych leżących w szufladzie.

Ewa przyjechała dopiero około dziesiątej, podniecona, wesół.

— Tatuśku, nie masz pojęcia, jak było fantastycznie. Powiadam ci, jeszcze nigdy nie miałam tak wspaniałej niedzieli. Wyobraź sobie, że... — mówiła dużo i bardzo szybko. Lubiała dzielić się z ojcem wrażeniami. Zazwyczaj brał żywy udział w jej przeżyciach. Tym razem słuchał z roztargnieniem. Wreszcie zauważyła to i spytała:

— Co ci jest? Źle się czujesz, tatusiu? Mizernie wyglądasz.

— Nie, nie, nic mi nie jest. Po prostu może jestem trochę zmęczony.

— Pracowałeś?

— Tak. Wiesz co, kochanie? Chodźmy spać.

Kiedy Borzycki już był w łóżku, zadzwonił telefon. Od razu poznał charakterystyczny głos Koziarskiego.

— Mam do was prośbę, kolego. Przydzielono mi sprawę morderstwa dokonanego na niejakim Leonie Elercie, niestety, nie mogę zająć się tą sprawą. Idę na obserwację do szpitala. Tak, tak, porozumiewałem się już z szefem. Wszystko uzgodnione. Bardzo was przepraszam, ale tak się złożyło...

ROZDZIAŁ III

Ulica Walecznych. Dwupokojowe mieszkanie na trzecim piętrze. Przed drzwiami stoi milicjant.

— Proszę przechodzić, proszę przechodzić. Proszę się nie zatrzymywać. — Mimo spóźnionej nocnej pory ciekawych nie brak.

Mieszkanie jest jaskrawo oświetlone. Trzaskają flesze fotografów. Doktor Zięba ukończył już swoje czynności i składa

narzędzia do walizeczki. Fachowcy od daktyloskopii systematycznie zbierają odciski palców. Porucznik Olszewski stoi przy oknie i notuje coś starannie w dużym, czarnym notesie.

W głębokim, klubowym fotelu siedzi prokurator. Twarz ma mizerną, zmęczoną, oczy zaczerwienione. Nie zdjął palta ani kapelusza. Nerwowo sse niezapalonego papierosa.

— Czy mógłbym usłyszeć pańską opinię, panie doktorze?

Zięba, który właśnie wkładał płaszcz, odwrócił się. Przez chwilę patrzył w milczeniu na Borzyckiego. Mogło się zdawać, że nie dosłyszał jego słów. Wreszcie powiedział:

— No cóż. Kula z niewielkiej, przypuszczalnie dwumetrowej odległości przebiła serce. Strzał padł w momencie, kiedy ten człowiek był odwrócony tyłem do mordercy. Kaliber? Chyba siódemka. Dziwne, że nie została znaleziona łuska.

— Kiedy dokonano zbrodni?

— Zgon nastąpił przed jakimś dwudziestoma czterema godzinami. Oczywiście nie precyzuję tego dokładnie. Dwadzieścia cztery godziny to czas orientacyjny. Sekcja dostarczy nam szczegółów.

Borzycki spojrział w kierunku leżącego koło biurka ciała.

— To znaczy, że zabito go ubiegłej nocy?

Zięba skinął głową.

— Tak. Powiedzmy, pomiędzy drugą a czwartą. Czy pan ma, panie prokuratorze, jeszcze jakieś pytanie?

— Nie. Dziękuję.

Zwłoki wyniesiono do ambulansu. Porucznik Olszewski schował notes do kieszeni i powiedział:

— Na razie to chyba byłoby wszystko. Zrobiliśmy, co do nas należało.

— Tak. Zrobiliśmy, co do nas należało — powtórzył Borzycki.

— Jedzie pan do komendy?

— Oczywiście.

— Pojadę z panem.

Olszewski trochę się zdziwił.

— Dochodzi już trzecia, panie prokuratorze. Czy nie lepiej, żeby pan pojechał do domu?

— Nie, nie. Muszę z panem jeszcze pomówić.

— Przyjdę rano do prokuratury.

— Wolę pewne sprawy od razu ustalić.

Wsiadli do radiowozu. Ruszyli z dużą szybkością. Ulice były puste.

Przed komendą zasalutował dyżurny milicjant. Olszewski zaprowadził Borzyckiego do swego pokoju, na drugie piętro. Usiedli i Borzycki poczęstował porucznika papierosami.

Olszewski sięgnął do kieszeni.

— Aha, byłbym zapomniał. Zdaje się, że to zapalniczka pana prokuratora. Zostawił ją pan w mieszkaniu tego dziennikarza.

— Tak — powiedział Borzycki. — To moja zapalniczka. — Wiedział, że nie zapalał papierosa na miejscu zbrodni i że nie wyjmował zapalniczki, ale nie było sensu się wypierać. Zapalniczkę tę dostał w prezencie od kolegów. Kazali na niej wyryć jego inicjały. Głęboko zaciągnął się dymem.

— Ustalmy sobie fakty, poruczniku. Jakim właściwie konkretnym materiałem w tej chwili dysponujemy?

Olszewski skwapliwie rozłożył na biurku swoje notatki.

— No więc, tak... Leon Elert, wzrost metr siedemdziesiąt, włosy ciemnoblonde itd., itd... zawód: dziennikarz. Został zastrzelony we własnym mieszkaniu przy ulicy Walecznych w nocy z soboty na niedzielę, dwudziestego października.

— Kto zawiadomił milicję o morderstwie?

— Jakiś mężczyzna zatelefonował do pogotowia milicyjnego! Nie podał swojego nazwiska. Początkowo myśleliśmy nawet, że to głupi kawał. Sierżant Piekarz pojechał, żeby sprawdzić i...

— Elert mieszkał sam?

— Tak. Przed kilkoma miesiącami rozszedł się z żoną. Tak mnie przynajmniej poinformowali jego sąsiedzi.

Borzycki zdjął okulary i począł je starannie przecierać. Zmrużonymi oczami krótkowidza patrzył na porucznika.

— Niech mi pan powie, czy jakżeście przyjechali na miejsce zbrodni, to drzwi od mieszkania Elerta zastaliście otwarte czy zamknięte?

— Drzwi były zamknięte tylko na klamkę.

— A światło? Paliło się?

- Nie. Wszystkie lampy były zgaszone.
- Rozmawiał pan z dozorcą?
- Oczywiście.
- Czy nie zauważył nikogo podejrzanego w nocy z soboty na niedzielę?
- Twierdzi, że nikomu bramy tej nocy nie otwierał. Lokatorzy przeważnie mają klucze.
- Przed moim przybyciem rozmawiał pan z sąsiadami Elerta?
- Tak.
- I dowiedział się pan czegoś?
- Właściwie niewiele. Zresztą o tak późnej godzinie ludzie nie są skłonni do rozmów.
- Czy nikt z sąsiadów Elerta nie słyszał, żeby u niego był w nocy jakiś ruch, żeby byli goście?
- Owszem. Jeden z najbliższych sąsiadów, którego mieszkanie przytyka do mieszkania denata, słyszał bardzo głośną muzykę, puszczaną z adapteru czy magnetofonu. Podobno nawet stukał do drzwi Elerta, prosząc o ciszę.
- Kim jest ten sąsiad?
- Jakiś emeryt. Ułomny, garbus.
- Czy nie widział kogoś z gości Elerta?
- Nie. Twierdzi, że rozmawiał tylko z Elertem i że nikogo nie widział. Słyszał tylko rozmowy w głębi mieszkania.
- Czy towarzystwo było mieszane?
- Ten emeryt słyszał tylko męskie głosy. Aha... zapomniałem powiedzieć, panie prokuratorze: Elert nie miał klucza od bramy.
- Nie miał?
- Nie. Dozorca zeznał, że Elert zgubił klucz przed paroma dniami i prosił, żeby mu dorobić nowy. Ten nowy klucz miał być gotów we wtorek.
- To znaczy, że któryś z jego gości był w posiadaniu klucza od bramy. Bo jeżeli dozorca nikomu bramy nie otwierał... można by wprawdzie przyjąć, że zaczekali w mieszkaniu do rana, ale...

Porucznik Olszewski stanowczo potrząsnął głową.

— To nieprawdopodobne. Morderca nie czekałby do rana na miejscu zbrodni.

— Tak. — Borzycki zamyślił się. — Mam wrażenie, poruczniku, że Elerta zamordował ktoś z jego otoczenia, ktoś, kogo on znał. Świadczy o tym chociażby fakt, że...

— ...że strzał padł w momencie, kiedy Elert był odwrócony plecami do mordercy — dokończył Olszewski

— Właśnie. Należy przypuszczać, że do osoby nie znajomej byłby odwrócony twarzą.

— Chyba żeby ktoś niepostrzeżenie zakradł się do mieszkania, ale to raczej wątpliwe. Mnie się zdaje, panie prokuratorze, że sytuacja wyglądała mniej więcej w ten sposób: Elerta odwiedzili jacyś jego znajomi czy przyjaciele, posiedzieli u niego, prawdopodobnie coś wypili. Świadczą zresztą o tym kieliszki i butelki po trunkach. Następnie całe towarzystwo wyszło. Został tylko morderca.

— W tej wersji musieliby mieć dwa klucze od bramy, bo jeżeli dozorca nikomu bramy nie otwierał...

— Bardzo słuszna uwaga — powiedział Olszewski. — Ale morderca mógł odprowadzić swoich towarzyszy do bramy, a potem wrócić jeszcze na górę. Gdybyśmy zdołali odnaleźć chociażby jednego człowieka, który był wtedy w nocy u Elerta! Obawiam się jednak, że to będzie trudne do zrealizowania. W tego rodzaju sprawie nikt nie zechce znaleźć się w kręgu podejrzanych o zbrodnię.

Borzycki sięgnął po nowego papierosa. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Nieustannie wracał myślą do człowieka z brodą, który go odwiedził po południu. Pięćdziesiąt tysięcy złotych. Takiej sumy nie ofiarowuje się ot tak sobie dla żartów. A zapalniczka? Fakt, że w mieszkaniu Elerta znaleziono jego zapalniczkę, przygnął go do reszty. Czy Olszewski orientował się, że on przez cały czas nie wyjmował zapalniczki i nie zapalał papierosa? To było zasadnicze pytanie, na które nie znajdował odpowiedzi.

— No więc, panie poruczniku, musimy ustalić jakiś plan działania na najbliższą przyszłość. Proponuję, żeby pan rozejrzył się pomiędzy ludźmi, którzy stanowili najbliższe

otoczenie Elerta.

— To niezbyt proste zadanie — uśmiechnął się Olszewski. — Elert był dziennikarzem i niewątpliwie musiał mieć szeroki krąg znajomych i przyjaciół. Zajmę się tym oczywiście, ale to musi potrwać.

— Bynajmniej pana nie przynaglam — powiedział prędko Borzycki. — Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, że to jest praca długofalowa. Niestety, materiałów poszlakowych mamy w tej chwili tak mało, że nie możemy liczyć na szybkie wykrycie sprawcy zbrodni. Chciałbym pana jeszcze prosić, poruczniku, żeby pan mi dostarczył rano do prokuratury pomiędzy dziesiątą a jedenastą wszystkie materiały dotyczące sprawy, łącznie z materiałem daktyloskopijnym. Chcę sobie to przejrzeć.

Był już dzień, kiedy Borzycki wrócił do domu. Nie zdejmując płaszcza pobiegł do swego pokoju. Pośpiesznie wyjął klucze z kieszeni i otworzył szufladę biurka. Nie znalazł pistoletu. Nerwowo przeszukał wszystkie inne szuflady, chociaż wiedział, że to beznadziejne. Stał bezradny. Po chwili wyjął z kieszeni chustkę i wytarł nią spoconą twarz. Nagle błysnęła mu myśl. Wrócił do przedpokoju i poszukał w szafie czarnego palta, w którym w sobotę był u Siewierskich. W wewnętrznej kieszeni tkwił pistolet. W magazynku brakowało jednego naboju.

*

Za piętnaście jedenasta porucznik Olszewski zapukał do gabinetu prokuratora.

— Niech pan to wszystko położy na biurku — powiedział Borzycki i dalej przeglądał akta jakiejś sprawy. Kiedy pozostał sam, skwapliwie przysunął sobie teczki, na których było napisane „Zabójstwo Leona Elerta”. Szukał materiału daktyloskopijnego. Znalazł go bez trudu. Jego obawy okazały się uzasadnione. Owej fatalnej nocy zostawił odciski swych palców w mieszkaniu Elerta. Parokrotnie wyjmował z kieszeni szkło powiększające i porównywał odbitki linii papilarnych. Niestety, były one aż nadto wyraźne.

Są chwile w życiu człowieka, kiedy wszystkie możliwe kataklizmy wydają się dobrodziejstwem. — Huragan, tajfun,

pożar, trzęsienie ziemi. Nic się jednakże takiego nie zdarzyło i po dwudziestu minutach Borzycki zaczął się trzeźwo zastanawiać nad sytuacją.

Zrzec się sprawy? Prosić szefa o przydzielenie jej komu innemu? Równałoby się to wypuszczeniu inicjatywy ze swoich rąk. Przez czysty przypadek dostał tę sprawę do prowadzenia i chyba nie powinien z niej rezygnować. A jeżeli on rzeczywiście zastrzelił tego człowieka? Dotychczas nie dopuszczał do siebie tej myśli, mimo iż wszystko przemawiało za tym, że on był autorem zbrodni. Co dalej? Jak ma postąpić? No cóż... najprościej było tak pokierować sprawą, żeby ją po pewnym czasie umorzyć z braku dowodów. Potrząsnął głową. Nie. Przecież później nie mógłby żyć, nie mógłby pracować, nie mógłby spojrzeć ludziom w oczy. A Ewa? Co by jej odpowiedział, gdyby go spytała, jak się skończyła sprawa zabójstwa Leona Elerta? Nie! Jeżeli jest mordercą, to poniesie wszystkie konsekwencje swego czynu.

Podniósł słuchawkę i połączył się z gabinetem Krzypińskiego.

— Słuchaj, Mięciu, muszę z tobą pomówić w pilnej sprawie. Miałbyś teraz chwilę czasu?

Krzypiński był bardzo zajęty, ale w głosie przyjaciela posłyszał nieznaną mu dotychczas nutę. Powiedział:

— Dobrze. Zaraz u ciebie będę.

Borzycki, raz podjąwszy decyzję, nie tracił czasu na zbędne wstępy. Od razu przystąpił do rzeczy. Kiedy skończył mówić, zapanowała chwila milczenia.

Krzypiński przyglądał mu się z niedowierzaniem.

— Wiesz co, Stachu? Gdyby mi ktoś inny opowiedział taką historię, tobym przypuszczał, że mnie nabiera na kawał albo że rozmawiam z wariatem.

— Wcale ci się nie dziwię — powiedział Borzycki. — Ja sam przez moment nie byłem pewien, czy nie postradałem zmysłów.

— Więc twierdzisz, że odciski palców, znalezione w mieszkaniu Elerta, pokrywają się z twoimi liniami papilarnymi?

— Nie ma co do tego wątpliwości. Zresztą sam zobacz. — Borzycki wyjął z teczki materiały daktyloskopijne i dołączył do

nich swoje odciski palców, które przygotował sobie w domu. — Spójrz. Linie są bardzo wyraźne.

Krzypiński uważnie obejrzał odciski palców.

— No, cóż... rzeczywiście zgadza się. Powiedz mi, Stachu, czy ty знаles tego Elerta?

— Nie. Nigdy go nie widzialem. Spotykałem czasem w prasie jego nazwisko. Pisywał zdaje się jakieś kryminalne reportaże.

— I jesteś pewny, że u niego w mieszkaniu nigdy nie byłeś?

— Oczywiście, że nie. To znaczy...

— Tak, tak... — przerwał Krzypiński. — Miałem na myśli twój stan normalny, bez uwzględniania jakichś zamroczeń.

— Co mi radzisz robić w tej sytuacji? — spytał Borzycki.

Krzypiński potarł dłonią błyszczącą łysinę. Wyglądał na bardzo zafrasowanego.

— Paskudna historia, psiakrew.. Naprawdę trudno mi coś ci radzić. W każdym razie nie wolno ci popaść w panikę ani w żadną depresję. Najważniejsze to zimna krew. Nie spieszymy się z decyzją.

— Łatwo ci mówić.

— Wiem, wiem, że to nie jest proste, ale trzeba wszystko bardzo dokładnie przemyśleć. Pozwól mi działać.

— Co chcesz zrobić? — spytał niespokojnie Borzycki.

— Uważam, że w tej sytuacji musimy porozumieć się z szefem.

— Mam do niego pójść?

— Nie, nie. Jesteś zbyt zdenerwowany. Oszczędzę ci tej rozmowy. Ja z nim pomówię.

— Dziękuję ci, Mięciu.

Krzypiński żwawo zerwał się ze swego miejsca i energicznym krokiem ruszył ku drzwiom.

— Zaczekaj na mnie. Nigdzie nie wychodź — powiedział, kładąc rękę na klamce.

Borzycki został sam. Przymknął oczy i przez chwilę poddał się bezwładowi, który nastąpił po odprężeniu nerwowym. Dopiero w tej chwili poczuł, jaki jest zmęczony. Przeżył straszną, makabryczną noc. Teraz już nie potrzebował się zastanawiać nad swą decyzją. Był szczęśliwy, że powiedział o wszystkim

Krzypińskiemu i że ma tę rozmowę poza sobą. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że pod wpływem przerażenia, zdenerwowania, bliski był zrobienia jakiegoś głupstwa. Zatajenie tej całej sprawy, chociażby tylko na przeciąg paru dni, mogłoby pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki. Nie wiedział przecież, co się naprawdę kryło za całą tą aferą.

Krzypiński wrócił po upływie czterdziestu minut. Nie był sam. Towarzyszył mu wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o pociągłej, śniadej twarzy i głęboko osadzonych, badawczych oczach. W ciemnej, zaczesanej do góry czuprynie srebrzyły się siwe włosy.

— Znasz przecież kapitana Downara — powiedział Krzypiński.

Borzycki mocno uściśnił wyciągniętą ku sobie dłoń.

— Oczywiście. Proszę, siadajcie, panowie.

— Tak się szczęśliwie złożyło — mówił dalej Krzypiński, zapalając papierosa — tak się złożyło, że u szefa zastałem kapitana, który ma ochotę zająć się twoją sprawą.

Borzycki był trochę zmieszany. Nie sądził, że to nabierze od razu takiego rozgłosu.

— Bardzo się cieszę, że właśnie pan...

Downar uśmiechnął się.

— Jest to sprawa niezwykle delikatna i dlatego od razu na wstępie pragnę pana uspokoić, panie prokuratorze, że nikt poza nami nie dowie się niczego na ten temat. Nawet porucznika Olszewskiego, który prowadzi śledztwo, na razie w to nie wtajemniczymy.

— Uważa to pan za słuszne?

— Oczywiście. W tej chwili te wiadomości nie są mu zupełnie potrzebne, a poza tym nie należy go sugerować. To mogłoby się nawet niekorzystnie odbić na jego pracy.

— Co pan proponuje?

Downar poprawił się na krześle i wyjął papierośnicę.

— Przede wszystkim chciałbym prosić, żeby pan opowiedział mi dokładnie całą historię, z uwzględnieniem najdrobniejszych nawet szczegółów. Wiem, że to bardzo nudne powtarzać w kółko to samo, ale bywają sytuacje, kiedy należy uzbroić się w

cierpliwość.

Borzycki posłusznie zrelacjonował swoją przygodę. Gdy skończył mówić, Downar spytał:

— O której pan wyszedł od Siewierskich?

— Koło drugiej w nocy.

— A do domu przyszedł pan po piątej?

— Tak przynajmniej twierdzi dozorca.

— I nie pamięta pan, co się z panem działo przez te i parę godzin?

— Nic nie pamiętam.

— Nie ma pan żadnych mglistych wspomnień, jakiejś wizji, które pan bierze być może za sen?

— Nic, zupełnie nic, absolutna pustka.

Downar zapalił papierosa i utkwiał badawcze spojrzenie w twarzy prokuratora. Po chwili znowu spytał:

— Czy pan jest pewien, że nie zabierał pan ze sobą pistoletu, idąc na wizytę do państwa Siewierskich?

— Co do tego nie mam wątpliwości — odparł Borzycki. — Pistolet zawsze leży w szufladzie mego biurka. Nigdy go ze sobą nie zabieram.

— I znalazł pan pistolet w kieszeni płaszcza, w którym pan był u Siewierskich?

— Tak.

— Czy ma pan ten pistolet tutaj ze sobą?

— Tak. Zabrałem go. Chce pan go obejrzyć?

— Bardzo proszę.

Borzycki sięgnął do kieszeni i podał broń przez biurko. Downar wyjął magazynek, porachował naboje, a następnie wprawnie rozebrał pistolet i zajrzał pod światło w lufę.

— Tak. Niedawno z niego strzelano.

— Ale ja pistoletu nie zabierałem do Siewierskich

— Czy istnieje taka możliwość, panie prokuratorze, że pan kiedyś wsunął pistolet do tego płaszcza i że pan o tym zapomniał?

Borzycki energicznie potrząsnął głową.

— To zupełnie nieprawdopodobne. Pistolet jest ciężki. Człubym przecież, że coś mam w kieszeni.

— Wspomniał pan, że na tę wizytę poszedł pan zdenerwowany.

— Tak było w istocie. Byłem bardzo zdenerwowany.

— Tego palta, w którym pan wtedy poszedł, nie używa pan na co dzień?

— Nie. To jest palto o charakterze wizytowym.

— Czasami nosi pan broń przy sobie?

— Bardzo rzadko.

— Więc jednak nie możemy wykluczyć tej ewentualności, że pan kiedyś wsunął do kieszeni tego płaszcza pistolet, a w sobotę pod wpływem zdenerwowania nie zauważył pan, że...

Borzycki poruszył się niecierpliwie...

— Czy pan usiłuje dowieść, kapitanie, że to ja zastrzeliłem Elerta?

— Nie mam wcale tego zamiaru — uśmiechnął się Downar. — Muszę jednak ustalić pewne fakty możliwie jak najściślej.

— Szkoda, Stachu, że z tego pistoletu nie zdjąłeś odcisków palców — wtrącił się do rozmowy Krzypiński.

Borzycki zwrócił ku niemu bładą, zmęczoną twarz.

— Nie pomyślałem o tym. Byłem taki podniecony.

— To by niewiele dało — powiedział Downar. — Odciski palców na pistolecie są bardzo słabo czytelne, jeżeli w ogóle można się ich doszukać. A nawet gdyby się nam udało znaleźć jakieś obce linie papilarne, to co z tego? Gdzie szukać ich właściciela? Poza tym cała afera została zmontowana tak precyzyjnie, że jestem całkowicie przekonany, iż człowiek, który strzelał z tego pistoletu, miał na rękach rękawiczki.

— Więc nie podejrzewa mnie pan o to morderstwo? — uśmiechnął się trochę sztucznie Borzycki.

— Raczej nie. Koncepcja, że pan w alkoholowym zamroczeniu zastrzelił zupełnie nieznanego sobie człowieka, wydaje mi się bardzo mało prawdopodobna. Nie jestem specjalistą od tych spraw, ale nie sądzę, żeby to było możliwe. Zresztą porozmawiam na ten temat z doktorem Orłowskim. On, jako psychiatra, będzie miał tu coś do powiedzenia.

— Czy pan ma już jakąś koncepcję, kapitanie? — spytał Krzypiński. — Jak to wszystko właściwie mogło wyglądać?

Downar uśmiechnął się.

— No cóż... Przeróżnych koncepcji można tworzyć wiele. Wystarczy mieć trochę fantazji. Nie bawmy się jednak w tej chwili w twórczość literacką. Ja lubię operować konkretnymi faktami. Chciałbym pana jeszcze zapytać, panie prokuratorze, czym się pan tak zdenerwował przed wizytą u Siewierskich?

Borzycki trochę się zmieszał.

— Wolałbym nie mówić na ten temat.

— Muszę to wiedzieć — nalegał Downar. — Każdy szczegół tej niecodziennej sprawy może okazać się ważny.

Borzycki opowiedział o wizycie Julii i o wiadomościach, dotyczących Bogdana.

— Osiemdziesiąt tysięcy — mruknął Downar.

— Tak.

— Czy pańska była małżonka wymieniła sumę, jaką ewentualnie byłaby skłonna wyasygnować na pokrycie tego nadużycia?

— Powiedziała, że ze sprzedaży biżuterii mogłaby ewentualnie uzyskać jakieś trzydzieści do czterdziestu tysięcy.

— Trzydzieści tysięcy... To znaczy, że do całej sumy brakowałoby pięćdziesięciu tysięcy złotych, a więc akurat tyle, ile dał panu ten podejrzany typ.

— Pan sądzi, kapitanie, że sprawa mego syna może mieć coś wspólnego...?

Downar lekko wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Rozważam rozmaite ewentualności. Tutaj po prostu narzuciła mi się zbieżność sum.

— Czyżby Julia...?

— Nie, nie, nie galopujmy. Nie podejrzewam pańskiej żony o udział w tej aferze. Najprawdopodobniej to zwykły zbieg okoliczności.

— Co ja mam zrobić z tymi pieniędzmi? — spytał Borzycki.

Downar zastanowił się przez chwilę.

— No cóż... Uważam, że powinien pan przesłać tę kwotę swojej byłej małżonce.

— Julii? — zdziwił się Borzycki.

— Tak. Niech pokryje nadużycia syna.

— To jest bardzo dobry pomysł — poparł Downara Krzypiński.

— Tak uważacie?

— Oczywiście. — Downar zapalił nowego papierosa i zaciągnął się dymem. — Niech pan, panie prokuratorze, jeszcze dzisiaj zadzwoni do Krakowa i powie żonie, że zdobył pan potrzebne pieniądze, że pan nie chce kompromitacji i że pan przekazuje jej tę kwotę. Dobrze by było, gdyby tę rozmowę telefoniczną ktoś słyszał, chociażby gosposia. Sądzę, że jest to kobieta, która lubi sobie poplotkować.

— Jak wszystkie gosposie.

— No właśnie. Zależy nam na tym, żeby wiadomość, iż pan skorzystał z tych pieniędzy nie pozostała tajemnicą.

— Ale czy ja mogę rozporządzać tymi pieniędzmi? — zaniepokoił się Borzycki.

Krzypiński skwapliwie pokiwał głową.

— Sądzę, że tak. Nawet chyba na pewno. Dla dobra śledztwa. Kapitanowi chodzi o to, żeby ludzie, którzy cię omotali, dowiedzieli się o tym, że zrobiłeś użytek z tych pieniędzy. Wtedy mają cię w ręku. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że przestępcy dowiedzieli się o sprawie syna i o wizycie u ciebie twojej byłej żony. Mogli po prostu wpaść na pomysł, żeby wykorzystać tę sytuację. Teraz tylko chodzi o to, żeby mieli pewność, że ty wzięłeś tę forszę.

— Bardzo słuszne rozumowanie — przytaknął Downar. — Musimy stworzyć pozory, że pan działa tak, jak oni to sobie zaplanowali i że pan nikomu się nie zwierzył.

— Co do tych pieniędzy, to muszę się porozumieć z szefem — powiedział Borzycki.

— To pan zawsze może zrobić, dla spokoju sumienia. Nie sądzą jednak, żeby szef miał jakieś zastrzeżenia.

Krzypiński spojrział na zegarek.

— No, kochani, ja muszę lecieć. Chyba żeśmy sobie już wszystko z grubsza ustalili.

— Jedna prośba — powiedział Downar. — Absolutnie nikt nie może wiedzieć o tym, że jesteśmy w tej sprawie w porozumieniu. Przypuszczam, że w niedługim czasie ci

przestępcy wysuną jakieś swoje żądania w zamian za dyskrecję. Musimy cierpliwie czekać na dalszy rozwój wypadków. Ja będę się kontaktował z panem, panie prokuratorze, bardzo ostrożnie i to na razie wyłącznie drogą pośrednią. Sądzę, że zwrócimy się z prośbą o pomoc do pana prokuratora Krzypińskiego, żeby zechciał być pośrednikiem pomiędzy nami.

— Jak najchętniej — zgodził się Krzypiński.

— Musimy uzbroić się w cierpliwość — mówił dalej Downar — i działać niezwykle ostrożnie. Żadnych nie przemyślanych, gwałtownych posunięć.

I jeszcze jedno: chciałbym dostać od pana listę gości, którzy byli wtedy na przyjęciu u państwa Siewierskich.

ROZDZIAŁ IV

Downar doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że to będzie twardy orzech do zgryzienia. Nie żałował jednak swojej decyzji. Lubił trudne zadania, a skomplikowana zagadka kryminalna zawsze go ekscytowała.

Po rozmowie z prokuratorem pojechał bezpośrednio do Komendy Głównej. Musiał porozumieć się ze swoim szefem.

Major Leśniewski z dużym zainteresowaniem wysłuchał opowiadania o sensacyjnej sprawie Borzyckiego. Bez trudu zgodził się, żeby Downar zajął się jej wyświetleniem.

— Jedno mnie tylko niepokoi — powiedział zapalając papierosa. — Czy prokurator Borzycki rzeczywiście nie zastrzelił tego dziennikarza w stanie zamroczenia alkoholowego?

— Ja także o tym myślałem — podchwycił Downar. — Do tej pory nie zetknąłem się z tego rodzaju amnezją. Będę się musiał chyba skontaktować z jakimś fachowcem, może z doktorem Orłowskim?

— Pomówcie z nim koniecznie. A co się tyczy śledztwa w sprawie zamordowanego Elerta, to podzielał wasze zdanie, żeby porucznika Olszewskiego na razie nie wtajemniczać w te komplikacje z Borzyckim. To mogłoby go rzeczywiście

niepotrzebnie zasugerować. Niech prowadzi dochodzenie i niech zbiera materiały. Wy będziecie mieli z prokuratury wszystkie wiadomości o postępowaniu śledztwa. Być może, iż zajdzie potrzeba, żebyście oficjalnie pomogli w robocie Olszewskiemu, ale to dalsza sprawa.

Wyszedłszy z Komendy Downar pojechał do Instytutu Higieny Psychiczej. Doktor Orłowski był zdziwiony. Od razu przyjął postawę obronną.

— Nie namówi mnie pan do wzięcia udziału w żadnym śledztwie — powiedział stanowczo. — Mam aż nadto swojej własnej roboty.

Downar uśmiechnął się.

— Proszę się nie obawiać, panie doktorze. Tym razem nie mam zamiaru wciągać pana do współpracy ze mną. Chodzi tylko o małą konsultację fachową.

— A jeżeli tak, to co innego. Niech pan siada, kapitanie, czym mogę służyć?

— Chciałbym się czegoś dowiedzieć o amnezji alkoholowej.

Orłowski wyjął z kieszeni fajkę i zaczął ją nabijać tytoniem.

— No cóż... amnezja alkoholowa jest to zanik pamięci wywołany alkoholem. To dość powszechne zjawisko, że pijak po wytrzeźwieniu nie pamięta, co się z nim działo.

— Oczywiście — przytaknął Downar. — Ale widzi pan... mnie chodzi o bardziej skomplikowane przypadki. Jeżeli bowiem ktoś upija się do utraty przytomności, to nie ma o czym mówić. Chciałbym się zorientować, czy stosunkowo niewielka ilość alkoholu może spowodować luki pamięciowe obejmujące powiedzmy okres kilku godzin.

Orłowski skinął głową.

— Tak, zdarzają się takie wypadki. Spotykamy się z nimi raczej rzadko, ale zaniki pamięci pod wpływem niedużej stosunkowo dawki alkoholu są mi znane.

— I taki człowiek na pozór porusza się i działa zupełnie normalnie?

— Najzupełniej normalnie. Nieraz trudno nawet spostrzec, że w ogóle coś wypił.

— A czy jest możliwe, aby w czasie tej przerwy w świadomości

dany osobnik popełnił jakiś czyn zbrodniczy?

Orłowski zapalił fajkę, pyknął z niej parę razy i dopiero po chwili odpowiedział:

— Widzi pan, kapitanie, to są bardzo skomplikowane sprawy... Rozważając rzecz na płaszczyźnie czysto teoretycznej, można zaryzykować twierdzenie, iż w człowieku, znajdującym się pod działaniem narkotyku, w danym wypadku alkoholu, wyzwalają się pewne instynkty, tkwiące w podświadomości, z istnienia których człowiek ten często nawet nie zdaje sobie sprawy.

— Czyli doktor Jekyll i mister Hyde — uśmiechnął się Downar.

— Utrafił pan w sedno! To ten sam problem, problem złych instynktów, zagrzebanych głęboko w podświadomości, przykrytych grubą warstwą wychowania, wykształcenia, ogłady towarzyskiej, obwarowanych zasadami religijnymi, normami moralnymi, wyznawanymi od wieków przez środowisko. Jeśli pan chce się bliżej zaznajomić z tymi zagadnieniami, radzę poczytać Freuda, który szczegółowo rozpatruje życie naszej podświadomości, popadając jednak niekiedy w dość skrajne sformułowania.

Downar postanowił przerwać oratorski zapal Orłowskiego. Spytał:

— Więc według pana, człowiek znajdujący się pod wpływem alkoholu, w okresie amnezji alkoholowej zdolny jest do popełnienia zbrodni, do morderstwa?

Orłowski w zamyśleniu pokręcił głową.

— Nie galopujmy. Nie spieszymy się z wysuwaniem zbyt lekkomyślnych wniosków. Na wstępie powiedziałem, że mówię to wszystko z pozycji czysto teoretycznej. Teoretycznie rzeczywiście taka rzecz jest możliwa, praktycznie jednak musimy podejść do tego zagadnienia nieco inaczej. Domyślam się, że pan przyszedł do mnie w tej sprawie dlatego, że ma pan w tej chwili do rozpracowania jakiś przypadek związany z amnezją alkoholową. Otóż, moim zdaniem, jest rzeczą bardzo mało prawdopodobną, żeby człowiek, nie zdradzający nigdy żadnych zbrodniczych instynktów, mógł pod wpływem alko-

holu zamordować kogoś na zimno, bez bójki, awantury. Jest to mało prawdopodobne, chociaż nie niemożliwe.

— Czy sądzi pan, panie doktorze, że po dwóch koniakach, trzech kieliszkach wódki i dwóch czy trzech kieliszkach wina można popaść w taki stan amnezji alkoholowej, żeby zamordować zupełnie sobie nie znanego człowieka?

— Wydaje mi się to wątpliwe — powiedział Orłowski, wystukując z fajki do popielniczki resztki tytoniu — po pierwsze ta ilość alkoholu jest stanowczo za mała, a po drugie takie stany amnezyjne występują przeważnie po długotrwałym picciu. Pijący może nie wypić dużo od razu, ale musi mieć pewną ciągłość picia. Powiedzmy dla przykładu: pije cały dzień, włóczy się z knajpy do knajpy, a następnie w nocy na przeciąg kilku godzin popada w stan amnezyczny. Zresztą wszystko to, co panu mówię, kapitanie, to są jakieś duże uogólnienia. Właściwie każdy przypadek należy traktować indywidualnie. Tak jak przy stawianiu diagnozy trzeba brać pod uwagę szereg elementów, wrodzone dyspozycje, przebyte choroby, strukturę psychofizyczną, wykonywany zawód, wpływy środowiska itd., itp. Ja panu podaję tylko najbardziej schematyczne, najbardziej prymitywne ujęcie zagadnienia. Do szczegółowszych wniosków mógłbym dojść dopiero po zaznajomieniu się z pańskim pacjentem, po poddaniu go dłuższej obserwacji.

Downar uśmiechnął się.

— Niestety, panie doktorze, w tej chwili jest to niemożliwe.

— To się znakomicie składa. Wcale się nie palę do dodatkowej roboty. Moja własna wystarcza mi w nadmiarze.

*

Wróciwszy do komendy, Downar zastał wiadomość z prokuratury. Nie tracąc czasu pojechał na Świerczewskiego. Bardzo był ciekaw, czego chce od niego Krzypiński.

Okazało się, że Borzycki sporządził już spis gości, którzy wzięli udział w sobotnim przyjęciu u Siewierskich. Downar uważnie przeczytał nazwiska.

Siewierski i jego żona.

Bolesław Szypowski z żoną, Waclaw Heger, Teresa Bonicka,

Mikołaj Łaciak.

— Jeśli mam być szczerzy, to niewiele mówią mi te nazwiska.

— Służę panu informacjami — powiedział Borzycki.

Downar wyjął z kieszeni długopis.

— Więc może zaczniemy po kolei. Zdaje się, że Siewierski jest lekarzem.

— Tak. To mój kolega i przyjaciel jeszcze z czasów studiów uniwersyteckich.

— Czy jego żona pracuje?

— Nie. Siewierski dobrze zarabia.

— Jaką specjalność reprezentuje?

— Jest ginekologiem.

— Jedźmy dalej. Szypowski?

— Lekarz dentysta.

— Żona?

— Także nie pracuje. Pomaga mężowi.

— Waclaw Heger?

— Dziennikarz. Reporter. Często wyjeżdża za granicę.

— Następnie Teresa Bonicka.

— Plastyczka. Podobno najnowsza przyjaciółka Siewierskiej.

— Dlaczego pan mówi „podobno”? Nie znał pan jej przedtem?

— Nie, nie znałem jej.

— To skąd pan zna szczegóły, dotyczące jej osoby?

— Zadzwońłem do Siewierskiego i powiedziałem mu, że mi wpadła w oko ta przystojna pani. Przy okazji pogadałem sobie z Siewierskim i sprawdziłem, czy dobrze pamiętam, kto był na tym przyjęciu.

— Bardzo zgrabnie wybrnął pan z sytuacji — powiedział z uznaniem Downar. — Pozostaje nam jeszcze Mikołaj Łaciak. Kto to taki?

— To brat Siewierskiej.

— Czym się zajmuje?

— O ile wiem, to w tej chwili głównym jego zajęciem jest ukrywanie się przed Wydziałem Finansowym. Prywatna inicjatywa. Prawdę mówiąc, Siewierscy mają z nim sporo kłopotów. To jeden z tych typów, pragnących w błyskawicznym

tempie dojść do dużej fortuny i mających coraz to nowe pomysły, które w realizacji stają się prawdziwą klęską dla nich samych i dla najbliższego otoczenia.

— Czy Siewierscy mają dzieci? — spytał Downar.

— No, rzeczywiście... zupełnie zapomniałem o Kasi. Córka Siewierskiej z pierwszego małżeństwa. Studentka. Jest na Akademii Sztuk Pięknych.

— Była na tym przyjęciu?

— Tak. To znaczy była na początku. Potem pojechała do Komorowa na tak zwaną prywatkę. Więc tylko z wieczora pomogła trochę matce. Bardzo miła dziewczyna. Przyjaźnią się z moją córką.

— Czy pan jest pewien, panie prokuratorze, że wymienił pan wszystkich gości Siewierskich? O nikim pan nie zapomniał?

Borzycki potrząsnął głową.

— Nie. Wydaje mi się, że o nikim nie zapomniałem. Czy pan przypuszcza, że ktoś z nich ma coś wspólnego z zamordowaniem Elerta?

— Na razie nic nie przypuszczam. Zbieram materiał. Usiłuję znaleźć punkt zaczepienia w tej sprawie. Jeżeli panu przypomniałby się jeszcze jakiś szczegół dotyczący kogoś z tego towarzystwa, to byłbym bardzo wdzięczny za wiadomość. I jeszcze jedno pytanie. Co robiła pańska córka w sobotę wieczorem?

— Ewy nie było w Warszawie. Pojechała także do Komorowa, do przyjaciółki. Wróciła dopiero w niedzielę wieczorem.

— Jak się nazywa ta przyjaciółka?

— Halszka Zdrójcecka.

— Mieszka z rodzicami?

— Tak.

— Czym się zajmuje jej ojciec?

— Jest chemikiem. Pracuje w zakładach farmaceutycznych.

— Zna go pan?

— Bardzo mało. Raz czy dwa widziałem go przelotnie. Właściwie żadna znajomość.

Downar zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił dym nozdrzami.

— Chciałbym jeszcze, panie prokuratorze, wrócić do sprawy pańskiego pistoletu. Podczas pierwszej naszej rozmowy wspomniał pan, że zamykał go pan w szufladzie biurka i że prawie nigdy nie nosił przy sobie.

— Tak było w istocie. Jakies dwa, trzy lata temu chodziłem przez kilka tygodni uzbrojony. Wnosiłem wtedy oskarżenie przeciwko szajce bandytów. Dostawałem anonimy z pogrózkami.

— I od tej pory nigdy pan nie wyjmował pistoletu z biurka?

— Nie. W każdym razie nie przypominam sobie.

— Ale pistolet w szufladzie pan widywał od czasu do czasu.

— Oczywiście. Oprócz pistoletu trzymałem w tej szufladzie różne inne rzeczy.

— Kto z pańskiego otoczenia wiedział, gdzie pan trzyma broń?

Borzycki zawahał się.

— Nie wiem. Może Ewa... Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek rozmawiali na ten temat.

— A gospościa?

— Nie. Gospościa nie mogła wiedzieć.

— Ta gospościa dawno pracuje u pana?

— O tak, bardzo dawno. Ewa była jeszcze małym dzieckiem, gdy ona do nas przyszła.

— Czy nie zauważył pan, żeby gospościa miała kontakty z jakimiś podejrzanymi typami?

— Nie. To starsza i bardzo stateczna kobieta. Wprawdzie ma niezbyt obiecującego siostrzeńca, który już dwa razy odsiadywał karę więzienia, ale on bywa u nas bardzo rzadkim gościem. Raczej Karolcia jeździ w odwiedziny do siostry do Anina i tam widuje się z tym chłopakiem.

Downar spojrział na zegarek.

— No cóż... chyba nie będę już panu dziś więcej czasu zajmował. Gdyby pan miał dla mnie jakieś ciekawe wiadomości, to proszę o skontaktowanie się ze mną.

Borzycki otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował z tego zamiaru. W milczeniu wyciągnął rękę na pożegnanie.

*

— Do diabła! — zaklął Downar. — Ponosi mnie fantazja. — Wstał z tapczana, zapalił światło i zaczął krążyć po pokoju, rzucając wściekle spojrzenia na meble. Od kilku dni próbował „ugryźć” sprawę Borzyckiego, ale bez rezultatu. Stworzył sobie wprawdzie szereg mniej lub więcej prawdopodobnych wersji, z których każda mogłaby z powodzeniem służyć jako temat do niezwykłej powieści kryminalnej.

Wszystko to jednak nie było oparte na żadnych konkretnych faktach, nie miało przysłowiowych rąk i nóg. Przypuszczenia, domysły, luźne hipotezy, zawieszono w powietrzu. Taka taktyka nie prowadziła do niczego, a jedynie mąciła umysł, zaciemniała obraz realnej sytuacji.

Po głębszym namyśle Downar doszedł do wniosku, iż nie osiągnie zadowalających rezultatów w swej działalności, jeżeli nie nawiąże bezpośredniej współpracy z oficerem prowadzącym śledztwo. Należało zrezygnować z roli stojącego na uboczu obserwatora i włączyć się do akcji, nie odkrywając oczywiście wszystkich kart.

Downar właśnie zastanawiał się nad jakimś zręcznym rozwikłaniem tego problemu, gdy zadzwonił telefon. Bywają w życiu czasem takie zbiegi okoliczności. Posłyszał głos Olszewskiego:

— Czy mogę do was teraz na chwilę przyjechać?

Downar spojrział na zegarek. Do spotkania z panią

Teresą miał jeszcze sporo czasu. Powiedział więc:

— Przyjeżdżajcie!

Po upływie pół godziny siedzieli przy niskim, prostokątnym stolczku i pili kawę, którą Downar zaparzył z wprawą doświadczonego konesera.

Porucznik Olszewski trochę zbyt długo mieszał cukier w filiżance. Wreszcie umoczył wargi w brunatnym płynie, pokiwał z uznaniem głową i mruknął:

— Świetna. — Wiedział, że parzenie kawy to ostatnie hobby Downara. — Mam do was prośbę, towarzyszu kapitanie, słyszeliście zapewne o zamordowaniu dziennikarza, Leona Elerta.

- Tak, słyszałem.
- Prowadzę śledztwo w tej sprawie.
- Wiem o tym.

Na pogodnej, młodzieńczej twarzy Olszewskiego odmalowało się zakłopotanie. Widać było, że nie bardzo wie, jak sformułować to, o co mu chodziło.

— Powiem wam po prostu. Nie mogę sobie dać rady z tą cholerną sprawą.

— Tyle macie z nią kłopotu? — spytał z życzliwym uśmiechem Downar.

— Do licha i trochę. Prawdę mówiąc, do tej pory drepczę w miejscu. Nie mogę ruszyć, a ponieważ wiem, że wy lubicie takie skomplikowane historie, więc chciałbym wam zaproponować współpracę. Może będziecie się włączyli do tego interesu? Oczywiście, jeżeli się zgodzi wasza władza zwierzchnia.

— Można by się nad tym zastanowić — powiedział na pozór obojętnie Downar. — Jeżeli rzeczywiście sprawa jest taka interesująca, jak mówicie...

Olszewski ożywił się.

— Sądzę, że sprawa jest niezwykle interesująca, tylko bardzo skomplikowana. Nie będę przed wami ukrywał, że gubię się w tym wszystkim.

— Czy macie już jakieś podejrzenia? — spytał Downar. — Czy może ktoś z otoczenia Elerta...?

— Ba, podejrzanych może być w samej Warszawie paręset osób, nie licząc prowincji.

— Dlaczego aż takie tłumy?

— Elert był znanym dziennikarzem. Zajmował się sprawami kryminalnymi, a jego specjalnością były wszelkiego rodzaju nadużycia gospodarcze. Nieraz już dopomógł milicji, prokuraturze, wpadając na trop najróżnorodniejszych afer. Czego jak czego, ale wrogów na pewno mu nie brakowało.

— Więc sądzicie, że to jakaś zemsta związana z jego pracą zawodową?

Olszewski w zamyśleniu pokręcił głową.

— Bo ja wiem. Jest to bardzo prawdopodobne, ale może istnieć jeszcze inna ewentualność. Elert był, jak to się mówi,

Don Juanem. Miał cholerne powodzenie u babek! Nie można wykluczyć, że motywem zbrodni była...

— Zazdrość — dokończył Downar.

— Właśnie. Zazdrość, zemsta jakiejś zdradzonej kochanki...

— Czy Elert był żonaty?

— Teoretycznie. Od dwóch blisko lat nie żył z żoną. Mieszkała ona osobno, na Sadybie.

— Mieli dzieci?

— Pięcioletnia córeczka jest przy matce.

— Rozmawialiście z Elertową?

— Oczywiście.

— Jakie na was zrobiła wrażenie?

— Niczego sobie babeczka. Wygląda na kutą na cztery nogi..

— Sprawdziliście jej alibi?

— To właściwie niemożliwe. Mieszka sama z dzieckiem. Nikt nie mógł potwierdzić jej alibi.

— A dziecko?

— Wtedy dziecka nie było w domu. Na sobotę i niedzielę Elertowa zwykle odwozi małą do matki, do Świdra.

Downar zapalił papierosa i nalał kawę.

— Czy waszym zdaniem Elertową można posądzać o dokonanie tego rodzaju zbrodni?

Olszewski skrzywił się.

— Wątpię. Zresztą... — Nagle pochylił się nad stolikiem i zniżył głos tak, jakby się obawiał, że ktoś ich podsłuchuje. — Powiem wam coś w zaufaniu, towarzyszu kapitanie. Ta Elertowa to się bliżej przyjaźni z prokuratorem Borzyckim.

Downar zmarszczył brwi i bacznie spojrział na mówiącego.

— Chyba się mylicie. Skąd ta wiadomość?

— Znalazłem fotografię prokuratora Borzyckiego w rzeczach Elertowej.

— Gdzieście znaleźli tę fotografię?

— W jej torebce. Wyszła na chwilę do telefonu, a ja tak z przyzwyczajenia zajrzałem do jej torby i znalazłem fotografię prokuratora Borzyckiego.

— Jesteście pewni, że to jego fotografia? Może ktoś podobny?

— To na pewno fotografia prokuratora — powiedział

stanowczo Olszewski.—Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Chyba żeby miał sobowtóra albo brata bliźniaka.

Downar siedział zamyślony. Wiadomość ta bardzo go zaskoczyła. Wypił duży łyk kawy.

— Mam nadzieję, że nie zabraliście z torby Elertowej tej fotografii.

Olszewski spojrział z wyrzutem.

— Obawiam się, towarzyszu kapitanie, że uważacie mnie za skończonego cymbała.

— Przepraszam was — roześmiał się Downar. — Daję słowo, że nie miałem tego rodzaju myśli. Wiem przecież, że cieszyacie się opinią jednego ze zdolniejszych oficerów dochodzeniowych. Zresztą gdybyście nie mieli odpowiedniego stażu, nie oddelegowano by was do tego rodzaju sprawy. Powiedzcie mi jeszcze, czy ustalono już kaliber broni, z jakiej został zabity Elert?

— Tak. Pistolet, kaliber 7,62. W Zakładzie Kryminalistyki zbadano pocisk.

— A łuska?

Olszewski zasępił się.

— Właśnie w tym feler, że nie znaleźliśmy łuski.

— Nie znaleźliście łuski? — zdziwił się Downar.

— Dobrze przeszukaliście cały pokój?

— Oczywiście.

— A może strzał został oddany z rewolweru?

— Wątpliwe. Eksperci twierdzą, że to był pistolet. Zresztą kto dzisiaj używa rewolweru.

— Więc co się stało z łuską?

Olszewski wzruszył ramionami.

— A bo ja wiem. Może morderca zabrał ją ze sobą, żeby utrudnić zidentyfikowanie broni.

— Albo żeby ułatwić to zidentyfikowanie — powiedział Downar.

Porucznik spojrział na niego z zainteresowaniem.

— Nie bardzo rozumiem.

— Wyobraźcie sobie, że ktoś wam ukradł pistolet i z tego pistoletu zastrzelił jakiegoś faceta. Następnie chce rzucić na was podejrzenie.

— Musiałby mi z powrotem podrzucić pistolet.

— Oczywiście.

Olszewski z rosnącą ciekawością przyglądał się Downarowi.

— Macie coś konkretnego na myśli?

— Nie. To są zupełnie teoretyczne rozważania. Taką ewentualność także musimy brać pod uwagę.

— Snując dalej takie teoretyczne rozważania — uśmiechnął się Olszewski — możemy stworzyć sobie jeszcze jedną koncepcję, że morderca zabija z zupełnie innego pistoletu, a łuskę z mojego pistoletu znajduje gdzie indziej przy jakiejś innej okazji.

— Zapominacie o tym, że i pocisk może posłużyć do zidentyfikowania broni. Zresztą to w tej chwili nie ma większego znaczenia.

— Czy chcecie włączyć się do tej sprawy, kapitanie?

Downar w zamyśleniu skinął głową.

— Tak, chyba tak. Porozumiem się jutro z samego rana z majorem Leśniewskim.

— Co mi radzicie w tej sytuacji?

— No cóż... Sądzę, że przede wszystkim powinniście się zorientować, w jakich aferach gospodarczych interweniował ostatnio Elert, a poza tym rozejrzyjcie się dobrze w jego przyjaciółkach. W czasie rewizji nie znaleźliście nic ciekawego w mieszkaniu?

— Nic. Chyba tylko te listy...

— Jakie listy?

— Znalazłem cały plik listów miłosnych, przewiązanych białą tasiemką.

— Czyje to listy?

— Ba, żebym to ja wiedział. Podpisane — Rena. Nie mam pojęcia, kto jest ich autorką.

— Przy okazji chciałbym przeczytać te listy — powiedział Downar.

— Czy nic więcej godnego uwagi nie wpadło wam w ręce?

— Chyba nic takiego. Zresztą wszystko jest zabezpieczone. Będziecie mogli sami obejrzeć mieszkanie Elerta i wszystkie drobiazgi.

Downar spojrział na zegarek.

— Bardzo was przepraszam, kolego, ale mam spotkanie na mieście. Muszę już iść.

*

Z Teresą Bonicką Downar nawiązał kontakt na jakiejś wystawie w „Zachęcie”. Przedstawił jej się jako filmowiec i powiedział, że opracowuje teraz dokument pod tytułem „Wędrówki po pracowniach malarskich”. Bez większych trudności otrzymał zaproszenie. O oznaczonej godzinie zjawił się w alei Niepodległości. Kamera filmowa, przewieszona non-szalancko przez ramię oraz mały berecik zsunięty na tył głowy czyniły zeń rasowego przedstawiciela X Muzy.

Malarka przyjęła go jak bliskiego przyjaciela. Jej rozpięty szlafroczek i serdeczna wylewność zaniepokoiły nawet trochę Downara. „Czyżby coś podejrzewała?” — pomyślał. Nie dał jednak poznać po sobie, że jest zaskoczony tymi objawami dwuznacznej zażyłości i sam od razu wpadł w swobodny, przyjacielski ton. Ulokował kamerę pod oknem, rozsiadł się wygodnie w fotelu i zapalił papierosa.

— Jest to najbardziej fotogeniczna pracownia, jaką w swoim życiu widziałem.

— O istotach żywych dyskretnie pan przemilcza — powiedziała z uśmiechem.

Zaczął jej się przyglądać z miną doświadczonego reżysera. Była wysoka, szczupła, miała bardzo zgrabne nogi, których długość podkreślała jeszcze wąska, zapewne celowo niezbyt długa i opięta spódnica z szarego tweedu. Czarny sweterek, chyba o numer za mały, był przesadnie dopasowany. Pełne, mocno zarysowane usta zdradzały dużą zmysłowość i zdecydowaną postawę wobec życia. W wąskich, nieco skośnych oczach kryły się ostre błyski. Poruszała się miękko i cicho jak kot.

— Pani ma znakomite warunki na gwiazdę filmową. Jestem przekonany, że w Hollywood zrobiłaby pani karierę. Pani uroda przypomina mi trochę Marinę Vlady, tylko że pani jest oczywiście bardziej atrakcyjna.

Spojrziała na niego i wybuchnęła śmiechem.

— Bierze mnie pan na potężny bajer, jak powiedział pewien mędrzec Wschodu. Niech mi pan lepiej zdradzi tajemnicę, czy pan woli kawę, czy herbatę.

Downar podniósł oczy w górę, jak gdyby u sufitu pracowni szukał natchnienia, i powiedział wolno, dobitnie akcentując poszczególne sylaby:

— Nie jestem pewien, czy dobrze bym zrobił, przyjmując z rąk pani jakikolwiek napój.

— A to dlaczego?

— Gdyż osoba tak obeznana z tajemnicami Wschodu może podsunąć mi wywar z jakiegoś cudownego ziela. Wypiję i zapłonę namiętnością.

— Czy w tym celu musi pan używać aż cudownego ziela?

— Pytanie jest z kategorii zenujących. Odpowiem pani na nie przy jakiejś innej okazji.

Rzuciła mu szybkie, badawcze spojrzenie.

— No więc kawa czy herbata?

— Jeśli można, to proszę o herbatę. Przed przyjściem do pani piłem kawę w towarzystwie bardzo interesującego młodzieńca.

— Woli pan męskie towarzystwo?

— To zależy od okoliczności. Nie trzymam się w tym względzie jakichś reguł, czego najlepszym dowodem jest fakt, że siedzę tu u pani i mam zamiar napić się znakomitej herbaty.

— „Ulung” z domieszką „Gruzińskiej”.

— Wierzę, że pani nawet z „Ulunga” potrafi wyczarować wspaniałą, aromatyczną napój.

— Jest pan urodzonym romantykiem i fantastą. Ale mimo to chciałabym panu zadać konkretne i zupełnie realne pytanie.

— Zamieniam się w słuch.

— Niech mi pan powie, po co pan właściwie do mnie przyszedł?

Downar zrobił zdziwioną minę.

— Jak to po co? Przecież już pani powiedziałem, że opracowuję film, którego tematem są pracownie malarskie.

— Mam w to wierzyć?

— No cóż... Właściwie nie dysponuję żadnymi konkretnymi argumentami, które by mogły panią przekonać o prawdziwości

moich słów.

— Więc naprawdę nawiązał pan ze mną kontakt po to, żeby zrobić zdjęcia mojej pracowni?

Downar wytrzymał badawcze spojrzenie kocich oczu.

— A jeżeli oprócz tego podoba mi się pani?

— Oprócz tego?

— Może przede wszystkim.

Woda zaczęła bulgotać. Teresa zdjęła czajniczek i zalała herbatę wrzątkiem.

— Widzę, że pan ma zamiar mnie czarować. Ostrzegam, że to nie jest takie proste.

Uśmiechnął się.

— Nie wątpiłem w to ani przez chwilę. Zresztą mówiąc, że przypomina mi pani Marinę Vlady, miałem na myśli film „Czarownica”.

— Chce pan przez to powiedzieć, że ja pana zaczaruję?

— Właśnie tego się trochę obawiam.

Nalala herbatę i postawiła szklanki na małym stolyczku. Niestety, „Ulung” nie reagował najwidoczniej na żadne czary, nawet domieszka „Gruzińskiej” nie uratowała sytuacji.

Downar, pragnąc uniknąć picia tej lury, wstał i wziął do rąk kamerę.

— Jeżeli pani pozwoli, to zrobię trochę próbnych zdjęć — zaproponował. Ustawił światła, zmienił żarówki na silniejsze, włączył swoją lampę, poprzesuwał meble. Zabrał się do tego z taką fachową wprawą, że malarka przestała być nieufna i podejrzliwa.

— Widzę, że pan naprawdę zna się na tym wszystkim.

Roześmiał się.

— Więc pani rzeczywiście myślała, że ja biorę panią na kawał?

— Bardzo pana przepraszam, ale przez chwilę przypuszczałam, że ta kamera to tylko pretekst.

— Ja umiem łączyć przyjemne z pożytecznym — powiedział Downar. — Nie zawsze mi się to udaje, ale w tym wypadku...

— Nie rozumiem.

— Czyżby? Przecież to zupełnie proste. Łączę przyjemność rozmowy z tak czarującą kobietą z moją pracą zawodową, która

niewątpliwie przyniesie mi pewne korzyści materialne.

Na półce z książkami leżał duży album, oprawny w zielony plastik. Downar już od pewnego czasu głowił się nad tym, jak by tu zajrzeć do albumu. Zrobił kilka ujęć pracowni, upozował malarkę przed sztalugami, kręcił, przestawiał, zmieniał wnętrza, robił wrażenie ogromnie zaaferowanego. Wreszcie odłożył kamerę pod okno, otarł spocone czoło i wskazując na aparat fotograficzny, wiszący koło framugi okiennej, spytał:

— Pani także para się robieniem zdjęć?

Machnęła ręką pogardliwie.

— Bardzo nieszczególny ze mnie fotograf. Kiedyś mnie to bawiło, ale teraz nie mam czasu. Jeśli mam być szczerą, to wolę malować.

— Chciałbym zobaczyć jakieś pani zdjęcia.

— Nic ciekawego.

— Ale mnie to interesuje. Jestem pewien, że przy pani wyrobieniu plastycznym może pani chwycić obiektywem bardzo piękne rzeczy. Proszę mi coś pokazać. O, zdaje się tutaj na półce leży album. Można zobaczyć?

Wzruszyła ramionami.

— Jeżeli pan koniecznie chce...

Downar starannie kontrolował każdy ruch. Bez zbytej skwapliwości wziął album z półki. Usiadł i zaczął go przeglądać, robiąc od czasu do czasu jakieś fachowe uwagi. Dłużej zatrzymał się przy zdjęciach z plaży nadmorskiej. — Wszystkie te fotografie robiła pani sama? — spytał.

— Nie. Niektóre robiła Rena.

Na dźwięk tego imienia Downar zrobił się czujny. Nie dał jednak poznać po sobie najmniejszego zainteresowania i dalej oglądał fotografie. Znalazszy Teresę w kostiumie kąpielowym, siedzącą na plaży w towarzystwie przystojnej kobiety, spytał: — To zdjęcie także robiła pani Rena?

— Nie. Przecież ona siedzi razem ze mną. To Zbyszek, jej mąż.

— Piękna kobieta.

— Bardzo efektowna — ożywiła się Teresa. — Tutaj jej dobrze nie widać. Pokażę panu jej powiększone zdjęcie. — Odebrała od

niego album i przewróciła kilka kartek. — O, proszę, niech pan spojrzy.

Downar wziął do ręki gabinetową fotografię i przez chwilę w milczeniu przyglądał się pięknej brunetce, o dużych, zamysłonych oczach.

— Piękna kobieta — powtórzył. — Mam wrażenie, że ją gdzieś już widziałem. Nie mogę sobie tylko przypomnieć gdzie.

— Bardzo możliwe, że pan gdzieś spotkał Renę. Siewierscy udzielają się towarzysko, a poza tym bywają dość często w teatrze, na koncertach.

— Ach, to pani Siewierska — powiedział to z takim dwuznacznym akcentem, że malarka spojrzała na niego zaskoczona.

— Dlaczego pan...?

— Nic, nic — przerwał jej pośpiesznie.

— Zdawało mi się, że wyczułam w pańskim głosie jakąś drwiącą nutę. Czy pan coś słyszał o Renie?

— Nie... To znaczy... Zresztą nie warto robić plotek. Możliwe, że widziałem już gdzieś fotografię pani Siewierskiej.

Patrzyła na niego wyczekująco.

— Chce mi pan dać coś do zrozumienia, ale nie bardzo wiem, o co chodzi.

Downar doskonale zdawał sobie sprawę z tego, nie wolno mu zrobić teraz ani jednego fałszywego kroku. Obrzucił malarzkę żartobliwym spojrzeniem, zapalił papierosa i dopiero po chwili powiedział:

— Słyszała pani zapewne o zabójstwie Elerta, takiego dziennikarza. Była zresztą wzmianka w prasie.

— Co pan wie o Renie i o Elercie? — głos Teresy zabrzmiał ostro, agresywnie.

Downar z trudem powstrzymał triumfalny uśmiech. Więc jednak trafił, więc to ta Rena, której listy znalazł Olszewski.

— Nie warto robić plotek.

W jej zwięzonych nagle oczach dojrzał hamowany gniew.

— Znał pan Elerta?

— Oczywiście. W pewnym sensie przyjaźniliśmy się, chociaż nigdy nie pochwalałem jego lekkomyślnego stosunku do

kobiet. Poza tym to nie był zbyt dyskretny mężczyzna. Lubił przechwalać się swymi sukcesami miłosnymi, a ja tego nie znoszę.

— Biedna Rena.

— Tak. Przyznać trzeba, że pani przyjaciółka nie najlepiej ulokowała swe uczucie. Przypuszczam też, że Elerta zabiła jakaś zdradzona kochanka, a może zazdrosny mąż.

Teresa w zamyśleniu potrząsnęła głową.

— W każdym razie nie można podejrzewać o to ani Reny, ani Zbyszka. Tej nocy, kiedy Elert został zamordowany, mieli goście. Ja też tam byłam. Obchodziliśmy imieniny Reny.

— Skąd pani wie, że akurat tej nocy Elert został zabity? — zdziwił się Downar.

— Powiedziała mi o tym Rena. Nie mogła sobie darować, że przeniosła imieniny z niedzieli na sobotę i że nie pojechała do niego.

— To zawsze w sobotę bywała u Elerta?

— Nie zawsze, ale często.

— Jaki to czasem bywa zbieg okoliczności. Teraz sobie dokładnie przypominam. Fotografię pani Siewierskiej pokazywał mi kiedyś Elert. Dlatego jej twarz wydała mi się od razu znajoma.

— Mam nadzieję, że pan zachowa dyskrecję. Byłoby rzeczą bezsensowną, żeby teraz to wszystko doszło do jej męża.

Downar pokiwał głową.

— Tak, oczywiście. Czy nie sądzi pani jednak, że istnieje obawa, że milicja, prowadząc śledztwo w sprawie zabójstwa Elerta, dowie się o jego stosunku z doktorową Siewierską?

Teresa nie odpowiedziała. Zamyślona patrzyła w okno. Mogło się zdawać, że na chwilę zapomniała o obecności swego gościa. Powiedziała: — Wystygła panu herbata. Należę gorącej.

ROZDZIAŁ V

Ewa miała zły dzień. Wszystko jej się nie udawało. Zrobiła awanturę w pralni, ponieważ nie uprano jej na czas płaszcz,

zwymyślała fryzjera, który ją źle uczesał, z powodu jakiegoś głupstwa pokłóciła się z Maćkiem, no i wreszcie ta rozmowa...

Zauważyła, że od pewnego czasu z ojcem dzieje się coś niedobrego. Schudł, zmizerniał, stracił apetyt. Przy posiłkach siedział chmurny i zamyślony. Z roztargnieniem zamieniał kilka zdawkowych słów. Kładł się spać późno, a wstawał bardzo wcześnie. Nawet w niedzielę, gdy to zazwyczaj lubił sobie poleżeć do południa i poczytać gazety, zrywał się o szóstej rano i kręcił się niespokojnie po mieszkaniu albo wychodził na miasto.

Śledztwo w sprawie zabójstwa Elerta utknęło na martwym punkcie i nic nie wskazywało na to, aby ta zagadkowa zbrodnia w niedługim czasie została wyjaśniona. Rozmowy z Downarem miały charakter ogólnikowy i Borzycki coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że zarówno Downar jak i Krzypiński poważnie biorą pod uwagę ewentualność, że on jest mordercą. Ta niewyraźna sytuacja rozstrajała go całkowicie i nie był już w stanie ukrywać swojej depresji i zdenerwowania.

Wreszcie Ewa postanowiła rozmówić się z ojcem. Zaraz po obiedzie zastukała do jego gabinetu.

Siedział w fotelu, wpatrzony w obraz wiszący na ścianie. Na kolanach trzymał rozłożoną gazetę.

— Tatusiu...

Zwrócił ku niej roztargnione, nieobecne spojrzenie.

— Chciałaś coś, córeczko?

— Muszę z tobą pomówić.

Uśmiechnął się blado.

— Pomówić? Siadaj, dziecinko. Pewnie potrzebujesz pieniędzy?

Usiadła naprzeciwko niego na wyściełanym krześle i potrząsnęła głową.

— Nie, nie chodzi o pieniądze. Chciałabym się dowiedzieć, co ci jest?

— Mnie? Nic mi nie jest.

— Przecież widzę, tatusiu, że coś się z tobą dzieje. Nie jesz, nie śpisz, jesteś straszliwie zdenerwowany, zmizerniałeś. Bardzo się o ciebie niepokoję. Może jesteś chory?

— Nie, nie, naprawdę nie. Jestem zupełnie zdrowszy.

— No więc o co chodzi?

Serdecznie pogładził ją po ręce.

— O nic nie chodzi, córeńko. Każdy ma swoje kłopoty

— Masz jakieś przykrości w prokuraturze?

Zaprzeczył gwałtownie.

— Ale skądże.

— Tatusiu, przecież widzę, że coś ci dolega, że coś cię gnębi.

Powiedz, co to takiego. Chciałabym ci pomóc.

— Dziękuję ci, kochanie, ale naprawdę w niczym nie możesz mi dopomóc.

Przygnębiona zwiesiła głowę.

— To niedobrze — powiedziała cicho. — To bardzo niedobrze, że nie masz do mnie zaufania. Zawsze mi tłumaczyłeś, że powinniśmy być przyjaciółmi, a przecież przyjaciel obowiązuje wzajemną szczerość. Ja ci mówię o wszystkim, a ty...?

Wzruszony podniósł się i pocałował ją w czoło.

— Kochanie moje, cóż chcesz, żebym ci powiedział?

— Chcę wiedzieć, co cię gnębi, co cię zżera? Przecież nie mogę na to patrzeć beczynnym. Chcę ci pomóc.

Opadł z powrotem na fotel. Powiedział, nie patrząc na nią:

— Nie możesz mi pomóc. Zresztą to nic ważnego. Nie zwracaj na mnie uwagi.

— Jakże ja, tatusiu, mogę nie zwracać na ciebie uwagi?

— Przestańmy mówić o mnie — poprosił. — Opowiedz mi lepiej coś o sobie.

Ewa wstała i energicznym ruchem obciągnęła na siebie sweterek.

— Jeżeli mi nie chcesz powiedzieć, co cię gnębi, to już nigdy nic ci o sobie nie opowiem. — Podeszła do drzwi. — Ale bądź pewien, że ja i tak się dowiem, o co chodzi — dodała, kładąc rękę na klamce.

Rozmowa z ojcem tak ją podnieciła, że nie mogła usiedzieć w domu. Zatelefonowała do Kasi. Umówiły się u „Dziennikarzy”.

Kasia odziedzyczyła po matce duże, aksamitne oczy i delikatną, porcelanową cerę. Naturalnego koloru jej włosów trudno się było domyślić, ponieważ wysoko tapirowana fryzura

nieustannie zmieniała barwę, przybierając najrozmaitsze, najmniej spodziewane odcienie, od jasnego fioletu i śnieżnej bieli począwszy, a kończąc na głębokiej czerni i wszystkich możliwych rodzajach czerwieni. Ale nie tylko włosy ulegały tym zaskakującym metamorfozom. Kasia w ogóle lubiła zmiany. Nieustannie zmieniała stroje, kapelusze, a nawet sympatie. Raz podobali jej się barczyści blondyni, to znowu ideałem męskim stawał się dla niej wysmukły brunet. Z godną podziwu lekkomyślnością zmieniała również swe zainteresowania zawodowe. Przez dwa lata studiowała polonistykę, następnie rok chodziła do szkoły muzycznej i wreszcie wylądowała w Akademii Sztuk Pięknych, gdzie usiłowała uprawiać nowoczesną sztukę. Doktor Siewierski, będąc człowiekiem bardzo zamożnym, z dużą pobłażliwością odnosił się do zwariowanej pasierbicy, licząc na to, że ładna dziewczyna wyjdzie w końcu za męża i że w ten sposób ustaną jej szaleństwa. Okazało się jednak, że to nie było takie proste. Młodych ludzi pociągała wprawdzie ekscentryczna malarka, ale po pewnym czasie coś w niej zaczynało ich niepokoić i stosunkowo szybko znikali z horyzontu. Kasia bowiem, pomimo pozorów ogromnej nowoczesności, miała w sobie coś z romantycznej egzaltacji. Być może, że była to poza, ale często, w najmniej spodziewanym momencie wpadała w sentymentalny nastrój i kiedy inni tańczyli twista w rytm szaleńczego jazzu, ją nagle ogarniała tęsknota do nocy księżycowej, do rechotania żab i do serenady pod balkonem. Od swych adoratorów wymagała nieraz tak niemodnych wesechnień i górnotłotnych wzlotów, że speszeni chłopcy, nie rozumiejąc, o co chodzi, woleli wycofać się i poszukać mniej skomplikowanej, zwyczajniejszej dziewczyny.

Ewa od wczesnego dzieciństwa przyjaźniła się z Kasią, która, jako starsza, zawsze jej bardzo imponowała. Mając usposobienie trzeźwe i realny pogląd na świat, lubiła czasem poddać się tym jakimś dziwnym nastrojom, które były tak inne od tego wszystkiego, co ją otaczało na co dzień. Chętnie też zwierzała się przyjaciółce ze swych przeżyć, wysłuchując w zamian cierpliwie niezwykle barwnych opowieści o miłosnych

przygodach Kasi. Wiedziała doskonale, że niewiele było prawdy w tym wszystkim, ale fascynowały ją te literackie wizje czegoś, co się mogło stać.

Kasia, jak zwykle, spóźniła się i Ewa już się zaczynała niecierpliwic, kiedy ją spostrzegła w drzwiach. Szła wystudiowanym, elastycznym krokiem, pewna wrażenia, jakie wywierała na patrzących na nią ludziach. Miała na sobie skórzany ciemnozielony kostium, ożywiony koralową bluzką. Rude włosy przykrywał ekscentryczny kapelusik, z zawadiacko wywiniętym rondkiem. Usiadła, ściągnęła rękawiczki i zaraz zaczęła mówić:

— Wyobraź sobie, kochanie, że wczoraj poznałam fantastycznego mężczyznę. Starszy, już pewnie po czterdziestce, szpakowaty, ale niezwykle interesujący. Wysiadają przy nim wszystkie nasze chłopaki. Jest filmowcem. Opracowuje jakiś film o malarzach. Był już nawet w pracowni Teresy. Przyszedł do nas, do Akademii. Obawiam się, że się w nim za- bujam. Jest naprawdę niezwykle... — Urwała nagle i bacznie przyjrzała się Ewie. — Co ci jest? Coś ty taka przegrana? Złe się czujesz? Masz jakieś kłopoty z Maćkiem?

Ewa potrząsnęła głową.

— Nie. Poprzytykałam się z nim trochę dzisiaj, ale to nic poważnego. Trzeba mieć mocne nerwy, żeby wytrzymać tę jego flegmę. Czasami mnie poniesie i powiem mu coś do słuchu

— Ale na ringu traci tę swoją flegmę — uśmiechnęła się Kasia.

— Byłam kiedyś na meczu. Maciek poruszał się błyskawicznie, zupełnie tak, jakby walczył w wadze muszej a nie w ciężkiej. Wygrał wtedy bezapelacyjnie.

— Trafi kiedyś na faceta, który mu kości połamie

— powiedziała, wruszając ramionami, Ewa. — Już

najwyższy czas, żeby sobie wybił z głowy ten idiotyczny boks.

— Mocne pięści zawsze się mogą przydać. Ja bym tam swojego chłopaka nie odciągała od boksu. No, ale mniejsza z tym. Powiedz mi, co cię gnębi, bo przecież widzę, że jesteś jakaś przegrana.

— Martwię się o ojca.

Kasia spojrzała zdziwiona.

- O ojca? Co się stało? Chory?
- Nie. Twierdzi, że jest zupełnie zdrow.
- Więc o co chodzi?
- Właśnie nie wiem. Bardzo zmizerniał, schudł, stracił humor, jest strasznie zdenerwowany.
- Nie pytałaś go, co mu jest?
- Oczywiście, że go pytałam. Właśnie dzisiaj rozmawialiśmy, ale nic nie chce powiedzieć.
- Może się zakochał — zaśmiała się radośnie Kasia, wężąc sensację.
- Ewa spojrzała na nią zgorzozona.
- Zwariowałaś?
- No cóż chcesz! Ojciec też człowiek.
- Tatusz nie myśli o takich rzeczach. Praca absorbuje go całkowicie.
- Więc co podejrzewasz?
- Nie wiem. Nie mam pojęcia. Sądzę, że to są jakieś sprawy związane z jego pracą. Kiedy go spytałam, czy ma jakieś przykrości w prokuraturze, zaprzeczył tak gwałtownie, że mnie to aż zaskoczyło.
- Co masz zamiar przedsięwziąć?
- Ewa wzruszyła ramionami.
- Bo ja wiem. Spróbuję się czegoś dowiedzieć na własną rękę.
- Kasia wyraźnie zapaliła się do tego pomysłu.
- Masz rację, masz najzupełniejszą rację. Jeżeli ojciec nie chce ci nic powiedzieć, to powinnaś sama coś wyniuchać. To wcale nie takie trudne. Zwracaj pilniejszą uwagę na ludzi, którzy do was przychodzą, podsłuchuj telefony, zerknij do korespondencji ojca, miej oczy i uszy otwarte, a jestem pewna, że w niedługim czasie dowiesz się czegoś ciekawego. Możesz mi zaufać. Mam pewną rutynę w tych sprawach, inaczej nie wiedziałabym różnych rzeczy o mojej mamie
- A cóż ty znowu wiesz takiego o swojej mamie?
- Kasia zmieszała się.
- Nie, nic specjalnego. Ale dobrze jest trochę kontrolować rodziców. To może być bardzo pouczające, a nawet pożyteczne.

Jestem pewna, że gdybyś wiedziała, o co chodzi, potrafiłabyś pomóc swemu ojcu. W każdym razie, jak się czegoś dowiesz, to mi od razu powiedz. Naradzimy się, co robić. Ubóstwiam zagmatwane sytuacje.

Ewa, widząc, że Kasia spogląda na zegarek, spytała:

— Spieszysz się gdzieś?

— Nie, nigdzie się nie spieszę, tylko obawiam się, że Edward tu przyjdzie. Zadzwoił do mnie, a ja mu powiedziałam, że wychodzę na spotkanie z tobą,

a on za tobą szaleje... Powiedział, że postara się przyjść.

Ewa spojrzała na nią, nie rozumiejąc.

— O kim ty właściwie mówisz?

— Jak to o kim? O Weinerdacie. Poznałaś go przecież wtedy w Komorowie.

— To ten przystojny kuzyn Halszki?

— No oczywiście. Nie udawaj, że go nie pamiętasz. Przez cały czas z nim tańczyłaś. Fantastycznie wpadłaś mu w oko. Byłam nawet trochę zazdrosna, bo on mnie także się podobał, ale już mi trochę przeszło. Teraz jestem zajęta tym filmowcem. Powiadam ci, fantastyczny mężczyzna! Ile wdzięku, ile jakiegoś osobistego uroku. A jaki inteligentny, jak potrafi prowadzić błyskawiczną, dowcipną rozmowę. Muszę cię z nim poznać. Albo nie, lepiej cię nie poznam, bo mi go odbijesz.

— Cóż ty robisz ze mnie taką uwodzicielkę? — uśmiechnęła się Ewa. — Ja przecież nie zmieniam tak często sympatii jak ty.

Kasia wyjęła z torby puderniczkę, przejrzała się w lusterku i przypudrowała sobie nos.

— Życie jest krótkie, moja kochana. Trzeba je sobie w miarę możliwości urozmaicać.

— Czy uważasz, że takie ciągłe zmienianie chłopców jest zabawne?

— Bo ja wiem. To chyba kwestia upodobania. Ty od dwóch lat prowadzasz się z tym twoim Maćkiem. Mnie nuży taka monotonność. To jest straszliwie nudne. Po pewnym czasie zaczynasz zgadywać wszystkie reakcje tej drugiej osoby, wiesz, co za chwilę powie, co robi, jak się zachowa. Można oszaleć.

— A ty lubisz niespodzianki.

— Oczywiście. Mężczyzna interesuje mnie dopóty, dopóki nie poznam jego mechanizmu psychofizycznego. Z chwilą kiedy jestem zdolna przewidzieć jego reakcję, przestaje mnie bawić.

— Jeżeli traktujesz mężczyzn jak zabawki...

Kasia roześmiała się.

— A jakżeż ich inaczej można traktować?

— Mam trochę inne podejście do tych spraw — powiedziała Ewa. — I jeżeli kiedyś zdecydowałabym się wyjść za mąż, to wcale by mnie nie bawiło, żeby mój mąż był dla mnie nieustającą niespodzianką. Lubię wiedzieć, czego się mogę spodziewać po człowieku, z którym jestem związana. Nie jestem pewna, czy twoje stanowisko jest słuszne.

— Idzie! — szepnęła Kasia i poprawiła sobie kapelusik.

Weinerdt był wysoki, szczupły, dobrze zbudowany. Lekko szpakowata, falująca czupryna, zaczesana do góry, czyniła go jeszcze wyższym. Ciemne, zamyślane oczy spoglądały z łagodną melancholią. Oszczędne, opanowane, a zarazem pełne swobody ruchy zdradzały człowieka dobrze wychowanego, posiadającego ogromne wyrobienie towarzyskie. Dużo podróżował i próbował różnych zawodów. Ostatnio od szeregu lat pracował w handlu zagranicznym i zyskał sobie opinię dobrego i cenionego fachowca. Często wyjeżdżał za granicę i brał czynny udział w opracowywaniu umów eksportowo- importowych. Obracał się w najlepszych towarzystwach i był bardzo cenionym partnerem do brydża. Nigdy jednak nie grał wysoko, od gier hazardowych stronił zdecydowanie. Alkoholu używał z wielkim umiarem i pił tylko dobre trunki w małych ilościach. U kobiet miał duże powodzenie, z którego jednak korzystał bez zbytnej przesady. Był zbyt leniwy na to, żeby tracić dużo energii na zdobywanie kobiet. Pozwalał się raczej adorować.

Przywitał się z dziewczętami, usiadł i z zainteresowaniem przyjrzał się Ewie.

— Nie wyobraża sobie pani — powiedział — jak bardzo się cieszę z naszego spotkania. Już dawno pragnąłem panią zobaczyć. Parę razy telefonowałem, ale tak się składało, że nie zastawałem pani w domu. Dzisiaj, rozmawiając z Kasią, dowiedziałem się przypadkowo, że macie się spotkać, i dlatego

pozwoliłem sobie... Chyba nie ma mi pani tego za złe?

Ewa potrząsnęła głową.

— Skądże. Bardzo się cieszę, że pan przyszedł.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Dlaczegoż musiałabym coś udawać?

— Jest pani bardzo miła. Od czasu tamtego wieczoru w Komorowie nie przestaję o pani myśleć.

— Wszyscy wtedy żalowali, że pan musiał tak wcześnie wyjechać.

— A ja chyba żalowałem najbardziej. Ale tak się fatalnie złożyło, że akurat przyjechał ten przyjaciel z Paryża i musiałem się z nim zobaczyć. Mam nadzieję jednak, że sobie to powetujemy.

— Czyja wam nie przeszkadzam, moi kochani? — spytała Kasia.

Weinerdt roześmiał się.

— Wybacz, Kasienko. Rzeczywiście zachowuję się skandalicznie, ale wiesz, jak to czasem bywa.

— Wiem, wiem. Nie masz potrzeby mi tłumaczyć. Chcę wam coś zaproponować. Muszę już zaraz iść, bo się umówiłam. Może wyjdziemy razem? Pojadę do Europejskiego na randkę, a wy jesteście oboje w takim romantycznym nastroju, że chyba doskonale wam zrobi spacer w Łazienkach. Pogoda piękna, drzewa się złocą, suche liście szeleszczą pod nogami, wiewiórki skaczą, słowem, wspaniały jesienny nastrój. Co wy na to?

Oboje przyjęli propozycję z entuzjazmem i rzeczywiście poszli do Łazienek. Zeschnięte liście szeleściły pod nogami. Powietrze przesiąknięte było ostrą, specyficzną wonią gnijących roślin.

— To był dobry pomysł — powiedziała Ewa. — Już dawno tu nie byłam.

— Kasia miewa takie znakomite pomysły — przytaknął Weinerdt.

Szli przez opustoszały park. Krzaki i pnie drzew w narastającym wieczornym mroku nabierały fantastycznych kształtów. Z oddali szumiało miasto.

Pochylił się i szepnął: — Tak się cieszę!

Nie odpowiedziała. Poczwała nagle, jak ją ogarnia fala ciepła.

Ten niski, melodyjny głos o miękkim brzmieniu działał na nią. Nigdy jeszcze dotąd głos mężczyzny nie wprawiał jej w takie dziwne, pełne niepokoju wzruszenie. Młodzi chłopcy, z którymi miała dotychczas do czynienia, byli prymitywnie obcesowi, bezpośrednio natrętni, albo też, tak jak Maciek, nieśmiali i pozbawieni jakiegokolwiek inicjatywy. Ani jedni, ani drudzy nie potrafili wyczuć nastroju, nie umieli poddać się tym trudnym do określenia fluidom, które się rodzą między dwojgiem ludzi i które, niezrozumiane i nie zauważone, bardzo szybko gasną, aby — być może — nie zabłysnąć już nigdy więcej. Ten człowiek był kimś tak zupełnie innym, tak niepodobnym do tych, którzy ją otaczali na co dzień, że doznawała uczucia jakiegoś podniecającego zdziwienia, jakiejś ogromnej radości. Dobre wychowanie, delikatność, takt, miły sposób bycia, to wszystko cechowało ludzi z innej, minionej epoki. Tacy byli rówieśnicy jej ojca, których zawsze podziwiała i których nieraz stawiała za wzór swym kolegom.

Wyczuł jej nastrój i delikatnie wziął ją pod rękę. Zrobił to jednak tak, iż gest ten nie miał nic z męskiej agresywności, lecz był raczej wyrazem jakichś bardzo serdecznych, opiekuńczych uczuć.

— To dobrze, żeśmy tu przyszli.

Skinęła głową.

— Tak. Łazienki mają dla mnie tyle tajemniczego, bajkowego uroku. Nieraz mi się wydaje, że...

— ...że wśród drzew przechadzają się damy w krynolinach i panowie w obcisłych pantalonach i pudrowanych perukach — dokończył.

— Skąd pan wie...?

Zaśmiał się.

— To nietrudno odgadnąć. Takie skojarzenia nasuwają się nie tylko pani. Niewiele jest miejsc na świecie, gdzie by duch minionej epoki żył tak intensywnym życiem, jak tutaj, w ogrodzie króla Stasia.

— Cieszę się, że pan to czuje. W ogóle muszę powiedzieć, że bardzo się cieszę, iż pana poznałam. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo mi brakowało kogoś takiego, z kim

mogłabym porozmawiać tak jak z panem. Może jestem głupio szczerą, może będzie się pan ze mnie śmiał?

Mocniej ścisnął jej rękę.

— Nie mam najmniejszego zamiaru śmiać się z pani. Ja także jestem szczęśliwy, żeśmy się spotkali. Zwiedziłem kawał świata i napotykałem na drodze mego życia różne kobiety, nigdy jednak nie czułem tego, co czuję w tej chwili podczas naszego spaceru po jesiennym parku.

Schyliła się i podniosła z ziemi trzy złotoczerwone liście.

— Zabiorę je na pamiątkę. Jakie to dziwne: ile w każdym właściwie człowieku kryje się śmiesznego, naiwnego sentymentalizmu, którego się wstydzimy.

— Myślę, że nie trzeba się wstydzić tego, co nam sprawia przyjemność — powiedział. — W życiu tak mało mamy przyjemności.

Pochwyciła w jego głosie nutę gorczy. Spytała:

— Czy pan jest zniechęcony do życia?

— Nie. Jeszcze nie. Chociaż życie nie oszczędziło mi wielu rozczarowań. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że pani jest zdolna obronić mnie przed wszystkimi pesymistycznymi myślami.

— Bardzo bym chciała, żeby tak było!

— Tak będzie na pewno.

ROZDZIAŁ VI

Pani Julia obudziła się ze strasznym bólem głowy. Ponuro spoglądała na pogodny dzień błyszczący za oknami. Wolałaby widzieć strugi deszczu i ciężkie ołowiane chmury. Taki krajobraz bardziej odpowiadał jej nastrojowi. Zawsze tak się kończyło, ilekroć dała się ponieść temu ohydnemu uczuciu, jakim jest zazdrość. Wielokrotnie już sobie przyrzekała, że nie odezwie się ani słowem na ten temat, ale za każdym razem, kiedy Alfred wracał od tej dziwki, nie mogła powstrzymać potoku gorzkich słów. Kończyło się oczywiście gorszącą sceną, po której następowała bezsenna noc, a potem poranny ból głowy, wzmagający się w oparach waleriany. Żeby chociaż Fred

nie usiłował jej przekonywać, że z tą pieśniarką łączy go tylko i wyłącznie więzy intelektualnego porozumienia i że do czwartej nad ranem prowadzi z nią dyskusje na tematy muzyki konkretnej lub systemu filozoficznego Schopenhauera. Myśl, że uważa ją za skończoną idiotkę, doprowadzała ją do szału. Przeształa panować nad sobą i zapominała natychmiast o wszystkich dawanych sobie kiedykolwiek przyrzeczeniach. Niechby już chodził do tej Marioli, jeżeli koniecznie musiał, ale dlaczego uważał za swój święty obowiązek opowiadać te wszystkie brednie o więzach intelektualnych?

Do tego wszystkie te kłopoty z Bogdankiem. Kierownik Spółdzielni ani słyszeć nie chciał o kompromisowym załatwieniu sprawy i zagroził, że jeżeli w przeciągu najbliższych trzech tygodni sprawa nie zostanie uregulowana, wnieś skargę do prokuratora. Lada moment więc spodziewała się wizyty milicji. Bogdanek nie nocował nawet ostatnio w domu, ale co to mogło dać. I tak całe popołudnie ukrywał się w kawiarniach, a wieczory spędzał zazwyczaj na jakimś dansingu. Był osobistością dosyć znaną i wystarczyło zapytać się kogoś na Rynku, żeby otrzymać dokładną informację, gdzie go można znaleźć. To było bardzo niewesołe i pani Julia nieustannie głowiła się nad tym, co zrobić, żeby ukochanego jedynaka uchronić od celi więziennej. Zasięgała nawet rady u znajomych adwokatów, ale ci kiwali głowami ze współczuciem i mówili tylko o ewentualnym łagodnym wymiarze kary, o wykombinowaniu jakichś okoliczności łagodzących i różnych takich rzeczach, które mogłyby skrócić pobyt za kratkami. Z tego wszystkiego jednak wynikało jasno, że tak czy inaczej Bogdanek będzie siedział. Wreszcie zrozpaczona pani Julia postanowiła odbyć naradę wojenną ze swym mężem, ale akurat Alfred spędził noc u Marioli i twierdził z uporem, że przez cały czas rozmawiali o lotach kosmicznych i tak się zapalili do tego tematu, że nie zauważyli, iż zrobiło się późno. Pani Julia urządziła piekielną awanturę, która na przeciąg najbliższych dni wykluczała rozmowę na temat Bogdanka. Tak więc strapiona matka musiała liczyć wyłącznie na własne siły.

Właśnie pani Julia usiadła przy stylowej toaletce i usiłowała

przy pomocy kosmetyków przywrócić świeżość swej twarzy, gdy zadźwięczał dzwonek u drzwi wejściowych. — Marysiu, otwórz! — krzyknęła w kierunku kuchni.

Po chwili weszła Marysia dziwnie podekscytowana.

— Przyszedł listonosz. Przyniósł dla pani pieniądze!

— To pomyłka — powiedziała zdecydowanie pani Julia.

— Ja też tak sobie od razu pomyślałam, ale listonosz pokazał mi przekaz. Pani nazwisko stoi napisane. Pięćdziesiąt tysięcy.

Pani Julia poderwała się z miejsca.

— Pięćdziesiąt tysięcy?!

Marysia przytaknęła skwapliwie.

— Pięćdziesiąt tysięcy. Widziałam na własne oczy.

Zniecierpliwiony listonosz wszedł do pokoju. Pani Julia zapomniała ze wzruszenia o tym, że jest nie ubrana. Drżącymi rękoma odebrała plik setek i pięćsetek. Dawno już nie widziała takiej ilości banknotów. Była tak podekscytowana, że zapomniawszy o wszelkich urazach, pobiegła do pokoju męża, energicznym ruchem odsunęła zasłony i zaczęła szarpać śpiącego. — Wstawaj! Wstawaj! Pięćdziesiąt tysięcy. Stach przysłał pięćdziesiąt tysięcy!

Alfred, sfatygowany dyskusją o lotach kosmicznych, z trudem otworzył oczy. — Czego chcesz ode mnie? — zapytał niechętnie i znowu zamknął powieki.

— Nie śpij. Stach przysłał pięćdziesiąt tysięcy złotych. Słyszysz? Pięćdziesiąt tysięcy! Uratujemy Bogdanka.

Alfred, rozbudzony nieco, zaczął się drapać po rozczochranej głowie.

— A mówiłem ci, że ten telefon to był od Borzyckiego. Na pewno chciał cię zawiadomić, że wysłała pieniądze, tylko linia była zepsuta i nic nie mogłaś usłyszeć. Więc powiadasz, że pięćdziesiąt tysięcy?

— Przed chwilą przyniósł listonosz. Myślałam, że to pomyłka. Zupełnie straciłam panowanie nad sobą.

— To widać — mruknął Alfred i zaczął się ubierać. Po upływie godziny był gotowy do wyjścia. Miał na sobie garnitur z popielatej eksportowej flaneli, ożywiony śnieżnobiałą koszulą i jedwabnym ciemnoczerwonym krawatem. Gładko wygolone

policzki nosiły ślady pudru i pachniały lawendą.

Pani Julia ogromnie ceniła w mężu te skłonności do elegancji. Alfred, pomimo głoszonej przez siebie maksymy, iż nie suknia zdobi człowieka, niezwykle dbał o swój wygląd zewnętrzny, wydawał sporo na ubrania i rzeczywiście zawsze prezentował się pierwszorzędnie. Mimo iż dość dawno minął już czterdziestkę, był szczupły, zgrabny i poruszał się z młodzieńczą lekkością. Braki w bujnej niegdyś czuprynie maskował zręcznie misterną fryzurą. Powodzenie u kobiet zawdzięczał zarówno osobistemu urokowi, jak i swym artystycznym zainteresowaniom. Służył lekkiej muzyce. Był aktorem rewiowym, konferansjerem, a ostatnio przeczcił się na piosenkarstwo. Jeździł z dorywczo organizowanymi zespołami po województwie krakowskim, zbierając prowincjonalne laury i wydając zarobione pieniądze na romantyczne awanturki. Cały ciężar utrzymania domu spoczywał na barkach pani Julii, a raczej na jej szkatułce z precjozami, które gromadzili zapobiegliwi mieszczańscy przodkowie. Każda rzecz jednak ma swój koniec. Bizuteria także. Pani Julia stanęła wobec konieczności zapewnienia sobie i swoim lekkomyślnym mężczyznom nowego źródła dochodu.

Zapominając o niedawnej scenie małżeńskiej, pocałowała męża w policzek.

— Wychodzisz, Fredziu?

— Wychodzę.

— To bądź taki dobry i poszukaj Bogdanka. O tej porze powinienes go znaleźć w „Teatralnej”. Powiedz mu radosną nowinę, że ojciec przysłał pieniądze i że się całą sprawę zatuszuje.

— Jak będziesz bez przerwy pokrywała długi Bogdana, to w końcu nie będziemy mieli z czego żyć — zdenerwował się Alfred.

— Twoje długi też pokrywam od czasu do czasu.

— No dobrze, ale ja jestem twoim mężem!

— A Bogdan jest moim synem.

— Rób, jak chcesz, ale uważaj, żeby się to smutnie nie skończyło. Rozpuściłaś chłopaka. Zupełnie mu się w głowie

przewróciło.

Pani Julia melancholijnie pokiwała głową.

— Obawiam się, kochanie, że ja was obu rozpuściłam.

Alfred nie miał ochoty rozpoczynać rozmowy na ten temat.

Powiedział — Ciao! — i pogwizdując wybiegł z mieszkania.

Bogdan rzeczywiście siedział w „Teatralnej” i ze znużoną miną pił kawę. Chłopak był wysoki i barczysty. Na pierwszy rzut oka można by go było wziąć za sportowca, gdyby nie jakieś niezmierne rozleniwienie, malujące się na jego twarzy i cechujące każdy jego ruch. Chodził powłócząc nogami, a podniesienie się z krzesła sprawiało mu tyle trudności, iż patrzącemu mogło się wydawać, że jest to wysiłek ponad siły. Ten dwudziestoparoletni młody człowiek robił wrażenie schorowanego starca. Właściwie nic go nie interesowało i niczym nie umiał się cieszyć. Trochę się ożywił tylko wtedy, kiedy słuchał płyt Armstronga, Priestleya i innych jazzowych gwiazd. Ale to nie trwało długo. Bardzo prędko popadał z powrotem w niechętnie odrętwienie, w którym zanurzał się jak w błotnej kąpieli. Być może, że początkowo była to egzystencjonalistyczna poza, która z czasem przyłgnęła do niego i stała się drugą naturą. Jedynym marzeniem ukochanego jedynaka pani Julii było zdobyć dużo pieniędzy i wyjechać za granicę, gdzie miały nań czekać jakieś bliżej nie określone rozkosze.

— Wyobraź sobie, że twój stary przysłał pięćdziesiąt patyków — powiedział Alfred, siadając przy stoliku. — Mamuńcia załatwi w spółdzielni i będzie wszystko all right.

Na pełnej twarzy Bogdana nie drgnął żaden mięsień.

— Nie cieszysz się? — zdziwił się Alfred.

Chłopak ziewnął. — Spodziewałem się tego, że ojciec przyśle forszę — mruknął beznamiętnie.

Alfred przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

— Dziwny z ciebie człowiek. Inny na twoim miejscu podskakiwałby z radości.

— No i co by mi z tego przyszło?

— No cóż... — rzeczywiście, masz rację. Do widzenia.

— Idziesz już?

– Tak. Co będę z tobą gadał? Mama prosiła, by ci powiedzieć o tych pieniądzach, żebyś się nie włóczył po mieście i wracał do domu.

Bogdan wzruszył ramionami.

– Mama myśli, że ja się naprawdę boję kryminału.

– A ty się nie boisz?

– Skąd. Co za różnica siedzieć tutaj czy w pudle? Tak samo nudno, a wałowę przecież przysłałaby.

Alfred nic nie powiedział. Wstał i skierował się ku drzwiom.

Bogdan odprowadził go sennym spojrzeniem. Powolnym ruchem sięgnął do kieszeni i wyjął pieniądze. Wiadomość była pomyślna. Twierdzenie, jakoby nic sobie nie robił z grożącej mu kary, było czystą fanfaronadą. Więzienia bał się panicznie. Zapłacił i ciężko dźwignął się od stolika. Postanowił podzielić się radosną nowiną z Kirą.

Mieszkała za miastem w ładnej willi, otoczonej owocowymi drzewami. Miała duży, widny pokój z balkonem na pierwszym piętrze. Na parterze żyli staruszkowie, emeryci. On hodował warzywa, owoce i pszczoły, a ona zajmowała się domem i długie godziny spędzała robiąc na drutach. Nic też dziwnego, że wszystkie półki i szuflady były pozapychane swetrami, nausznikami, rękawicami i skarpetami. Można by tym obdzielić członków wyprawy polarnej. Pani Amelia nieskora była jednak do robienia prezentów i wszystko skrzętnie chowała na ciężkie czasy. Posiadała rozwinięty zmysł gromadzenia dóbr materialnych i gromadziła, co jej popadło pod rękę, nie gardząc nawet kapsłami od butelek z mlekiem, słoikami po dżemach i papierowymi torbami po zakupach. Z piękną sublokatorką staruszkowie nie utrzymywali stosunków, ograniczając się do zupełnie luźnych, przypadkowych kontaktów. Początkowo mieli jej za złe lekkomyślny tryb życia, ale z czasem przyzwyczaili się do tego i nie zwracali na nią uwagi, pochłonięci wyłącznie swoimi drobnymi sprawami.

Kira była postawną brunetką o pięknym biuście, płomiennych, czarnych jak smoła oczach i lśniących, jeszcze czarniejszych włosach. Nosila w uszach duże kolczyki, pozowała na Hiszpankę i afiszowała się ze swym iberyjskim

temperamentem. Lubiła tańczyć, bawić się i wydawać pieniądze na stroje, ale nie przepadała za systematyczną pracą. Znając parę języków obcych, brała od czasu do czasu jakieś tłumaczenie, ale zajęcie to bardzo szybko ją nużyło. Czasem pilotowała gości zagranicznych, najchętniej jednak pozwalała się adorować mężczyznom i bez zbytnich skrupułów korzystała z pomocy materialnej swych przyjaciół. Ostatnio nawiązała znajomość z Bogdanem Borzyckim, a zorientowawszy się, iż mamusia dysponuje większą ilością cennej biżuterii, pogłębiła tę znajomość, która niebawem przekształciła się w zażyłą przyjaźń. Bogdanowi niezmiernie imponowała piękna, doświadczona kobieta, a przede wszystkim pociągał go w niej ten zaborczy, agresywny stosunek do życia i ludzi. Było to coś tak bardzo różnego od jego własnej postawy, że patrzył na nią z zachwytem i z zazdrością. Parę razy nawet postanawiał, że musi się do niej upodobnić. Chciał się wydobyć z tego bezwładnego marazmu, w którym tkwił po uszy, ale niebawem zrezygnował z tego zamiaru. Wymagało to zbyt wielkiego wysiłku.

Zastał Kirę w domu. Siedziała na bujającym fotelu tylko w majteczkach i czytała jakąś angielską książkę. Udawała zdziwioną z powodu wizyty o tej porze.

— Cóż tak wcześniej? Cierpisz na bezsenność?

Bogdan pociągnął nosem. — Kto tu u ciebie był? — spytał podejrzliwie.

— Nikogo nie było.

— No przecież czuję tytoń fajkowy.

Wzruszyła ramionami.

— Tytoń fajkowy? Zwariowałaś? Coś ci się przywidziało. Może masz kaca.

— Wiesz przecież, że przestałem pić.

Roześmiała się, pokazując białe, ostre zęby.

— Przestałaś pić? Bogdziu, co się z tobą dzieje? Może boisz się amnezji alkoholowej?

— Daj spokój. Wiesz, ojciec przysłał dla mnie pięćdziesiąt patyków! Zatuszuje się tę sprawę w spółdzielni. Już nic mi nie grozi.

Nie okazała większego zainteresowania.

— To dobrze. Nie będziesz musiał siedzieć w młynie.

— Przecież wiesz, że ja dla ciebie... — powiedział rozżalony.

Wydeła wargi pogardliwie.

— Ja ci nie kazałam robić takich głupich kantów. Jak nie umiesz, to się do tego nie bierz. Zresztą za marne osiemdziesiąt tysięcy nie warto się paskudzić.

— A ty byś chciała, żebym się włamał do mennicy państwowej?

— No, to już lepszy pomysł. Ale żarty na bok. Więc mówisz, że ojciec przysłał pięćdziesiąt tysięcy?

— Ani mniej, ani więcej. Równe pięćdziesiąt.

— Nieźle musi zarabiać na tej prokuraturze.

Przyjrzał jej się uważnie.

— Co ty masz na myśli? Jeżeli przypuszczasz, że mój ojciec poszedłby na jakieś machloje, to się grubo mylisz. To człowiek starej daty, uczciwy i solidny.

Wzruszyła ramionami.

— Każdy ma swoje przyjemności. Jeden lubi być uczciwym, a drugi lubi kraść.

Bogdan usiadł i zapalił papierosa. Zapach fajki działał na niego drażniąco. Chciał go czymś zneutralizować. Rozejrzał się po pokoju, pragnąc znaleźć jakiś konkretny dowód niewierności swej przyjaciółki.

— Czego szukasz?

— Niczego. Po prostu jestem ciekaw, co to za facet był u ciebie.

— Jaki facet? Czego ty chcesz?

— No przecież wyraźnie czuję fajkę.

— Coś ty zwariował z tą fajką czy co? Może to jakiś zapach od Mielnickich.

— Stary Mielnicki nie pali fajki, tylko sporty.

Żachnęła się.

— Daj mi święty spokój ze swoimi głupimi podejrzeniami. A jeżeli nawet byłby ktoś u mnie, to co? Nie wolno przyjmować mi znajomych?

— Nago?!

— A jeśli nawet?... — odpowiedziała czupurnie.

Bogdan nie był usposobiony do kłótni. Zresztą nigdy nie lubił się sprzeczać. To wymagało zbyt wielkiego wysiłku. Powiedział ugodowo:

— Daj spokój. Po co się zaraz denerwować?

— No bo mnie do szału doprowadzają te twoje idiotyczne pomysły, podejrzenia.

— Nie możesz się dziwić, że jestem zazdrosny. Kocham cię.

Parsknęła śmiechem.

— Czego się śmiejesz? — spytał urażony.

— Bo to strasznie zabawnie wygląda, jak ty mówisz „kocham cię”. Brzmienie twojego głosu jest identyczne jak wtedy, kiedy zamawiasz porcję flaków u „Hawelki”.

— Usiłujesz zrobić mi przykrość.

— Nie, tylko przy twoim beznamiętnym usposobieniu powinieneś unikać gorących słów.

— Jeżeli uważasz, że jestem taki beznamiętny, to dlaczego właściwie jesteśmy razem?

— To proste. Od czasu do czasu udaje mi się rozruszać cię i to mnie bawi.

Chciał ją objąć, ale wysunęła mu się zwinnie i śmiejąc się otworzyła balkon.

— Źle mnie zrozumiałeś, carissime. Nie miałam zamiaru cię prowokować.

— Ale ja ciebie pragnę.

Spojrzała na niego z uśmiechem. W oczach jej zapaliły się drwiące ogniki.

— Bogdziu, dziecino, co się dzisiaj z tobą dzieje? Nie poznaję cię. Czyżby te pięćdziesiąt tysięcy tatusia tak na ciebie ekscytująco podziałały?

— Do widzenia — powiedział chmurnie.

— Obraziłeś się, chłopaczku? Nie znasz się na żartach?

— Nie znam się na głupich żartach.

Z rozmachem klepnęła go po szerokich plecach.

— No, no, nie bądź taki drażliwy. A teraz wiesz, co ci poradzę? Idź się przejść. Ruch na świeżym powietrzu doskonale ci robi. A jak będziesz w trochę lepszym humorze,

to do mnie zadzwoń. Nie znoszę obrażonych min, szczególnie u smarkaczy. — Pchnęła go w kierunku drzwi, usiadła na bujającym fotelu i wróciła do przerwanej lektury.

Bogdan powstał chwilę niezdecydowany, wreszcie mruknął pod nosem „do widzenia” i wyszedł. Był wściekły. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie tę rozmowę. Z Kirą nie widział się już kilka dni i zatęsknił do jej pieśczot. Była to jedyna rzecz, która choć na chwilę mogła wydobyć go z odrętwienia. Wlókł się bez celu ulicą, starając się nie myśleć o tym, że spotkała go przykrość. Z reguły unikał przykrych myśli. Nagle poczuł głód. To mu przypomniało, że powinien zobaczyć się z matką.

Pani Julia siadała właśnie do obiadu. Entuzjastycznie powitała jedynaka. Przygarnęła go do wezbranej uczuciem piersi i powiedziała:

— Jak to dobrze, że przyszedłeś. Pewnie jesteś głodny, kochanie. Siadaj, siadaj. Dostaniesz na przekąskę kanapkę z sardyneczką. Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Kochany tatuś przysłał pieniądze.

Bogdan obrzucił ją krytycznym spojrzeniem. Nigdy jeszcze dotychczas nie słyszał, żeby matka mówiła o ojcu „kochany tatuś”. Bardzo rzadko wspominała swego pierwszego małżonka, a jeżeli nawet to się czasem zdarzało, to zawsze wyrażała się o nim z przekąsem. Bogdan wyrósł w atmosferze niechęci do ojca i uważał, że skrzywdził on zarówno matkę, jak i jego. Od nikogo nie słyszał o tym, że to mama rzuciła tatusia, aby wyjść za mąż za pięknego, posiadającego artystyczną duszę Alfreda.

— Gdzie Fredzio? — spytał, siadając przy stole.

— Dzwonił, że przyjdzie później. Ma jakąś tam konferencję w sprawie występów w Kielcach.

— I mama wierzy w te wszystkie jego konferencje?

— A co mam robić, moje dziecko? Co mi przyjdzie z tego, jeżeli nie będę wierzyła?

— Niemożliwie mama rozpuściła tego Fredka.

— On to samo mówi o tobie.

— Dureń — mruknął Bogdan i wsunął sobie do ust kanapkę z sardynką.

Spojrzała na niego z wyraźną dezaprobatą.

— Bogdziu, kochanie, wiesz, że bardzo nie lubię, kiedy bez należytego szacunku wyrażasz się o moim mężu.

Machnął ręką zniecierpliwiony.

— No dobra, dobra, dajmy spokój. Była mama w spółdzielni u tego chama?

— Byłam — powiedziała skwapliwie pani Julia.

— Wyobraź sobie, dziecinko, że wszystko pomyślnie załatwiłam. Widziałam się osobiście z prezesem. Sprawa jest całkowicie zatuszowana. No, oczywiście, niezręcznie by było, żebyś tam wracał do pracy.

— Nie mam najmniejszego zamiaru.

Na twarzy pani Julii pojawiła się troska. Spojrzała na syna i usiłując swemu głosowi nadać jak najłagodniejsze brzmienie powiedziała:

— Myślę, że jednak powinieneś zabrać się do jakiejś pracy.

— Co mama chce, żebym robił? Przecież widzi mama, że ja się do takich posadek nie nadaję.

— No dobrze, ale nie możesz przecież być bez przerwy na moim utrzymaniu. Musisz sobie stworzyć samodzielną egzystencję. Przecież ja mogę odejść z tego świata i co wtedy będziesz robił?

Bogdan skrzywił się niezadowolony. Nie znosił rozmów na przykre tematy.

— Eee... no co też mama? Przecież mama jest młodą kobietą i cieszy się znakomitym zdrowiem. Wszyscy znajomi podziwiają, jak mama świetnie i młodo wygląda.

— Mówisz poważnie? — pani Julia poprawiła sobie fryzurę i serdecznym ruchem pogładziła Bogdana po dłoni. — Kochany chłopiec. Ale swoją drogą dobrze by było, żebyś się zajął czymś pożytecznym. Oczywiście musimy ci znaleźć coś odpowiedniego, coś, co by odpowiadało twoim zamiłowaniom. Powiedz mi, Bogdanku, jakie ty byś mógł w sobie wzbudzić zamiłowania?

Bogdan wzruszył potężnymi ramionami.

— Boja wiem...

— Słuchaj, syneczku, mam do ciebie prośbę — mówiła dalej pani Julia. — Rozmawiałam w twojej sprawie z mecenasem

Gerylskim. Obiecał się tobą zająć i ulokować cię w jakimś odpowiednim miejscu. To bardzo ustosunkowany człowiek, przyjaciel naszej rodziny. Idź do niego. Na pewno coś pożytecznego z tego wyniknie. Zrób to dla mnie, Bogdanku. Bardzo cię proszę. Znasz przecież mecenasa Gerylskiego.

— Oczywiście, że go znam.

— No więc właśnie. Idź do niego, nie zwlekając, pogadaj sobie z nim szczerze o wszystkim. Jest naprawdę bardzo życzliwie do ciebie nastawiony. Pójdiesz?

Bogdan niechętnie spojrział na matkę.

— Mama to tylko myśli o tym, jak by mnie wsadzić na jakąś obrzydliwą posadę.

— Jesteś niesprawiedliwy. Robię to przecież dla twojego dobra. Chcę, żebyś stał się samodzielnym człowiekiem. Nie miałeś zamiłowania do studiów wyższych, to cię nie zmuszałam, ale teraz musisz jakoś się ustabilizować. Idź do mecenasa. Bardzo cię proszę.

—No dobra, dobra, pójdę, niech mnie mama już nie męczy.

Bogdan przespał się po obiedzie, a następnie, na wyraźne życzenie matki, ogolił się, włożył czystą koszulę i poszedł szukać stabilizacji życiowej.

Mecenas Gerylski dobiegał sześćdziesiątki, ale był jeszcze niezmiernie żywotny i pełen energii. Ubierał się z przesadną elegancją i zbyt obficie polewał się wodą kwiataową. Siwe, bujne włosy kazał fryzjerowi układać w misterne karby. Kształty miał raczej kuliste, co nie przeszkadzało mu jednak poruszać się lekko i zwinnie.

Mówił dużo i wysławiał się z tą niezmierną łatwością, jaką daje wieloletnia praktyka adwokacka. Mówiono o nim, iż przyjmuje sprawy tylko zupełnie pewne i że nie lubi narażać na szwank swej opinii.

Bogdan był trochę onieśmielony. Gerylski momentalnie to zauważył i usiłował stworzyć zaraz na wstępie miły, przyjazny nastrój.

— Proszę, proszę, kochany panie Bogdanie. Niechże pan siada. Napijemy się kawki. Bardzo mi miło, że pan mnie odwiedził. Jakiesz zdrowie mamusi? Co to za przemila, urocza

osoba. Za każdym razem na nowo się nią zachwycam i gdybym był trochę młodszy... To naprawdę satysfakcja mieć taką matkę. Nieraz rozmawialiśmy na pański temat. Jestem przekonany, że pan ma ogromne możliwości, żeby zrobić piękną karierę życiową, trzeba tylko, żeby pan trafił wreszcie na właściwy rodzaj pracy, na coś takiego, co by pana zafascynowało, co by panu naprawdę odpowiadało. Prawdziwe powodzenie można zdobyć tylko wtedy, kiedy się robi to, co się lubi.

— O właśnie — przytaknął bez przekonania Bogdan, który uznał, iż jest najwyższy czas, żeby coś powiedzieć.

Gerylski bacznie spojrzął na młodego człowieka.

— A co by pan lubił robić?

Bogdan poczuł, że rozmowa schodzi na niepożądane tory.

— No cóż... Różne rzeczy. Trudno tak sprecyzować od razu.

— Tak, tak — podchwycił z zapalem Gerylski. — W młodości najtrudniej zdać sobie jasno sprawę, do czego nas predestynowała natura. Młodzi ludzie bardzo często nie orientują się, co sobą właściwie przedstawia zawód, który sobie dosyć po omacku wybrali. Maturzysta nie wie, czym są naprawdę studia medyczne, prawnicze czy techniczne. I właśnie tu ważną rolę powinni odegrać przedstawiciele starszego pokolenia, ojciec, matka, opiekun, życzliwy przyjaciel rodziny. Nie sądzi pan, że mam rację?

Bogdan pomyślał, że nie ma powodu, dla którego nie miałyby przyznać racji starszemu panu. To, co mówił, było właściwie zupełnie rozsądne.

— Uważam, że pan ma rację.

— To mnie cieszy, to mnie ogromnie cieszy — podjął mecenas. — Sądzę, że dojdziemy do porozumienia. Pan jest bardzo inteligentnym młodzieńcem. Pańska mama wspominała mi, że pan poszukuje jakiegoś ciekawego zajęcia.

— No tak...

Gerylski wyjął fajkę i nabił ją tytoniem. Po chwili po pokoju rozszedł się zapach, który tak niedawno zdenerwował Bogdana. Miał wielką ochotę zapytać mecenasa, czy zna Kirę, ale zrezygnował z tego zamiaru.

— Musimy coś dla pana, drogi panie Bogdanie, wykombinować. Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby pan wyjechał z Krakowa.

— Gdybym wyjechał z Krakowa?

— No tak. Widzi pan... po tych wszystkich nieporozumieniach w spółdzielni, byłoby może trudno znaleźć coś dla pana odpowiedniego. Kraków to plotkarskie miasto. Od razu wszystko się roznosi. Po co się narażać na jakieś przykrości? Wyjedzie pan na przykład do Warszawy albo na Wybrzeże. Tam pana nikt nie zna, nikt o panu nie słyszał. Zastanowię się i dam panu listy polecające do moich przyjaciół.

— Nie wiem, czy mama się zgodzi — bąknął niewyraźnie Bogdan. Muszę z nią pomówić.

Gerylski roześmiał się.

— Zgodzi się mamusia, zgodzi. Już ja ją przekonam. Zresztą nie mam zamiaru wysłać pana na koniec świata. Będzie pan przyjeżdżał do Krakowa. Zawsze można wykombinować jakąś podróż służbową. Niech pan wpadnie do mnie jutro po te listy. Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ VII

Nie mógł zasnąć. Od pewnego czasu proszki nasenne nie działały już prawie zupełnie. A właśnie najgorsze były noce. W ciemnościach, w narastającej, martwej ciszy rosły i nabierały realnych kształtów obsesyjne wizje, siłą woli i tętniącym wokół życiem odpędzane w czasie dnia. Z pistoletem w rękę stoi nad trupem tego dziennikarza. Kula, która przeszła przez serce Elerta, pochodziła z jego pistoletu. Tak wykazała ekspertyza. Gdzie szukać dowodów, że to nie on był mordercą? Odciski palców, zapalniczka znaleziona przez Olszewskiego, pistolet i wreszcie te pięćdziesiąt tysięcy złotych. Tyle pieniędzy nie daje się za nic. Krzepiński, szef prokuratury, Downar, nikt z nich nie stawiał sprawy wyraźnie, ale to się wyczuwało, że ewentualność, iż prokurator Stanisław Borzycki dopuścił się tej zbrodni, jest poważnie brana pod uwagę. Zresztą wszystko, ale

to absolutnie wszystko na to wskazywało.

Zapalił światło i zabrał się do czytania ostatniego numeru „Kultury”, ale bardzo prędko zrezygnował z tego zajęcia. Nie rozumiał, co czyta, litery skakały mu przed oczami. Nie mógł skupić myśli. Był zbyt zmęczony bezsennymi nocami. Ewa zmusiła go, żeby poszedł do lekarza. Z góry wiedział, co posłyszyci. „Niech pan odpocznie. Niech pan gdzieś wyjedzie. Niech pan się nie denerwuje”. Jakieś kropelki, jakieś pigułki i jakieś zastrzyki. Czy to mogło pomóc? Czy w ogóle był sens leczyć się? Wyjechać. Łatwo powiedzieć. Przecież nie można zostawić tego wszystkiego. W każdej chwili mogło coś się zdarzyć, coś takiego, co by wymagało natychmiastowej jego interwencji. Musi wytrwać, musi doczekać się wyjaśnienia tej piekielnej sprawy. Był tak zmęczony życiem w niepewności, że chwilami marzył o tym, by dostać się do celi więziennej i tam wreszcie odpocząć. Niech to się już raz skończy!

Stosunki w domu także nie układały się najlepiej. Karolcia była skwaszona i gderliwa, a z Ewą coraz częściej dochodziło do krótkich spięć. Dziewczyna za wszelką cenę chciała się dowiedzieć, co gnębi ojca, a ponieważ pytania jej zbywał milczeniem albo nic nieznaczącymi, zdawkowymi półsłówkami, traciła cierpliwość i stawała się zaczepna i nieuprzejma. Wszelkie próby dowiedzenia się czegokolwiek poza plecami ojca spełzły jak dotychczas na niczym.

Bo bezsennej nocy Borzycki wcześniej poszedł do prokuratury. Czekał już na niego Downar.

— Bardzo się cieszę, że pana widzę, kapitanie. Czy ma pan dla mnie jakieś wiadomości?

Downar potrząsnął głową.

— Niezmiernie żałuję, ale na razie żadnych sensacji nie przynoszę. Musimy uzbroić się w cierpliwość, panie prokuratorze.

— Na co właściwie czekamy?

— Na następne posunięcie przeciwnika. Moim zdaniem, ludzie, którzy sfingowali tę całą aferę, mieli dwa cele. Po pierwsze, chcieli obciążyć pana zabójstwem Elerta, a po drugie, liczyli na to, że, mając pana w ręku, będą mogli przeprowadzać

pewne posunięcia na terenie prokuratury. Pan często prowadzi bardzo poważne sprawy z zakresu nadużyć gospodarczych. Być może, iż przewidywali szybkie ujawnienie jakiejś afery. Wtedy skorzystaliby z pańskiej pomocy, szantażując pana materiałem dowodowym, świadczącym na pańską niekorzyść w związku ze sprawą Elerta.

— A jeżeli taka afera nie wpłynie do prokuratury?

Downar rozłożył ręce.

— No cóż... Z taką ewentualnością także musimy się liczyć.

Borzycki pochylił się nad biurkiem i uważnie wpatrzył się w twarz kapitana.

— Chciałbym pana o coś zapytać, ale proszę o zupełnie szczerą odpowiedź. Czy uważa pan za możliwe, że to ja zabiłem tego człowieka!

Downar nie od razu odpowiedział. Zapalił papierosa, złamał w palcach zapałkę i głęboko zaciągnął się dymem.

— Spodziewałem się tego pytania i, prawdę mówiąc, obawiałem się, że pan w pewnym momencie załamać się może nerwowo. A przecież...

— To chyba nic dziwnego, że jestem tym wszystkim zdenerwowany — powiedział energicznie Borzycki.

— Oczywiście. To zupełnie zrozumiałe, tym niemniej jestem zmuszony z całą stanowczością poprosić pana o silne wzięcie się w ręce. Pański rozstrój nerwowy może nam skomplikować, a nawet całkowicie uniemożliwić wyjaśnienie sprawy. Już córka pańska coś podejrzewa...

— Skąd pan wie?

— To nie ma znaczenia. Muszę wiedzieć dużo najrozmaitszych rzeczy. Na tym przecież polega moja robota. Zapewne pan się nie orientuje, że panna Ewa była tu parę razy.

— Ewa?! Tutaj? W prokuraturze? Czego chciała?

— Chciała się dowiedzieć, dlaczego pan jest ostatnio tak rozdrażniony. Rozmawiała ze znajomymi.

Twarz Borzyckiego nabiegła krwią.

— Już ja pomówię z tą smarkatą!

Downar zaprotestował ruchem ręki.

— Nie wolno panu tego zrobić. Pańska interwencja

pogorszyłaby tylko sprawę. Musi pan po prostu zapanować nad nerwami i wrócić do normalnego życia. Pańskie otoczenie nie może się domyślać, że coś się dzieje. Rozumiem, że to nie jest proste, ale mam nadzieję, iż pan zdobędzie się na ten wysiłek. A teraz chciałbym wrócić do pańskiego pytania. Otóż mogę pana zapewnić, że im dłużej pracuję nad rozwiązaniem tego wszystkiego, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że pan nie zabił Elerta. Zresztą nie jest to tylko moja opinia, dzielą ją zarówno szef prokuratury i prokurator Krzypiński, jak i lekarze.

— To pan się w tej sprawie konsultował z lekarzami? — przestraszył się Borzycki.

— Niech się pan nie obawia. W rozmowie ze specjalistami nie wymieniałem przecież ani pańskiego nazwiska, ani nawet nie wspomniałem o jakimś konkretnym przypadku. Pytałem o zdanie doktora Orłowskiego.

Na twarzy Borzyckiego odmalowało się żywe zainteresowanie.

— To świetny fachowiec. No i cóż on powiedział?

— Doktor Orłowski twierdzi, że to jest mało prawdopodobne, aby ktoś w czasie trwania amnezji alkoholowej był zdolny do zamordowania zupełnie sobie nieznanego, obcego człowieka, że do popełnienia takiego czynu musi jednak istnieć jakaś dyspozycja, choćby nawet głęboko ukryta w podświadomości. A pan przecież takiej dyspozycji nie mógł mieć.

— Oczywiście, że nie.

— No więc właśnie. — Downar wpadał w coraz swobodniejszy, gawędziarski ton. — Nie znając Elerta, nie mógł pan chować do niego urazy. Tak się czasem zastanawiam nad tym, czy z tą całą historią nie ma coś wspólnego żona Elerta, bo, jak panu wiadomo, on miał żonę.

— Tak, wiem.

Downar rzucił błyskawiczne spojrzenie na twarz Borzyckiego i mówił dalej:

— Elert nie chciał dać rozwodu swej żonie, z którą nie żył już od dłuższego czasu i która mieszka gdzieś na Czerniakowie. Nie mogę się dowiedzieć, czy Elertowa ma jakiegoś przyjaciela, bo

gdyby miała...

— To co...? — spytał Borzycki.

— To można by ewentualnie podejrzewać jego o udział w tej sprawie. Musimy stwarzać różne hipotezy, aby wreszcie trafić na właściwy trop. Czy pan mnie słucha, panie prokuratorze?

— Oczywiście, oczywiście — powiedział pospiesznie Borzycki, odrywając wzrok od okna. — Ma pan zupełną rację.

Downar nie był pewien, czy jego rozmówca słyszał ostatnie zdanie, ale nie miał zamiaru tego sprawdzać. Odczekał chwilę i spytał:

— Czy pan wysłał żonie te pieniądze?

— Wysłałem, tak jak to zostało ustalone, chociaż przyznam się panu, że bardzo jestem z tego niezadowolony. Mój syn powinien był ponieść zasłużoną karę. To wypadło niepedagogicznie.

Downar uśmiechnął się nieznacznie.

— Zgadzam się z panem w zupełności, ale w tej chwili mamy do rozszyfrowania o wiele poważniejszą sprawę. Nie możemy bawić się w pedagogów.

Borzycki pokiwał głową.

— No tak, naturalnie. Muszę jednak poważnie zająć się synem, bo wreszcie chłopak źle skończy. Robię sobie nawet wyrzuty, że... No, ale wie pan, jak to bywa w życiu. Żona wzięła syna do siebie, zamieszkali w Krakowie, nie bardzo się kwapili, żeby ze mną utrzymywać stosunki. Bogdanowi odpowiadała

całkowita swoboda i bezkarność. Matka go rozpuszczała do niemożliwości. I wreszcie... Ale co ja panu będę głowę zawracał!

Downar nie podtrzymywał tych rodzinnych wynurzeń. Spojrzał na zegarek. Jeżeli miał się punktualnie stawić na spotkanie z Kasią, to musiał się spieszyć.

— Pan pozwoli, że pana pożegnam, panie prokuratorze. Raz jeszcze bardzo proszę, żeby pan starał się opanować nerwy i żeby pan nie zdradzał się ze swym podnieceniem. Oczywiście będę z panem w stałym kontakcie.

Wychodząc z prokuratury, Downar był zamyślony. Dręczyły go coraz to nowe wątpliwości, które pogłębiła wczorajsza

rozmowa z doktorem Kuczyńskim. Znany psychiatra nie zgadzał się z opinią Orłowskiego, twierdząc, że w czasie trwania amnezji alkoholowej można popełnić zbrodnię na zupełnie nie znanym sobie osobniku, jeżeli osobnik ten przypomina swym wyglądem kogoś znienawidzonego lub jeśli człowiek znajdujący się pod wpływem działania alkoholu zostanie w sposób sugestywny nakłoniony przez osobę trzecią do popełnienia zbrodni. Nawet sprawa hipnozy może być brana pod uwagę. Downar nie miał wątpliwości co do tego, że Borzycki świadomie nie zabił Elerta, ale czy nie zrobił tego nieświadomie, pod wpływem działania alkoholu — tego nie wiedział i za to nie dałby głowy. Skąd w torebce Elertowej znalazła się fotografia Borzyckiego? Jeżeli coś go łączyło z tą kobietą, a Elert szykanował swą żonę i nie chciał się zgodzić na rozwód, to... Z drugiej strony było rzeczą mało prawdopodobną, żeby człowiek tak doświadczony, jakim był Borzycki, wypierał się znajomości z Elertową. Przecież to się mogło z łatwością wydać przy jakiejś okazji i wtedy sytuacja byłaby bardzo niezręczna. Prokurator, który dość zasadnicze sprawy zataja przed oficerem prowadzącym śledztwo, nie zasługuje na zaufanie, a w danym wypadku wzbudza poważne podejrzenia. Należało jednak brać pod uwagę fakt, iż Borzycki był zupełnie wykończony nerwowo i że mógł popełniać kardynalne błędy. — Wiem, że nic nie wiem — mruknął filozoficznie Downar i wszedł do tramwaju.

Kasia czekała na niego w „Telimienie”. Miała na sobie czerwony płaszcz z czarnym zamszowym kołnierzem. Lubiała zwracać na siebie uwagę mocnymi kolorami i zawsze trochę zbyt ekscentrycznym ubiorem.

— Jest pan wzorem punktualności — powiedziała wesoło. — Przyszłam przed sekundą — dodała pospiesznie, nie chcąc, aby myślał, że czeka już na niego od dawna.

Downar udał, że nie zauważył niedopitej kawy i zjedzonej do połowy szarlotki z kremem. Uśmiechnął się do dziewczyny.

— Punktualności uczyłem się od pewnego angielskiego lorda. Ale to nieważne. O wiele ważniejszy jest nie dający się zaprzeczyć fakt, że pani prześlicznie wygląda.

Natychmiast poprawiła sobie na głowie czarny melonik.

— Widzę, że pan lubi prawie kobietom komplementy.

— A kobiety lubią ich słuchać. Czyżby pani była innego zdania?

— Gdybym nawet była innego zdania, to i tak nie zdołałabym pana przekonać.

— Dlaczego pani tak sądzi? Czyżbym wyglądał na człowieka, który bezkrytycznie upiera się przy swoim?

— Wygląda pan na kogoś, kto ma już dosyć wyraźnie sprecyzowany światopogląd.

Dłuższą chwilę rozmawiali o niczym, żartując i docinając sobie wzajemnie. Nagle Kasia spojrzała na zegarek i zrobiła zmartwioną minę.

— Co się stało? — spytał niespokojnie.

— Ach, wszystko tak mi się paskudnie pokręciło. Muszę już iść.

— Jak to? Przecież mieliśmy pójść na spacer, potem na obiad i ewentualnie do jakiegoś kina.

— No właśnie. Bardzo się cieszyłam, ale... Muszę iść do wujka.

— Do wujka?

— Tak. Wujek wyjeżdża dzisiaj i mama prosiła, żebym mu koniecznie zaniósła koszulę i pieniądze.

Downar postanowił skorzystać z okazji. Spytał:

— A gdzie mieszka pani wuj?

— Daleko. Na Okęciu.

— Tak, to kawał drogi. Szkoda. A może się potem spotkamy?

Potrząsnęła głową.

— Trudno by mi było ustalić godzinę. Wuj może mnie zatrzymać. Będę musiała pomagać mu w pakowaniu. Wie pan co? A może by pan pojechał ze mną?

Downara ucieszyła ta propozycja. Nie dał jednak tego po sobie poznać. Uśmiechnął się niewyraźnie.

— No cóż... Nie wiem, czy to wypada? Nie znam pani wujaszka.

— To go pan pozna. Wuj jest bardzo fajny. Zobacz pan! Jak pan ze mną pojedzie, to prędzej uda mi się wyrwać. Niech się pan zdecyduje.

— Więc uważa pani, że wujaszek nie będzie miał mi za złe, że tak niespodziewanie, bez zaproszenia...?

— Ależ oczywiście, że nie. To bardzo bezpośredni i towarzyski człowiek. Ucieszy się.

Downar pojechał z Kasią na Okęcie

Pan Mikołaj Łaciak mieszkał w nowym bloku na czwartym piętrze. Ładna, duża kawalerka była nieprawdopodobnie zagracona. Już w przedpokoju stało sporo rzeczy, które mogłyby wprawić w zdumienie najbardziej nawet doświadczonego handlarza starzyzną. Muzealne eksponaty, ranne pantofle, wyleniałe szczotki do butów i ubrania, połamane parasole, stare kapelusze, puste butelki po zagranicznych i krajowych trunkach, ogromna pułapka na myszy i wreszcie nieskończona ilość mniej lub więcej podartych skarpetek, poutykanych misternie między pozostałe sprzęty.

Wuj Kasi zręcznym ruchem odsunął z przejścia jakieś drobiazgi i wpuścił gości do wnętrza. Ze zdziwieniem spojrzął na niespodziewanego przybysza.

— Pozwól wujaszku, że ci przedstawię mojego znajomego: pan Henryk Trębiński.

Panowie uścisnęli sobie dłonie i wszyscy troje weszli do pokoju, gdzie panował nie mniejszy bałagan. Części garderoby leżały na tapczanie i na dwóch mocno wysłużonych fotelach. Na półkach oprócz książek stały szklanki, kieliszki, przybory do golenia i najrozmaitsze potrzebne i niepotrzebne drobiazgi. Okno zasłaniał pożółkły fikus, a na owalnym stole znajdowała się otwarta do połowy zapakowana waliza.

Pan Mikołaj niedbałym ruchem zsunął z foteli książki i stare gazety i, uczyniwszy w ten sposób miejsce dla gości, powiedział: — Wybaczcie, kochani, ten nieporządek, ale szykuję się właśnie do podróży. — Następnie zaś zwrócił się do Downara: — A pan z jakich to Trębińskich, jeśli można wiedzieć? Czy pan się pisze przez „ę” czy przez „em”?

— Przez „ę” — odpowiedział speszony trochę Downar, którego zaniepokoiły te indagacje rodowodowe.

— Bo w młodości przyjaźniłem się z Mieczysławem Trembińskim — mówił dalej wujaszek, trzymając się z pewnym

uporem śliskiego tematu. — Ale on pisał się przez „em”. Miał bardzo ładnie zagospodarowany folwarczek pod Opoczmem. Myślałem, że pan właśnie z tych Trembińskich.

Downar miał ochotę spytać, z jakich to Łaciaków pochodzi wuj Kasi, ale zbyt zależało mu na utrzymaniu dobrego nastroju, żeby ryzykować taką rzecz. Dyskretnie rozglądał się po pokoju, rozmyślając jednocześnie nad tym, w jaki sposób sprowadzić rozmowę na interesujące go tematy. Starszy pan pod pozorami dobrodusznej jowialności wyglądał na cwaniaka pierwszej klasy.

— Pan Trębiński jest filmowcem — wyjaśniła Kasia.

— Filmowcem? A to bardzo interesujące. Jakiż rodzaj sztuki filmowej pan uprawia?

— Pracuję w dokumencie, trochę w kronice. Jestem takim dziennikarzem filmowym.

— A propos — powiedział Łaciak. — Czy czytaliście państwo, że złapano już tych bandytów, którzy zabili milicjantów? Diabelnie niebezpieczna jest ta praca w milicji.

— Nie tylko w milicji praca jest niebezpieczna. Dziennikarz też czasem ryzykuje życiem. Nie wiem, czy pan słyszał o zamordowaniu tego dziennikarza Elerta?

Downar zapalił papierosa. W trakcie wykonywania tej czynności zauważył, że Kasia zamieniła ze swym wujaszkiem błyskawicznie spojrzenie.

Łaciak kiwnął głową.

— Tak, słyszałem o tym. Straszne się teraz dzieją rzeczy.

— Przyniosłam ci, wujku, pieniądze od mamy — powiedziała Kasia. — I tę nieszczęsną koszulę.

— Cóż to za nieszczęсна koszula? — uśmiechnął się Downar.

Łaciak szybko wsunął kopertę do kieszeni, a koszulę wrzucił do walizki.

— Ach to cała historia. Tracił mnie Zbyszek i wylałem na siebie kieliszek czerwonego wina. Nie mogłem tak przecież wyjść na miasto. W ogóle jakieś pechowe były te imieniny.

— To wszystko dlatego, że mnie nie było — powiedziała Kasia.

— No właśnie. Akurat wtedy pojechałaś do Komorowa. Ten

dziennikarz się upił. Musiałem go już przed dwunastą odwozić do domu.

— Jaki dziennikarz? — zainteresował się Downar.

— Heger. Wacek Heger. Zna go pan może?

— Nie, nie znam.

— Flirtuje troszkę z naszą słodką Kasięnką. Zobaczył, że jej nie ma, i zaczął z rozpaczy mocno pociągać gorzałkę. No to wsadziłem go do taksówki i jazda. Już mi nie warto było wracać. I tak się goście szybko zlikwidowali, bo jak słyszałem, Szypo- wscy zaraz po mnie wyszli, a z nimi ta malarka. Bardzo efektowna dziewczyna. Nie wyobraża pan sobie nawet.

— Pan Trębiński zna Teresę — powiedziała Kasia.

ROZDZIAŁ VIII

Downar oficjalnie włączył się do śledztwa. Zaczął od szczegółowego obejrzenia mieszkania Elerta i od bardzo dokładnego zapoznania się ze wszystkimi jego rzeczami, nie pomijając najmniejszego nawet drobiazgu. Długoletnie doświadczenie nauczyło go, iż czasem jakieś nic nieznaczące głupstwo może naprowadzić na właściwy trop.

Przede wszystkim ustalił ponad wszelką wątpliwość, że autorką miłosnych listów, o których wspominał mu Olszewski, jest pani Siewierska. Nawiązanie znajomości z Kasią umożliwiło mu zdobycie jakiejś błahej notatki, pisanej ręką jej matki.

— Czy pojedziemy do tej babki, czy sprowadzimy ją do Komendy? — spytał Olszewski, który był zwolennikiem szybkiego działania.

Downar potrząsnął głową.

— Ani jedno, ani drugie. Na to zawsze będziemy mieli dosyć czasu. Na razie musimy dokładnie ustalić pewne fakty. Z panią Siewierską porozmawiamy sobie wtedy, kiedy będziemy mieli w rękę trochę więcej materiału.

— Wiemy, że była kochanką Elerta. To chyba wystarczy — zniecierpliwził się porucznik.

— To dosyć dużo, ale do tej rozmowy chciałbym być jeszcze lepiej przygotowany. Siewierska nam nie ucieknie, a przedwczesne indagacje mogą ją niepotrzebnie spłoszyć. Jak wicie, jestem w kontakcie z jej córką, która mnie uważa za znakomitego filmowca. Im dłużej będę ją utrzymywał w tym przekonaniu, tym lepiej. Obawiam się, że rozmowa z matką może pociągnąć za sobą rozmowę oficjalną z córką i wtedy będę musiał zrezygnować z tej mistyfikacji.

— Macie rację — powiedział Olszewski. — Lubię działać błyskawicznie, przez zaskoczenie, ale czasem rzeczywiście lepsza jest cierpliwość.

Downar uśmiechnął się.

— W waszym wieku także byłem w gorącej wodzie kąpany. Cierpliwości nauczył mnie Walczak.

— O, to straszny flegmatyk. Pracowałem z nim kiedyś. Myślałem, że mnie szlag trafi. Nie mogłem się doczekać przystąpienia do akcji.

— Karol zawsze mówi, że przestępca jest jak owoc, trzeba mu pozwolić dojrzeć, a wtedy sam wpada nam w ręce.

— No to pozwólmy dojrzewać pani Siewierskiej.

Przeglądając rzeczy Elerta, Downar natrafił na słoik po kwasie glutaminowym. Zawartość tego słoika zastanowiła go. Wziął kartkę papieru i wysypał na nią trochę dziwnej substancji. Nie miał pojęcia, co to mgło być. Ziemia? Żwir? Zanieczyszczony piasek? Pytająco spojrzął na porucznika.

— Widzieliście to?

— Widziałem.

— Przecież to nie jest kwas glutaminowy. Po co mu było potrzebne to błoto?

Porucznik wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem. Może chciał wysłać komuś za granicę trochę ojczystej ziemi? A może to jakaś pamiątka rodzinna?

— Trochę ojczystej ziemi — powtórzył w zamyśleniu Downar.

— O ile mi wiadomo, Elert nie był typem sentymentalnym. Trudno przypuścić, żeby przechowywał w słoiku po kwasie glutaminowym ziemię z grobowca rodzinnego. Taki upominek dla stęsknionego rodaka, przebywającego za granicą, także

wydaje mi się mało prawdopodobny. Wiecie? Mam ochotę przejechać się do redakcji.

— Rozmawiałem już z nimi.

— Nic nie szkodzi. Porozmawiamy sobie jeszcze raz.

Przyjął ich zastępca redaktora naczelnego. Był to szczupły, ruchliwy mężczyzna, o niespożytej energii i ogromnej przedsiębiorczości. Posiadał znakomitą orientację polityczną i potrafił bezbłędnie wyczuć i ocenić każdą sytuację. Ta zdolność połączona z dużym temperamentem dopomogła mu do zrobienia kariery dziennikarskiej. Zdziwiła go trochę ponowna wizyta milicji, ale nie dał tego po sobie poznać. Przyjął oficerów bardzo uprzejmie, częstując ich kawą i papierosami.

Downar położył na stoliku teczkę i powiedział:

— Proszę nam wybaczyć, panie redaktorze, że zabieramy panu jego cenny czas, ale chcieliśmy się jeszcze dowiedzieć pewnych szczegółów.

— Proszę uprzejmie. Jeżeli tylko mogę dopomóc w wyświeceniu tej ponurej sprawy, to chętnie służę.

— Wiadomo nam, że Elert zajmował się nadużyciami gospodarczymi.

— Tak. Można by nawet powiedzieć, że kolega Elert specjalizował się w rozpracowywaniu większych afer gospodarczych. Czasami nawet na trop takiej afery wpadał wcześniej aniżeli milicja. Bardzo przepraszam, nie chciałem panów urazić.

— My się o to nie gniewamy — uśmiechnął się Downar. — Niech mi pan powie, panie redaktorze, czy w ostatnich czasach pan Elert wspominał panu o jakiejś nowej aferze?

— Bardzo ogólnikowo

— To znaczy?

— Mówił, że przygotowuje dużą bombę, że ma na warsztacie jakąś sensację.

— Nie precyzował, co to takiego?

— Nie. Był bardzo tajemniczy,

Downar zapalił papierosa i przez chwilę patrzył w zamyśleniu na dziennikarza. — A czy pan Elert miał na terenie redakcji jakichś wrogów?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Każdy człowiek ma wokół siebie ludzi bardziej albo mniej życzliwych. Elert na ogół cieszył się sympatią. Tak mi się przynajmniej wydaje.

— Czy znane jest panu nazwisko Wacław Heger?

— Mówi pan o tym dziennikarzu?

— Tak.

— Oczywiście, że go znam. To jeden z naszych współpracowników.

— Czy on pracuje stale w jakiejś redakcji?

— Nie. Heger współpracuje z różnymi redakcjami.

— Nie orientuje się pan, panie redaktorze, jakie stosunki łączyły Elerta z Hegerem?

— Chyba nie najlepsze. Pamiętam, że Elert parokrotnie wyrażał się o Hegerze dość ironicznie. Być może, że wchodziła tu w grę rywalizacja zawodowa. Heger także interesuje się aferami gospodarczymi. Ostatnio miał na warsztacie aferę przemytniczą.

Downar otworzył teczkę i wyjął z niej jakieś papiery.

— W rzeczach Elerta znaleźliśmy delegację służbową, bilety kolejowe oraz rachunki z hotelu i z restauracji. Wszystko to z zeszłego roku. Tego rodzaju dokumenty powinny być chyba w waszej księgowości jako dowody kasowe?

Zastępca redaktora naczelnego roześmiał się.

— Tak, tak. Przypominam sobie. To odwieczny spór, który trwał pomiędzy Elertem a naszym wydziałem finansowym. Nie chcieli mu uznać tych wydatków.

— Dlaczego? Jeżeli miał delegację służbową?...

— No tak, miał delegację, ale zamiast dwóch czy trzech dni, siedział w terenie przeszło tydzień i dlatego...

— Nie pamięta pan, panie redaktorze, w jakim celu jeździł wtedy Elert do Katowic i Krakowa?

— Jeździł z jakimiś zagranicznymi gośćmi. Jeżeli się nie mylę, to wtedy nie mieliśmy kogo posłać i w zastępstwie kolegi, który się tymi sprawami zajmuje, pojechał Elert. Pamiętam tę sprawę dosyć dobrze, bo Elert parokrotnie awanturował się o zwrot kosztów.

— A dlaczego Elert przedłużył te podróże służbową? Musiał

przecież jakoś to motywować.

— Mówił, że to było konieczne, że zbierał materiały, ale bliżej nie precyzował, o jakie materiały chodziło. W naszej redakcji podejrzewano go o to, że po prostu siedział te kilka dni u dziewczynki. Podobno miał sympatie w Krakowie. A zresztą nie tylko chyba w Krakowie. Elert był niepoprawnym kobieciarzem.

— Panie redaktorze, czy Elert nie zwierzał się panu kiedyś, że coś mu grozi, że obawia się czyjejs zemsty?

— Nie, nic takiego nigdy nie mówił. Zresztą nie łączyły mnie z Elertem przyjacielskie stosunki. Nasze kontakty raczej ograniczały się do rozmów na tematy pracy zawodowej.

— Az kim się przyjaźnił?

— Przyznam się panu, że nie wiem. To nie był zbyt komunikatywny człowiek wbrew pewnym pozorom. Robił wrażenie bezpośredniego, szczerego, kordialnego, ale to wszystko było wynikiem dokładnie wystudiowanej pozy. W gruncie rzeczy odnosił się do swego otoczenia z dość niemłą protekcyjną wyższością, z ironią. Tym zrażał sobie ludzi, którzy go bliżej poznali.

Downar doszedł do wniosku, że nie dowie się już niczego więcej. Spojrzał porozumiewawczo na Olszewskiego. Wstali i podziękowali redaktorowi za informacje.

Na ulicy porucznik zapytał: — Co robimy dalej?

Downar wyjął z kieszeni słoik po kwasie glutaminowym.

— Pojedźcie do laboratorium i dajcie to świństwo do analizy. Musimy się dowiedzieć, co to za glinę Elert skrzętnie przechowywał w biurku. Ja przejdę się na Foksal do CAF-u.

W archiwum CAF-u Downar spędził przeszło dwie godziny. Wreszcie kiedy już stracił wszelką nadzieję, znalazł to, czego szukał. Grupa ludzi na tle Wawelu i ta sama grupa ludzi na tle jakiejś fabryki. Na obydwóch zdjęciach uśmiechnięty Elert. Informacyjna notatka brzmiała: „Wizyta brazylijskiej delegacji handlowej”. Downar zatarł ręce z zadowolenia. Zamówił po dwie odbitki każdego zdjęcia i pogwizdując wyszedł z Centralnej Agencji Fotograficznej. Miał ochotę skontaktować się z fotoreporterem, który robił to zdjęcie, ale zrezygnował z

tego zamiaru. Nie należało robić koło tej sprawy zbytniego szumu.

Pora była obiadowa. A może by pójść do SARP-u na brizol z pieczarkami? Po drodze wstąpił do „Dziennikarzy”. A nuż... Miał szczęście. Przy szatni spotkał Hegera. Znał go z fotografii. Teraz już wiedział doskonale, jak wyglądają imieninowi goście Siewierskich.

Heger był niemile zaskoczony. Downar wcale się nie zdziwił. Nikomu nie sprawia przyjemności niespodziewane towarzystwo oficera śledczego.

— Jeżeli to panu redaktorowi nie na rękę, to może umówimy się któregoś innego dnia w komendzie.

Na suchej twarzy dziennikarza odmalowało się wahanie.

— Nie, proszę bardzo. Przyszedłem tu coś zjeść. Jestem sam, więc jeżeli pan... jeżeli mogę być panu w czymś pomocny, to chętnie służę.

— Ja też jeszcze nie jadłem obiadu — uśmiechnął się przyjacielsko Downar. — Może w takim razie razem coś przekąsimy.

Usiedli przy stoliku i zamówili obiad.

— Interesuję się tragiczną śmiercią pańskiego kolegi po fachu, Elerta — powiedział Downar, nalewając do szklaneczek wodę mineralną.

Heger kiwnął głową.

— Domyśliłem się tego, ale muszę pana rozczarować. Niewiele, a właściwie nic nie mogę powiedzieć na ten temat.

— Pan znał Elerta?

— Owszem, znałem go.

— Przyjaźniliście się panowie?

— Naszej znajomości w żaden sposób nie można by tak określić. Kontaktowałem się z nim dość rzadko i zupełnie dorywczo.

— Czy były powody jakiejś wzajemnej niechęci?

Heger badawczo spojrział na Downara.

— Nie, absolutnie nie. Po prostu ani on nie przepadał za moim towarzystwem, ani ja za jego.

— Elert specjalizował się w aferach gospodarczych. Zdaje się,

że i pana także interesuje ta tematyka.

— Nie — zaprzeczył z niespodziewanym ożywieniem Heger.

— W tej chwili zupełnie się tymi sprawami nie interesuję.

— Ale dawniej, kiedy jeszcze żył Elert...

Heger poruszył się niespokojnie. Widać było, że ta rozmowa robi mu wyraźną przykrość.

— No tak... kiedyś rzeczywiście zajmowałem się trochę nadużyciami gospodarczymi, ale wycofałem się z tego dosyć dawno.

Downar skończył jeść sałatkę i przysunął sobie talerz z zupą.

— Pan zna, panie redaktorze, państwa Siewierskich?

— Znam.

— Czy dawno pan ich zna?

— Nie. To zupełnie nowa znajomość. Raz u nich byłem.

— Na imieninach pani Siewierskiej?

— Tak.

— Czy na te imieniny poszedł pan w jakimś konkretnym celu?

— Nie rozumiem pana.

— Po prostu pytam, czy oprócz czysto towarzyskich względów miał pan coś specjalnego na celu, idąc na te imieniny?

Heger uśmiechnął się niezbyt szczerze.

— Cóż mógłbym mieć specjalnego na celu?

Downar w milczeniu kończył zupę.

— Widzi pan, panie redaktorze, praca dziennikarza często jest podobna do mojej roboty. Trzeba nieraz powęszyć, pogadać z ludźmi, napić się z nimi wódki, zaprzyjaźnić się, zdobyć ich zaufanie...

— Ciągłe nie rozumiem, do czego pan zmierza?

— A mnie się zdaje, że pan doskonale rozumie — powiedział wesoło Downar. — Jest pan przecież zbyt inteligentnym człowiekiem, żeby pan nie rozumiał.

— Czego pan właściwie chce się ode mnie dowiedzieć?

— Chciałbym się dowiedzieć, czy ktoś z imieninowych gości państwa Siewierskich jest pańską zwierzyną?

— Moją zwierzyną?

— Tak. Mam dziwne wrażenie, że pan śledził kogoś z tych ludzi i że pan poszedł do Siewierskich wtedy głównie po to,

żeby o tym kimś dowiedzieć się czegoś bliższego, żeby nawiązać z nim kontakt.

— Snuje pan fantastyczne wizje. Po cóż miałbym kogoś śledzić?

— Żeby rozszyfrować jakąś aferę.

— Powiedziałem panu przecież, że żadnymi aferami teraz się nie zajmuję.

— A ja odnoszę wrażenie, że pan stosunkowo bardzo niedawno przestał się interesować tą tematyką.

— Jest pan wobec tego lepiej poinformowany ode mnie

— Pan nie chce mi pomóc — westchnął melancholijnie

Downar

— Nie widzę, w czym mógłbym być panu pomocny. Naprawdę nie mam nic ciekawego do powiedzenia.

— Czy można zapytać, kto pana wprowadził do państwa Siewierskich!

— Brat pani Siewierskiej, pan Łaciak.

— Czy dawno pan zna pana Łaciaka?

— Nie, raczej niedawno.

— Ale zaprzyjaźnił się pan z nim?

— Tak. To bardzo miły człowiek.

— Po tych imieninach nocował pan u niego.

— Tak. Trochę za dużo wypilem i pan Łaciak zabrał mnie do siebie.

— To dziwne.

— Co pana tak dziwi?

— Bo dowiedziałem się z pewnego źródła, iż na przyjęciu u państwa Siewierskich pan prawie nic nie pił. Dlaczegoż więc był pan pijany? Czyżby symulacja?

Heger niechętnie wzruszył ramionami.

— Pańskie informacje są rzeczywiście zadziwiające. Dlaczegoż miałbym udawać pijanego?

— Właśnie chciałbym to wiedzieć.

— Ode mnie się pan niczego nie dowie, bo rzeczywiście trochę wtedy za dużo wypilem i pan Łaciak zabrał mnie do siebie na noc. Nie mam pojęcia, kto panu to powiedział, że ja prawie nic nie piłem

— Mniejsza z tym. Jeszcze tylko chciałbym panu zadać jedno pytanie. Czy Elert nie wspominał panu o jakiejś sprawie, którą miał ostatnio na warsztacie?

— Nie, o niczym takim mi nie mówił

— I nie domyśla się pan, kto mógł być autorem tej zbrodni?

— Nie mam pojęcia. Mówiłem już panu, że z kolegą Elertem łączyła mnie raczej zupełnie luźna znajomość. — Heger spojrział na zegarek. — Pan wybaczy, ale jestem umówiony i nie chciałbym się spóźnić. Jeżeli jeszcze mógłbym służyć panu jakimiś informacjami, to może innym razem.

Wychodząc od „Dziennikarzy” Downar pomyślał, że Heger jest porządnie przestraszony i że za wszelką cenę chce coś ukryć. Nie można było liczyć na to, żeby coś się dało z niego wyciągnąć. Czy Teresa mówiła prawdę, że Heger prawie nic nie pił na tych imieninach?

A Szypowscy? Co to byli za ludzie? Ostatni z listy gości Siewierskich

Downar doszedł do Ordynackiej, znalazł na postojach wolną taksówkę i pojechał na Filtrową.

Szypowski był potężnie zbudowanym mężczyzną. Miał kwadratową, mięsistą twarz, małe oczy i szerokie, muskularne dłonie. Jako fachowiec od rwania zębów wzbudzał zaufanie. Obrzucił przybysza pytającym spojrzeniem i powiedział: — Dzisiaj nie przyjmuję pacjentów.

Downar wszedł do przedpokoju.

— Ja nie w charakterze pacjenta. Jestem z milicji.

Szypowski bez specjalnego zainteresowania obejrzał służbową legitymację.

— Proszę, niech pan wejdzie.

— Może usiądziemy? — zaproponował Downar.

— Nasza rozmowa potrwa kilka minut.

Szypowski trochę się spieszył.

— Ależ oczywiście. Proszę uprzejmie. Niechżeż pan kapitan będzie łaskawy spocząć. Może papieroska?

— Przychodzę do pana, panie doktorze, z prośbą o pomoc.

— O pomoc? — zdziwił się Szypowski. — W czym mogę panu pomóc?

— Sam jeszcze nie wiem. Widzi pan, zajmuję się obecnie dosyć skomplikowaną sprawą. Słyszał pan może o zamordowaniu tego dziennikarza, Leona Elerta?

— Tak, tak, coś mi się obilo o uszy. Więc pan prowadzi śledztwo.

— Tak, to jest dosyć tajemnicza zbrodnia i moje zadanie nie należy do najłatwiejszych. Przede wszystkim muszę zebrać możliwie jak najwięcej materiału informacyjnego.

— Słusznie, bardzo słusznie — pokiwał głową dentysta — ale cóż ja tutaj...? Nie znałem tego człowieka. Nic panu o nim nie mogę powiedzieć.

— Czy jesteśmy sami w mieszkaniu? — spytał Downar.

Szypowski był wyraźnie zaskoczony.

— Tak. Żona moja wyszła. Ale dlaczego pan pyta?

— Dlatego, że wolałbym, aby nasza rozmowa miała charakter poufny. Są rzeczy, o których lepiej, żeby nie wiedziało zbyt wiele osób, a szczególnie zbyt wiele kobiet.

— Intryguje mnie pan.

— Panie doktorze, czy pan dobrze zna pana Siewierskiego i jego żonę? Mam na myśli tego lekarza ginekologa, który mieszka na Stalowej.

— Oczywiście. Znam ich bardzo dobrze. Ze Zbyskiem Siewierskim przyjaźnimy się od młodych lat. Studiowaliśmy mniej więcej w tym samym czasie.

— A panią Siewierską?

— Renę poznałem oczywiście później, gdy się z nią Zbyszek ożenił. Ale nie rozumiem, co Siewierscy mogą mieć wspólnego z tą zbrodnią. Może mi pan to wytłumaczyć.

Downar nie miał zamiaru niczego tłumaczyć. Spytał:

— Czy pan Siewierski kocha swoją żonę?

— Bardzo. Jest o nią piekielnie zazdrosny. Rena, chociaż już ma dorosłą córkę, jest jeszcze ogromnie interesującą kobietą.

— Czy pan uważa, że to jest dobrane małżeństwo?

— Tak... Chyba tak. Myślę, że Siewierscy są dobrym małżeństwem. — Ostatnie słowa zabrzmiały niezbyt przekonująco.

— Na początku naszej rozmowy powiedział pan, panie

doktorze, że nazwisko Elert jest panu nieznanne.

— To prawda. Nie znałem tego dziennikarza.

Downar uważnie przyjrzał się dentyście.

— To mnie o tyle dziwi, że w spisie telefonów Elerta znalazłem pański telefon i adres. Nie mógł to być zupełnie obcy panu człowiek.

— Może któryś z moich pacjentów dał mu mój telefon — powiedział niezbyt pewnie Szypowski.

— Chciałbym, żeby pan sobie przypomniał, panie doktorze, czy Elert przypadkiem nie był pańskim pacjentem. Niech pan przy okazji weźmie pod uwagę fakt, że jestem u pana służbowo i że prowadzę śledztwo.

Mięsista twarz dentystry nabiegła krwią. W małych oczach pojawił się niepokój.

— Nie mam nic do ukrywania, panie kapitanie. Być może, że ten dziennikarz... Nie pamiętam wszystkich moich pacjentów. Muszę zajrzeć do kartoteki.

— Niech pan zajrzy.

Przeszli do gabinetu dentystycznego i Szypowski wyjął z szuflady drewniane pudełko, wypełnione kartkami z nazwiskami pacjentów. — Domiecki, Drzewiecki, Dzierżanowski, Elert, Leon Elert. Miał pan rację, panie kapitanie. To był mój pacjent.

— Co tam jest napisane na tej karteczce? — spytał spokojnie Downar. — Jakie zęby mu pan leczył?

— Dwójka i czwórka górne, plomby. Trójka dół i czwórka dolna ekstrakcja.

— Czy w dalszym ciągu chce pan we mnie wmówić, że pan nie pamięta tego pacjenta?

— Teraz sobie przypominam.

— A ja odnoszę wrażenie, że pan go sobie od razu przypomni.

— Nie muszę pamiętać wszystkich moich pacjentów.

— Ale powinien pan pamiętać o tym, że wprowadzenie w błąd oficera milicji może pociągnąć za sobą bardzo nieprzyjemne konsekwencje.

— Nikt mi nie dowiedzie, że wprowadziłem pana w błąd.

— Co mógłbym panu dowieść, to by się dopiero pokazało. Sądzę jednak, że nie dopuścimy do tego, żeby pan musiał się bronić przed zarzutami. To są bardzo niemiłe rzeczy.

Szypowski był zdenerwowany. Ręce mu się trzęsły, kiedy odstawiał kartotekę na miejsce.

— Czego pan właściwie chce ode mnie? Cóż z tego, że Elert był moim pacjentem. To chyba nie dowodzi, że mam coś wspólnego z tym morderstwem?

— Oczywiście, że nie. Zresztą dlaczego miałby pan mordować Elerta? Nonsens. Pani Siewierska była pańską pacjentką?

— Tak. Zona kolegi... Nie ma w tym chyba nic dziwnego?

— Absolutnie nie ma w tym nic dziwnego. Jest również rzeczą najbardziej naturalną, że pani Siewierska poznała Elerta tutaj, u pana w poczekalni.

Szypowski spojrział zaskoczony na Downara.

— Skąd pan wie?

— Tak przypuszczałem, a pańska reakcja utwierdziła mnie w tym przypuszczeniu. Więc poznali się tutaj?

— Zupełnie przypadkowo.

— Czy pan wiedział o tym, że pani Siewierska bliżej zaprzyjaźniła się z Elertem?

— No wie pan... ja się nie wdaję w takie rzeczy. To są już sprawy czysto prywatne.

— Panie doktorze, chciałbym zaproponować, żebyśmy przestali bawić się w ciuciubabkę. Już chyba ostatecznie wyjaśniliśmy sobie sytuację. No więc jak? Wiedział pan o romansie Siewierskiej czy nie?

— Wiedziałem — mruknął ponuro Szypowski. — Przyznaję, że mało brakowało, a byłbym rozbił łeb temu łajdakowi.

— Widzę, że pan nie ma najlepszego mniemania o nieboszczyku.

— To był skończony łotr. Należało mu się...

— A można wiedzieć, dlaczego pan tak ujemnie ocenia Elerta?

Szypowski zgarbił się. Jego potężne ramiona zwiotczyły nagle. Ręce zwisły bezwładnie wzdłuż tułowia.

— Ona go naprawdę kochała.

Downar wyczuł, że za tymi słowami kryje się coś więcej aniżeli uczucie sympatii, jakie się ma normalnie dla żony przyjaciela. Nie zdradził się jednak ze swymi podejrzeniami.

— A Elert nie potrafił docenić jej miłości?

— Bydłę, skończone bydłę...

— To był lekkoduch, kobieciarz, człowiek bez większych skrupułów, na pewno zdradzał swą przyjaciółkę.

— Tu nie chodzi o zdradę. On ją w ordynarny sposób szantażował.

— Tak — powiedział Downar zamyślony. — Kobiety często lokują swe uczucia w sposób bardzo niewłaściwy.

Mięśnie twarzy Szypowskiego były ściągnięte nienawiścią.

— Szantażował ją. Rozumie pan? W ordynarny sposób ją szantażował.

— Naprawdę?

— Tak. W chwili załamania zwierzyła się kiedyś mojej żonie. A moja żona powiedziała o tym mnie, prosząc o radę i pomoc. Przede wszystkim chodziło o to, żeby się Siewierski o niczym nie dowiedział. To byłby dla niego straszliwy cios i właściwie zupełnie niepotrzebny. Rena zrozumiała swój błąd i w tej chwili jest najlepszą żoną. To było u niej jakieś niezrozumiałe dla mnie otumanienie. Była zupełnie jak zahipnotyzowana.

— Czy córka pani Siewierskiej wiedziała o tej sprawie?

Szypowski potrząsnął głową.

— Nie sądzę, chociaż głowy dać nie mogę. To bardzo sprytna dziewczyna. Możliwe, że się czegoś domyślała. Kocha matkę i jest do niej ogromnie przywiązana.

Downar zapalił nowego papierosa. Przez chwilę obracał w palcach zwęgloną zapalną. Nie spodziewał się nawet, że rozmowa z tym człowiekiem da mu tak dużo.

— Chciałbym pana jeszcze zapytać, panie doktorze, co pan myśli o panu Łaciaku?

— No cóż... Bardzo sympatyczny jegomość — powiedział wymijająco Szypowski.

— Zna go pan, doktorze?

— Oczywiście. To brat Reny Siewierskiej.

— Podobno Siewierscy mają z nim od czasu do czasu trochę kłopotu.

Szypowski ze zdziwieniem spojrział na mówiącego.

— Widzę, że pan jest znakomicie poinformowany, panie kapitanie.

— Zdobywanie informacji to moja pasja — uśmiechnął się Downar. — Bez tego hobby nie zajechałbym daleko. Więc jednak to prawda, że pan Łaciak przysparza rodzinie kłopotów.

— Niestety. Widzi pan, to jest typ człowieka, który nie bardzo potrafił przystosować się do nowych warunków życia. Przyzwyczajony był zawsze dużo wydawać na różne swoje przyjemności, lubi grać w karty. A dzisiaj mało kogo stać na to, żeby wysoko grywać w pokera. Dlatego też Mikołaj od czasu do czasu wpada na jakiś „genialny” pomysł zrobienia w krótkim czasie większych pieniędzy i trudno się dziwić, że później wynikają przykre komplikacje. W najlepszym przypadku Wydział Finansowy, a czasem nawet milicja, prokurator... Obawiam się, że to się kiedyś może fatalnie skończyć. No, ale trudno. Nie można kogoś uszczęśliwić wbrew jego woli.

— Czy pan przypuszcza, że Łaciak wiedział o Elercie i pani Siewierskiej?

Szypowski zaprzeczył energicznie.

— Na pewno nic nie wiedział. Rena nie ma zbyt dużego zaufania do brata. Orientuje się doskonale, że Mikołaj to nieprawdopodobny plotkarz, rozmiłowany w sensacjach i skandalach. Nie, nie, to wykluczone.

Downar doszedł do wniosku, że przedłużanie tej rozmowy nic mu już nie da. Wstał.

— Przepraszam, że zabrałem panu tyle czasu. Mam nadzieję, że to, cośmy tutaj powiedzieli, pozostanie między nami.

— Może pan liczyć na moją całkowitą dyskrecję

— zapewnił go Szypowski. — Biedna Rena dosyć się już nacierpiała. Nie powinno się jej teraz komplikować życia.

Z Filtrowej Downar pojechał do komendy. Został tam jeszcze Leśniewskiego. Major ucieszył się.

— Dobrze, że was widzę. Przez cały dzień nadaremnie usiłuję się z wami porozumieć.

— Kręcę się koło tej cholernej sprawy — powiedział Downar.

— Chciałbym wiedzieć, jak to w tej chwili wygląda. Miałem dzisiaj interwencję, żeby kończyć możliwie jak najprędzej.

Downar zrelacjonował dotychczasowe wyniki śledztwa. Leśniewski słuchał uważnie, robiąc notatki.

— Z tego widzę, że to wszystko jest jeszcze zupełnie płynne.

Downar poruszył się niecierpliwie.

— Nie wymagajcie cudów. Sprawa jest bardzo skomplikowana i nie spodziewajcie się, żebym ją szybko rozpracował. Zresztą może przekażecie ją komu innemu?

Leśniewski roześmiał się.

— Po co ten bluff? Przecież doskonale wiecie, że wam tej sprawy nie zabiorę, a ja znowu wiem, że wy nie dalibyście jej sobie zabrać. Niepotrzebnie się obrażacie.

— Ja się nie obrażam — mruknął trochę już udobruchany Downar. — Nie lubię tylko, jak mnie ktoś uważa za czarodzieja. Hokus-pokus i już jest morderca Elerta.

— Niejedną zagadkę rozwiązaliście już w sposób nieomal czarodziejski — uśmiechnął się Leśniewski.

— Ale żarty na bok. Powiedzcie mi, dlaczego uważacie, że właśnie ktoś z imieninowych gości Siewierskich jest zamieszany w tę sprawę? Nie bardzo rozumiem, jak wy sobie to kojarzycie.

— No cóż... to są oczywiście tylko przypuszczenia — powiedział Downar. — Sprawa Borzyckiego wiąże mi się jakoś z tym przyjęciem imieninowym i z ludźmi, którzy brali w nim udział. Więc po pierwsze, wydaje mi się, że na tym przyjęciu musiał być ktoś, kto wiedział o dyspozycji prokuratora do stanów amnezji alkoholowej. Ten ktoś wiedział również, być może, o przykrej rozmowie, którą Borzycki odbył tego wieczoru ze swoją byłą żoną. Osoba ta postarała się o to, żeby Borzycki pił, a nie jest wykluczone, że dosypała do alkoholu jakiegoś świństwa celem pogłębienia tego stanu zamroczenia.

— Konsultowaliście się w tej sprawie z jakimiś fachowcami?

— Oczywiście. Mogłaby tu wchodzić ewentualnie w grę scopolamina. Chociaż lekarze twierdzą, że w wypadku specjalnej dyspozycji do amnezji alkoholowej czy, jak oni to

fachowo nazywają, dipsomanii — nawet niewielka ilość alkoholu może spowodować ten stan. Sprzyja temu mieszanie alkoholu, a Borzycki pił koniak, wódkę, wino, a być może, że i jakiś likier. Należy brać pod uwagę także i tę ewentualność, że mordercy Elerta zabrali Borzyckiego po wyjściu od Siewierskich na poprawiny. To wszystko przemawia za tym, że na przyjęciu był ktoś związany z całą aferą. Za dobra organizacja, żeby mogło to być dziełem przypadku.

— O ile mi wiadomo, Borzycki znalazł u siebie w palcie pistolet.

— Tak. Był tym bardzo zaskoczony.

— I nie pamiętał, kiedy pistolet wkładał do kieszeni?

— Nie. Twierdzi, że pistolet trzymał zawsze w szufladzie biurka i że od dawna nie miał go w ręku.

— To dziwne — powiedział w zamyśleniu Leśniewski. — Tego przecież już nie można zwalać na amnezję alkoholową. Jeżeli przed pójściem do Siewierskich włożył pistolet do kieszeni płaszcza, to byłby o tym pamiętał; nawet gdyby tę czynność wykonał kilka dni wcześniej, to także mało prawdopodobne, żeby o tym zapomniał, a poza tym tak rygorystyczny i dokładny człowiek jak Borzycki nie zostawiłby w płaszczu pistoletu. Pozostaje więc ewentualność...

— ...że ktoś wykradł z biurka pistolet i wsunął mu go do płaszcza po zamordowaniu Elerta — dokończył Downar.

— Właśnie. Tylko kto to mógł zrobić? Borzycki mieszka z gosposią i z córką. Gosposia chyba odpada. Pozostaje więc córka. Co myślicie o tej dziewczynie?

— Nie znam jej osobiście, ale z tego, co o niej słyszałem, nie wydaje mi się, żeby była zdolna do wykradzenia ojcu pistoletu. Zresztą po co miałyby to robić? Ona przecież nie zastrzeliła Elerta.

— Czy jesteście tego zupełnie pewni?

— No chyba tak... — powiedział z wahaniem Downar. — Nic na to nie wskazuje, żeby Ewa... W każdym razie do tej pory nie natrafiłem na nic takiego, co by pozwalało przypuszczać, że... A poza tym dziewczyna ma alibi. Tej nocy, kiedy został zamordowany Elert, była u swej przyjaciółki w Komorowie.

Wróciła dopiero drugiego dnia wieczorem.

Major pokiwał głową.

— Tak, to prawda, ale musimy brać pod uwagę fakt, że Elert został zastrzelony pomiędzy drugą a czwartą nad ranem. Można w zasadzie stworzyć sobie taką hipotezę, że córka Borzyckiego podczas tańców zaczęła się skarżyć na ból głowy i powiedziała, że idzie się położyć. Zamiast tego jednak ostatnią kolejką pojechała do Warszawy, zastrzeliła Elerta i wróciła do Komorowa. Zabawa trwała do rana, mógł nikt nie zauważyć jej nieobecności. Jeżeli zaś z powrotem udało jej się złapać jakąś okazję samochodową, to to wszystko razem nie zabrało jej więcej czasu jak dwie godziny. Powiedzmy dwie i pół. Alibi znakomite. Nie zapominajcie o tym, że to córka prokuratora, sama studiuje prawo. Te zagadnienia nie są dla niej obce. Jestem przekonany, że potrafi fachowo podejść do sprawy.

Downar z wielką uwagą słuchał słów Leśniewskiego. To wszystko, co mówił major, było mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe.

— Dlaczegoż by Ewa miała zabić Elerta?

Leśniewski wzruszył ramionami.

— A tego to już ja nie wiem. Może była jego kochanką? Może zemsta? Może ją rzucił? A może ją czymś szantażował?

— Szantaż — ożywił się nagle Downar. — Czekajcie, czekajcie... coś mi zaczyna chodzić po głowie. Szantaż! Trzeba się nad tym zastanowić.

— Co macie na myśli?

— Nic, nic konkretnego. Tak mi się luźno kojarzą pewne fakty. Muszę sobie to wszystko uporządkować. Ostatnio przeprowadziłem kilka rozmów i teraz trzeba będzie powiązać ze sobą wyniki tych rozmów. Na razie mam dużo rozmaitych poszlak, przypuszczeń, podejrzeń, ale tak naprawdę to nic konkretnego. Z tego materiału można stworzyć kilka wersji zbrodni.

— Chciałbym jeszcze wrócić do sprawy pistoletu Borzyckiego — powiedział Leśniewski. — Czy wy się nie orientujecie, co on trzymał w tej szufladzie oprócz rewolweru?

— Jakieś drobiazgi. Dokładnie nie wiem.

— To wobec tego zapoznajcie się bliżej z zawartością tej szuflady. Wicie, o co mi chodzi?

Downar speszył się.

— Oczywiście, że wiem. To idiotyczne, że do tej pory o tym nie pomyślałem, ale byłem tak zawałony robotą...

— Rozumiem, rozumiem — uśmiechnął się Leśniewski. — Nie robię wam przecież z tego powodu wyrzutów. Radzę jednak, żebyście odwiedzili Borzyckiego i dokładnie obejrzei sobie te drobiazgi, które on trzyma w szufladzie. Postarajcie się oczywiście zrobić to pod nieobecność jego córki. Lepiej by było, gdybyście mogli jak najdłużej zachować w stosunku do niej swoje incognito.

— To nie ulega wątpliwości.

— Chciałem was jeszcze zapytać, czy macie na oku brata Siewierskiej?

— Łaciaka? Oczywiście, że go mam pod obserwacją. Pojechał teraz w jakichś interesach do Gdyni. Przekazałem go komendzie wojewódzkiej. To bardzo mętny typ.

Major kiwnął głową.

— Tak. Kazałem zebrać informacje odnośnie jego osoby. To, czego się o nim dowiedziałem, nie jest zbyt zachęcające. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się w rezultacie okazało, że maczał palce w zabójstwie Elerta i w zmontowaniu tej całej afery. Powiedzcie mi jeszcze, jak oceniacie robotę porucznika Olszewskiego.

— Zupełnie pozytywnie. To zdolny i bystry chłopak, a poza tym solidny w pracy. Uważam, że będą z niego ludzie.

— Nie powiedzieliście mu jeszcze o Borzyckim?

— Nie. Nie uważam, żeby to było w tej chwili konieczne; Ja i tak coraz bardziej przejmuję inicjatywę w śledztwie. A im mniej ludzi będzie wiedziało o sprawie Borzyckiego, tym lepiej.

Zadzwoił telefon. Leśniewski podniósł słuchawkę i przez chwilę słuchał w milczeniu, usiłując powiedzieć jakieś słowo. Kiedy skończył rozmowę, spojrzął smutnie na Downara. — Moja żona robiła mi wymówki, że nie przyszedłem na obiad. Muszę już jechać do domu. Chyba wszystko sobie już wyjaśniliśmy.

Na korytarzu Downar spotkał Olszewskiego, który powiedział:
— Mam już wyniki analizy. To jest ruda manganowa!

ROZDZIAŁ IX

Maciek od dłuższego czasu z pasją walił w worek treningowy. Mięśnie twarzy miał ściśnięte, a oczy płonęły ponurym blaskiem. Patrzącemu z boku zdawać by się mogło, że chłopak dokonuje aktu jakiejś straszliwej zemsty. Wreszcie zbliżył się do niego trener Ciepuła.

— Maciuś, co z tobą? Chcesz rozwalić ten woreczek?

— Nie mam dzisiaj partnera do sparringu — warknął chłopak.

— Do sparringu nikogo ci nie dam, bobyś zabił człowieka. Co się z tobą dzieje? Dziewczyna cię rzuciła czy co?

— Dajcie mi spokój.

Ciepuła wzruszył ramionami.

— Nie mam zamiaru wypytywać cię o twoje prywatne sprawy, ale nie lubię, jak moi chłopcy mają muchy w nosie. Przecież widzę, że coś z tobą nie w porządku. Za tydzień mamy mecz, a ty szalejesz.

— Gwizdnę na mecz.

— No, no, uważaj, żebyś ja ciebie nie gwizdnął.

Podszedł do nich szczupły, lśniący od potu chłopak.

— Maciek, jakaś babka do ciebie!

— Gdzie?

— Czeka w hallu.

Ściągnął pospiesznie rękawice i wybiegł z sali treningowej. Domyślał się, że to Ewa, ale mimo to zdziwił się, gdy ją zobaczył.

— Co się stało?

— Muszę z tobą pomówić.

Spojrzał na nią spode łba.

— Przecież masz do rozmowy ciekawszych facetów.

— Daj spokój, Maciek.

— No, co daj spokój? Znalazłaś sobie tego eleganta, to do

niego idź na pogawędkę. Ja ci nie jestem potrzebny.

Na białe policzki Ewy wystąpiły ceglaste rumieńce.

— Słuchaj, Maciek, ja nie przyszedłam do ciebie na flirty. Mam bardzo poważną sprawę. Musisz mi pomóc.

Przyjrzał się jej uważnie.

— Poważną sprawę...?

— No tak... Przecież ci mówię. Coś bardzo poważnego. Ubierz się. Pójdziemy gdzieś na kawę, to ci wszystko opowiem.

Pobiegł pod prysznic i po kilku minutach wyszedł do hallu już ubrany. W wąskich spodniach, w czarnym golfie nie wyglądał tak potężnie.

— Masz zupełnie mokre włosy — powiedziała, dotykając jego jasnej czupryny.

— Nie szkodzi. Wyszchną na wietrze.

— Przeziębisz się.

— Czyś ty kiedy widziała, żebym ja był przeziębiony? Chodź.

Poszli do pobliskiej kawiarenki. Ewa zamówiła kawę, Maciek fructovit.

— Cóż to za poważna sprawa?

— Słuchaj, Maciek, musisz mi przyrzec, że nikomu nie powiesz ani słowa.

— Wiesz chyba, że nie lubię plotek. O cóż to chodzi?

— Mam zmartwienie z ojcem.

— To chyba ojciec ma zmartwienie z tobą.

— Nie żartuj. To poważna sprawa.

— Jaka sprawa?

— No właśnie, że nie wiem.

Maciek spojrział podejrzliwie na dziewczynę.

— Ewa, co z tobą?

— Nie myśl, że mam szmergla. Coś się z ojcem dzieje niedobrego, a ja nie mogę się dowiedzieć, o co chodzi.

— Ale co się właściwie dzieje?

— Zmienił się nie do poznania, stracił apetyt, schudł, zmizerniał, źle sypia, strasznie zdenerwowany.

— Może po prostu chory?

— Zmusiłam go, żeby poszedł do lekarza. Mamy takiego zaprzyjaźnionego doktora. Zbadał ojca bardzo dokładnie i

powiedział, że właściwie nic mu nie jest, poza ogólnym rozstrojem nerwowym. Zapisał jakieś tam zastrzyki i pigułki. Ojca coś trapi. Rozumiesz? Coś go zżera.

— Nie pytałaś go wprost, o co chodzi?

— Nie chce ze mną na ten temat porozmawiać. Zaraz się strasznie złości. Chciałam się czegoś dowiedzieć na własną rękę. Byłam nawet w prokuraturze. Rozmawiałam ze znajomymi.

— Nie powinnaś była tego robić. Możesz narazić ojca na przykrości.

— Wiem, ale... Zrozum, że chcę mu pomóc. Nie mogę patrzeć, jak się męczy. Zaczęłam go śledzić.

— I co wysledziłaś?

— Podśledzałam rozmowę telefoniczną. Umawiał się z kimś na drugi dzień. Zapewniał tego kogoś, że mnie nie będzie w domu. Rzeczywiście miałam iść do teatru.

— Z tym facetem?

— Nieważne z kim. Nie o to chodzi. Odwołałam ten teatr, usadowiłam się w bramie po drugiej stronie ulicy, a w pokoju ojca ukryłam za szafą magnetofon. Ten ktoś miał przyjść około siódmej. Wychodząc, niby do teatru, skorzystałam z chwili, kiedy ojca nie było w pokoju, i uruchomiłam magnetofon.

— Za dużo czytasz powieści kryminalnych — uśmiechnął się Maciek.

— Nie wygłupiaj się.

— No więc co z tym magnetofonem?

— Ach, prawie nic z tego nie wyszło. Coś się popsulo czy taśma była zleżała. Zarejestrowało się tylko kilka niezwiązanych ze sobą fragmentów rozmowy. Mówili o jakimś szantażu, o szufladzie. Tatuś krzyczał, że nie zniesie tego dłużej. Niewiele można z tego zrozumieć. W każdym razie jestem pewna, że ten człowiek prześladowuje tatusia i że przez niego to wszystko.

— Kto to jest?

— Nigdy byś nie zgadł.

— Po co mam zgadywać. Jak wiesz, to mów.

— Wyobraź sobie, że to ten filmowiec.

— Ten, który poderwał Kaśkę?

— Ten sam. Widziałam go, jak wychodził z naszego domu. Siedział przeszło godzinę. Zmarzłam jak pies w tej bramie. Później musiałam jeszcze chodzić po mieście, bo na powrót z teatru było za wcześnie.

Maciek w zamyśleniu podrapał się za uchem.

— Głupia historia. Czegóż ten bandzior chce od twojego ojca?

— Nie mam pojęcia. W każdym razie jestem pewna, że to o niego chodzi. Kiedy wróciłam do domu, tatuś był strasznie zdenerwowany.

— Co chcesz zrobić z tym fantem?

— Nie wiem. Właśnie chciałam się z tobą narodzić. Przecież ty masz zamiar pracować w wydziale śledczym.

— A ty masz zamiar być prokuratorem.

— No tak, ale na razie nie wiem, co robić...

— A może by zawiadomić milicję?

Gwałtownie potrząsnęła głową.

— Nie, nie, lepiej nie. Boję się zaszkodzić ojcu. Przecież nie wiemy, o co chodzi. Jeżeli to jakiś niebezpieczny szantażysta, to może się zemścić. Tacy ludzie są zdolni do wszystkiego.

Maciek oparł brodę na zaciśniętej pięści i zamyślił się. — No dobra — powiedział po chwili. — Ja się zajmę tym facetem.

Spojrzała na niego niespokojnie.

— Co chcesz zrobić?

— Zostaw to mnie. Dam sobie radę.

— Tylko błagam cię, żebyś nie zrobił jakiegoś głupstwa.?

— Bądź spokojna. To jest robota bardzo precyzyjna. Trzeba to załatwić dyskretnie.

— Ale co masz zamiar przedsięwziąć?

— Jeszcze dokładnie nie wiem. Muszę się namyślić. W każdym razie mogę ci obiecać, że podejść do zagadnienia bardzo delikatnie. Zastosuję moją własną metodę.

Ewa widząc, że Maciek nie nastawia się na awanturę, znacznie się uspokoiła.

— Dziękuję ci, że chcesz mi pomóc. Doprawdy nie wiedziałam, do kogo się zwrócić, a taka jestem zaniepokojona o ojca.

— Możesz na mnie polegać — powiedział zdecydowanie Maciek. — Zaraz się do tego zabieram i bardzo prędko sprawa się wyjaśni.

Po wyjściu z kawiarni pożegnali się. Maciek wrócił jeszcze do klubu, a Ewa pojechała do domu. Postanowiła dyplomatycznie porozmawiać z ojcem.

Borzycki siedział w fotelu i przeglądał gazety. Tego dnia nie był w prokuraturze. Dostał od lekarza parodniowe zwolnienie, aby doprowadzić do porządku roztrzęsione nerwy.

Ewa pocałowała ojca i usiadła koło niego na niskim krzeselku.

— Jak się czujesz, tatusiu?

Ruchem pełnym czułości pogładził ją po głowie.

— Dobrze się czuję, maleńka, bardzo dobrze.

— Niepokoję się o ciebie.

— Byłem przecież u lekarza. Wiesz, co powiedział.

— No tak, wiem, ale... Widzę, że coś cię gnębi, że jesteś zdenerwowany, niespokojny, źle wyglądasz, schudłeś, o byle co się gniewasz. Tak bym chciała, żebyś gdzieś wyjechał na odpoczynek. Może do Krynicy, a może do Nałęczowa.

Borzycki potrząsnął głową.

— Na razie to niemożliwe, kochanie. Mam dużo pracy i różnych takich spraw, których muszę dopilnować tutaj w Warszawie. Później, jak się to wszystko jakoś pozalátwia, chętnie wyjadę, bo naprawdę przydałby mi się dłuższy odpoczynek.

— Czyja nic ci nie mogę pomóc?

— Nie, córeczko. Jakbyś mi mogła w czymś pomóc, to bądź pewna, żebym cię o to poprosił.

Ewa umilkła i przez chwilę siedziała zamyślona. Jeszcze jedna próba nakłonienia ojca do szczerości spełzła na niczym. Każda ich rozmowa miała w ostatnich czasach taki sam przebieg. Wszystkie jej usiłowania, żeby się czegoś dowiedzieć, nie dawały żadnego rezultatu. Ojciec był dla niej miły, serdeczny, ale nie chciał nic powiedzieć.

— Czy wiesz, Kasia ma nowego adoratora.

Borzycki skrzywił się niechętnie.

— To postrzelona i głupia dziewczyna. Jeżeli mam być szczerą, to wolałbym, żebyś się z nią jak najmniej kontaktowała. Niczego dobrego od niej się nie nauczysz.

— Nie bój się. Jestem już w tym wieku, że mam własny pogląd na wiele spraw i nie ulegam tak łatwo wpływowi. Kaśka rzeczywiście jest niesamowita. Ostatnio zakochała się w jakimś filmowcu.

— W filmowcu?

— Tak. — Ewa uważnie obserwowała twarz ojca.

— Nazywa się Trębiński. Henryk Trębiński. Może o nim słyszałeś?

— Nie, nie słyszałem. Nie mam znajomości wśród filmowców. To nie moja branża.

Ewa podziwiała opanowanie ojca. Niczym się nie zdradził, że zna tego człowieka. Nie miała wątpliwości, że adorator Kasi był wtedy u nich w domu. Jeżeli ojciec tak starannie usiłuje ukryć swą znajomość z Trębińskim, to znaczy, że jej podejrzenia są jak najbardziej uzasadnione. Była zadowolona, że napuściła Maćka na tego draba.

Zadzwonił telefon. Ewa podbiegła do aparatu. Od razu poznała niski, miękki głos Weinerdta. — Już dawno pani nie widziałem. Czy moglibyśmy się gdzieś spotkać? — Umówili się w „Świteziance”.

— Wychodzisz? — spytał Borzycki.

— Tak, idę na randkę.

— Zamiast zajmować się adoratorami Kasi, mogłabyś mi coś niecoś opowiedzieć o swoich adoratorach. Mam wrażenie, że Maciuś już ci się znudził.

— Widujemy się od czasu do czasu — powiedziała wymijająco Ewa.

— Ale teraz to nie on dzwonił.

— Nie, to zupełnie ktoś inny.

— Nie jesteś ze mną zupełnie szczerą.

— Ty ze mną także nie.

Borzycki uśmiechnął się.

— Mam wielką ochotę spuścić ci lanie.

— Wobec tego uciekam. Wolę nie ryzykować!

Edward Weinerdt już na nią czekał. Pił kawę i palił papierosa.

— Cieszę się, że panią znowu widzę — powiedział uradowany.

— Tyle czasu upłynęło od naszego ostatniego spotkania.

— Nie było pana w Warszawie.

— Tak. Musiałem na kilka dni wyjechać służbowo do Gdyni, a być może, za jakieś dwa, trzy miesiące wyjadę na dłużej za granicę.

— Zazdroszczę panu.

Weinerdt uśmiechnął się.

— No tak, oczywiście, zawsze coś niecoś się zobaczy, ale teraz wcale nie mam ochoty ruszać się z Warszawy.

— A to dlaczego?

— Niech się pani domyśli.

— Nie mam pojęcia.

— Boję się, że będę tęsknił za panią.

Zarumieniła się gwałtownie.

— Niech pan nie mówi głupstw.

Pochylił się ku niej i zająknął jej w oczy.

— Ewo, to wcale nie są głupstwa. Ja sam nie rozumiem, jak to się stało, ale zajęła pani bardzo poważne miejsce w moim życiu. To przyszło nagle i zupełnie niespodziewanie. Dotychczas nigdy nie przeżywałem czegoś podobnego. Kobiety traktowałem jako mniej lub więcej przyjemne spędzenie czasu. Na żadnej właściwie naprawdę mi nie zależało. Nie ta, to inna. Spotkałem panią i nagle coś się stało, coś, czego do tej pory nie potrafię sobie wytłumaczyć. Pragnę panią widywać, pragnę na panią patrzeć, słuchać pani głosu. Może to właśnie jest to, co ludzie zwykli nazywać miłością. Nie wiem, ale wiem na pewno, że takiego uczucia nie żywiłem nigdy do żadnej kobiety. Czy pani się nie gniewa na mnie za to, co mówię?

Potrząsnęła głową. — Nie, nie gniewam się — powiedziała cicho.

— A pani? Czy pani mnie chociaż trochę lubi?

— Tak. Lubię pana.

— Dziękuję. Nie wyobraża sobie pani, jak dużo znaczą dla mnie te słowa. I dlatego nie chce mi się wyjeżdżać z Warszawy.

— To niech pan nie wyjeżdża.

— Będę się starał, ale nie wiem, czy mi się to uda. Jak mi każą jechać, to będę musiał.

— Widział pan ostatnio Halszkę? Podobno także wybiera się gdzieś za granicę.

— Nie. Z Halszką nie widziałem się od tamtego wieczoru. Wczoraj natomiast przypadkowo spotkałem Kasię.

Wspominała mi, że pani ma jakieś kłopoty rodzinne. Można wiedzieć, co to takiego?

Ewa zawahała się. W pierwszej chwili chciała opowiedzieć o swoich obawach i podejrzeniach, ale zaraz zrezygnowała z tego. Zbyt mało знаła tego człowieka, aby mu się zwierzać z takich czysto prywatnych spraw.

— Tak. Mam trochę zmartwienia z ojcem. Niezbyt dobrze się czuje. Jest bardzo przepracowany, a nie chce wyjechać na odpoczynek.

— Powinna go pani koniecznie do tego namówić. Trzeba dbać o zdrowie. Teraz modne są zawały serca.

— Ojciec jest zdrowy na serce. To wszystko to tylko nerwy. W ostatnich czasach zrobił się taki roztrzęsiony.

— A może pani przysparza mu zmartwień?

Spojrzała nań urażona.

— Dlaczegoż ja? Nic takiego nie robię, co by mogło ojca denerwować. Staram się, żeby wszystko było jak najlepiej.

— A ojciec pani nie mówił, co tak fatalnie wpływa na jego system nerwowy?

— Nie. Tłumaczy to przepracowaniem, zmęczeniem. Stanowczo powinien wziąć urlop i wyjechać na odpoczynek.

— Jak to czasy się zmieniają — uśmiechnął się Weinerdt. — Dawniej rodzice mieli kłopoty z dziećmi, a teraz dzieci martwią się o rodziców.

W każdym razie jeżeli pani potrzebowałaby pomocy czy życzliwej rady, to proszę pamiętać o mnie. Proszę mnie traktować jako swojego oddanego przyjaciela. Zawsze pani może na mnie liczyć.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Dziękuję.

— Może się trochę przejdziemy — zaproponował. Wyjął

portfel i zapłacił za kawę.

Szli ulicami lśniącymi po niedawnym deszczu. Koła samochodów szeroko rozbryzgiwały wodę. Z mokrych parasoli kapąły jeszcze duże, ciężkie krople.

— Lubię deszczowe dni — powiedziała. — Miasto w czasie deszczu jest jakieś dziwne, tajemnicze. Kryje w sobie zapowiedź wielkiej przygody.

Wziął ją mocnej pod rękę. — Cudna jesteś! — szepnął.

Długo błądzili bez celu, przystając przy wystawach, śmiejąc się i żartując. Ewa nie zdawała sobie sprawy z płynącego czasu. Wreszcie trzeba było wracać do domu. Pożegnali się na przystanku tramwajowym.

Wieczorem, leżąc w łóżku, myślała o nim. Był taki inny, taki niepodobny do wszystkich tych młodych mężczyzn, których znała dotychczas. Delikatny, miły, uprzejmy, bez cienia natarczywości, bez tej wulgarnej manieri, którą popisywali się chłopcy z jej otoczenia. Wyznał jej swą miłość, ale zrobił to w sposób tak delikatny. Bał się ją urazić.

Zasnęła bardzo późno. Całą noc śnił jej się Maciek w rękawicach bokserskich.

ROZDZIAŁ X

Ewa nie pomyliła się. Downar odwiedził Borzyckiego w jego prywatnym mieszkaniu. Przed wszystkim obejrzał dokładnie biurko i stwierdził, że w jednej z szuflad prokurator oprócz pistoletu trzymał staroświecką biżuterię, odziedziczoną po babce. Był to piękny naszyjnik z ametystów, oprawnych w misternie wykonaną koronkę ze złota. Prócz tego trzy zabytkowe pierścienie, duże brylantowe kolczyki i dwie broszki z ogromnymi rubinami. Szuflada teoretycznie zamykała się na specjalny klucz, ale praktycznie można ją było otworzyć każdym z kluczy tkwiących w pozostałych szufladach biurka.

— Czy nic panu nie zginęło z tej biżuterii, panie prokuratorze?

Borzycki potrząsnął głową.

— Absolutnie nic. Czy pan przypuszcza, że ktoś zaglądał do tych szuflad?

— Nie tyle do szuflad, ile do tej określonej szuflady, w której pan trzymał pistolet. Przecież ktoś musiał wykraść pański pistolet, aby zastrzelić z niego Elerta. Z tego, co pan mówi, wynika, że nie przypomina pan sobie momentu włożenia pistoletu do kieszeni płaszcza.

— To jest zgodne z prawdą. Nie przypominam sobie.

— No więc właśnie. Nie można wszystkiego zwać na amnezję alkoholową. Jest rzeczą mało prawdopodobną, żeby pan po wypiciu tych kilku wódek u Siewierskich wrócił do domu, zabrał pistolet i poszedł zastrzelić Elerta, którego pan w ogóle nie znał.

— Czy pan stworzył już sobie jakąś teorię w tej sprawie? — spytał Borzycki.

Downar skinął głową.

— Tak. Mam pewną hipotezę, którą uważam w tej chwili za jedynie możliwą. Ktoś wykradł panu z biurka pistolet, potem czekano na pana niedaleko domu Siewierskich. Nie można wykluczyć, że zabrano pana gdzieś jeszcze na wódkę, żeby pogłębić stan oszołomienia alkoholowego. Wreszcie zaprowadzono pana do mieszkania Elerta, żeby pozostawił pan odciski swych palców. Na zakończenie wsunięto panu pistolet do kieszeni płaszcza i odwieziono pana do domu.

— To wszystko brzmi dosyć wiarygodnie — powiedział Borzycki — ale kto, na miłość boską, wykradł mi z biurka pistolet?... Jeżeli nawet czasem przyjmuję kogoś, to nigdy nie zostawiam go samego w pokoju, a w każdym razie nie na tak długo, żeby miał czas przeszukiwać szuflady mego biurka. To jest zupełnie nieprawdopodobne. W domu jest tylko gosposia i Ewa.

— Wspominał pan kiedyś, że siostrzeniec gosposi jest podejrzanym typem.

— Tak, owszem, ale on tu prawie nigdy nie bywa. Zresztą gosposia nie wpuściłaby go do mojego pokoju.

— Mogło się zdarzyć, że podczas pańskiej nieobecności siostrzeniec gosposi przyszedł ją odwiedzić i skorzystał z okazji,

że ciocia wyszła na chwilę po coś do miasta. Mogła zapomnieć kupić soli, cukru czy chleba.

Borzycki pokręcił głową z powątpiewaniem.

— Ta koncepcja wydaje mi się o tyle mało prawdopodobna, że tego typu opryszek zabrałby na pewno biżuterię. Nie oparłby się pokusie.

— Może otrzymał jakieś bardzo ściśle instrukcje od swego szefa. Cała afera została bardzo chytrze pomyślana i na pewno nie on jest jej autorem. Można go brać jedynie pod uwagę jako wykonawcę czyichś rozkazów.

— Niech go pan przesłucha. Chociaż udział tego chłopaka w tej sprawie wydaje mi się bardzo wątpliwy.

Downar siedział zamyślony i palił papierosa. Nie zwrócił uwagi na ostatnie słowa prokuratora. Poczyniała mu się krystalizować zupełnie inna koncepcja.

— Czy pan ma, panie prokuratorie, ten papier, w którym były zawinięte pięćsetki?

— Oczywiście. Schowałem go. Czy chce go pan zabrać?

— Tak. Nie jest wykluczone, że mi się może na coś przydać. Czy paczka była zawiązana sznurkiem?

— Tak. Paczka sznurkiem, a banknoty kawałkiem starego sznurowadła.

— Kawałkiem starego sznurowadła? — powtórzył Downar. — To musiało być długie sznurowadło.

— Chyba tak. Używano kiedyś takich sznurowadeł do męskich kamaszy albo do damskich trzewików z cholewkami.

— A dzisiaj długich sznurowadeł używa się do butów z łyżwami albo do bryczesów do konnej jazdy — uzupełnił Downar. — Niech mi pan da ten papier i to sznurowadło.

Wizyta u Borzyckiego dała Downarowi dużo do myślenia. Na drugi dzień z samego rana zatelefonował do doktora Szypowskiego, prosząc go o chwilę poufnej rozmowy. Umówili się na wieczór.

Szypowski był trochę zdenerwowany częstymi odwiedzinami przedstawiciela służby śledczej, ale robił dobrą minę do złej gry.

— Żona moja poszła z przyjaciółmi do kina i dlatego możemy

swobodnie porozmawiać. Czym mogę panu służyć, panie kapitanie?

Downar wyraził chęć zapoznania się z nazwiskami pacjentów Szypowskiego.

Dentysta spojrział na niego zaskoczony.

— Nie bardzo rozumiem, do czego to panu może być potrzebne, panie kapitanie, ale jeżeli pan sobie życzy, to proszę. Ostatecznie plombowanie zębów nie jest żadną tajemnicą.

Downar zabrał się do skrupulatnego przeglądania kartoteki. Cała rodzina Siewierskich, Edward Weinerdt, Teresa Bonicka, Halszka Zdrójcka, Mikołaj Łaciak. To były nazwiska, które go interesowały.

— To i pan Łaciak jest pańskim pacjentem?

Szypowski skrzywił się.

— Niestety. To brat Reny Siewierskiej i trudno mi jest pozbyć się go, ale bardzo chętnie zrezygnowałbym z jego wizyt. Ogromnie niepunktualny i często zapomina albo udaje, że zapomniał uregulować należności. Jakbym miał więcej takich pacjentów, to chyba musiałbym zamknąć gabinet i zająć się czym innym.

Downar w dalszym ciągu przeglądał kartotekę.

— A pani Teresa Bonicka?

— O, to bardzo miła kobieta — ożywił się Szypowski. — Artystka. Dostałem od niej kiedyś piękny drzeworyt z dedykacją. Chce pan zobaczyć?

— Bardzo chętnie.

Szypowski wyszedł do drugiego pokoju i po chwili wrócił, niosąc tekturową teczkę, z której wyjął drzeworyt pieczołowicie opakowany w bibułkę i oprawiony w biały karton. Pod efektownym pejzażem widniał napis: „Doktorowi Szypowskiemu w dowód uznania dla jego stomatologicznego geniuszu”.

Downar przez dłuższą chwilę przyglądał się z wielką uwagą drzeworytowi. — Bardzo ładna praca — powiedział.

Szypowski spojrział na niego z zadowoleniem.

— Prawda? O, pani Bonicka to wielka artystka. Zaprosiła mnie kiedyś do swojej pracowni. Widziałem tam wspaniałe

rzeczy.

— Dlaczego właściwie Elert był pańskim pacjentem? — spytał nagle Downar.

Szypowski był wyraźnie zaskoczony.

— Nie rozumiem pytania. Był moim pacjentem, ponieważ chciał sobie leczyć zęby. Tak jak wszyscy. To chyba jasne.

— Dla mnie to nie jest takie zupełnie jasne — uśmiechnął się Downar. — Niech się pan zastanowi. Elert był dziennikarzem, a w Stowarzyszeniu Dziennikarzy jest znakomicie prowadzony gabinet dentystyczny. Dziennikarskim uzębieniem opiekują się tam wybitne siły fachowe. Nie bez znaczenia chyba jest fakt, że leczenie nic nie kosztuje, podczas gdy u pana doktora...

— Nie pobieram zbyt wygórowanych opłat — wyjaśnił pospiesznie Szypowski.

— Ale nie jest pan także filantropem. Coś niecoś trzeba płacić za te plomby.

— No, oczywiście. Muszę przecież z czegoś żyć.

— Właśnie. Dlatego też zastanawia mnie — co skłoniło Elerta do leczenia się u pana zamiast w Stowarzyszeniu.

Szypowski rozłożył ręce.

— Nie mam pojęcia. Może miał do mnie większe zaufanie.

— Zaufanie to wielka rzecz. Ale jeżeli się ma do dyspozycji bezpłatne leczenie, i to na najlepszym poziomie, to... Niech pan nie myśli, panie doktorze, że poddaję w wątpliwość pańskie kwalifikacje zawodowe.

— Ale skądże znowu! Wcale tak nie myślę. Mnie samego w tej chwili zaczyna dziwić, że Elert... Przyznaję, że nie zastanawiałem się nigdy nad tą sprawą. A może w ten sposób chciał nawiązać znajomość z Reną Siewierską?

Downar skrzywił się sceptycznie.

— Bardzo wątpliwe. Tego typu człowiek ma tak dużo rozmaitych możliwości, żeby zawrzeć znajomość z kobietą, która go interesuje, że nie musi robić tego w poczekalni u dentysty.

— Nic panu na ten temat nie umiem powiedzieć

— mruknął urażony nieco Szypowski.

— A czy pan Weinerdt dawno leczy się u pana?

— Edward Weinerdt to jeden z moich najstarszych i najlepszych pacjentów. Niezwykle punktualny, solidny, pamiętający o każdej złotówce. Zupełne przeciwieństwo Łaciaka. To jest człowiek dużej klasy.

— Czy Weinerdt wcześniej zaczął się u pana leczyć aniżeli Elert?

— Oczywiście. Pan Weinerdt jest moim pacjentem już od kilku lat. Elert przyszedł do mnie po raz pierwszy przed niecałym rokiem. To też był bardzo solidny pacjent. Nie mogę na niego narzekać.

— A pan Łaciak dawno się u pana leczy?

— Ze dwa lata. O niczym innym nie marzę, tylko o tym, żeby go odstąpić jakiemuś koledze. Ten człowiek zatruwa mi życie.

Downar uznał rozmowę za zakończoną. Podziękował Szypowskiemu, szybko wybiegł na ulicę i, nie tracąc czasu, pojechał do Zakładu Kryminalistyki.

Mizerny blondyn w okularach obejrzał uważnie szary papier, w który były zapakowane pięćsetki.

— Co pan chce wiedzieć, kapitanie?

— Chciałbym znać pańską opinię odnośnie tego napisu.

Blondyn skinął głową i zniknął w sąsiednim pokoju. Wrócił po piętnastu minutach.

— Czarny tusz, najprawdopodobniej produkcji krajowej. Adres został napisany pędzelkiem. Bardzo regularne odstępy pomiędzy literami wskazują na to, że pisał to ktoś mający do czynienia z liternictwem, jakiś fachowiec, być może grafik. Jeżeli zależy panu na dokładnej ekspertyzie, musielibyśmy zatrzymać ten papier przez kilka dni.

— Nie, dziękuję. Na razie to mi wystarczy. Możliwe, że niedługo was odwiedzę z prośbą o zidentyfikowanie pisma.

Z Zakładu Kryminalistyki Downar pojechał prosto do Teresy. Zastał u niej młodego człowieka o drobnych dziewczęcych rysach i delikatnej, różowej cerze.

— Przedstawiam panu mojego brata Karola. Jesteście panowie kolegami po fachu.

Downar spojrział pytająco.

— No tak, bo Karol ma zamiar zrobić karierę filmową.

Wprawdzie na razie grywa drobne epizodyczne role, ale każdy początek jest trudny.

Młodzieniec niezbyt przypadł do gustu Downarowi, który nie lubił takich piękniśków o miękkich kobiecych ruchach i powłóczyстых spojrzeniach. Na prawym ręku brat Teresy miał szeroką, białą bliznę.

— Nie wątpię, że przy pańskich znakomitych warunkach zewnętrznych szybko awansuje pan na gwiazdę.

Karol wyszczerzył zęby w pełnym zadowolenia uśmiechu.

— Jest pan bardzo miły.

Teresa była w szarym, poplamionym tuszem i farbami kitlu. Na dużym stole leżało kilka kolorowych etykiet.

— Nad czym pani teraz pracuje?

— W celach zarobkowych robię etykiety na dzemy. Bardzo mnie to nudzi.

Downar pochylił się nad stołem.

— Zazdroszczę pani tej umiejętności. Co za piękne litery. Miałbym do pani prośbę, ale się trochę wstydzę.

— Niech pan powie, o co chodzi.

— Chciałbym, żeby mi pani napisała na kawałku brystolu moje imię i nazwisko. Nie lubię drukowanych biletów wizytowych, więc chciałbym sobie coś takiego przybić na drzwiach.

Uśmiechnęła się.

— Zaraz to panu zrobię, na poczekaniu.

Umoczyła pędzelek w tuszu i przysunęła sobie arkusz brystolu. Po paru minutach wizytówka była gotowa.

Downar udał zachwyconego, podziękował bardzo serdecznie, pieczołowicie zawiązał wizytówkę w bibułkę i wsunął do kieszeni płaszcza. — Ale ja dotychczas nie powiedziałem pani, po co właściwie przyszedłem. Chciałem prosić, żeby mnie pani skontaktowała z jakimiś swoimi kolegami i koleżankami, którzy uprawiają sztukę ekstranowoczesną. Dotychczas tak się jakoś składało, że odwiedzałem pracownie artystów, reprezentujących kierunek realistyczny, a nie chciałbym, żeby mój film wypadł jednostronnie.

— Teraz jestem bardzo zajęta, ale w przyszłym tygodniu

chętnie zaprowadzę pana do moich przyjaciół. Przypuszczam, że pan sobie coś odpowiedniego dobierze.

— Kiedy zobaczymy pański film? — spytał Karol.

— Sądzę, że najdalej za jakieś dwa miesiące powinienem skończyć montaż. Film w zasadzie jest przeznaczony dla telewizji. Żałuję, że nie mogę kręcić na szerokiej taśmie i w kolorach. Wypadłoby to oczywiście o wiele efektowniej.

Downar widząc, że Teresa zabiera się do przerwanej pracy, postanowił się pożegnać.

— Przepraszam, że nie zabawiam pana rozmową, ale naprawdę bardzo się spieszę z tą robotą. Co słyhać u Kasi?

— Ach, to wspaniała dziewczyna! Jestem w niej prawie zakochany.

— Prawie?

— To się tak mówi na wszelki wypadek.

— Słyszałam, że po Bożym Narodzeniu wybieracie się na narty.

— Tak. A może i pani pojechałaby z nami? Byłoby bardzo wesoło.

Teresa melancholijnie pokręciła głową.

— Niestety, to już nie dla mnie. W zeszłym roku, zjeżdżając z Kasprowego, tak fatalnie zламаłam nogę, że nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła założyć narty. Lekarz nawet mi się ślizgać zabronił. Chcę sprzedać buty z łyżwami, które sobie w zeszłym roku kupiłam.

— Zaraz, zaraz — powiedział z namysłem Downar. — Któraś ze znajomych szukała butów z łyżwami. Muszę sobie przypomnieć; Jeżeli to byłoby jeszcze aktualne, dam pani znać. Jaki to numer tych butów?

— Ósemka. Może panu pokazać?

— Nie warto. Chociaż, jeżeli ma pani gdzieś pod ręką...

Teresa wyjęła buty z szafy. Obydwa były bez sznurowadeł.

— W doskonałym stanie. Prawie nowe.

— Miałam je zaledwie parę razy na nogach.

— Postaram się pani załatwić tę drobną transakcję jako rewanż za wspaniałą wizytówkę.

Roześmieli się wszyscy troje.

Downar porozmawiał jeszcze chwilę, a następnie pożegnał się z rodzeństwem. Wychodząc zauważył, że Karol wymienił z siostrą szybkie, porozumiewawcze spojrzenie.

Mizerny blondyn z Zakładu Kryminalistyki zdziwił się na widok swego niedawnego klienta.

— Nie spodziewałem się pana tak szybko.

— Ja też się nie spodziewałem — powiedział Downar — że od razu zdobędę potrzebny mi materiał. Chciałbym pana prosić, panie magistrze, żeby pan bardzo dokładnie porównał te dwa pisma. Może to mieć zasadnicze znaczenie dla sprawy, którą prowadzę.

— Dobrze, ale nie mogę tego zrobić na oczekaniu.

Downar uśmiechnął się.

— Nie mam takich wymagań. Jutro jadę do Krakowa, gdzie posiedzę pewnie ze dwa-trzy dni. Po powrocie zamelduję się u was.

Na drugi dzień z samego rana Downar spotkał się w komendzie z Olszewskim.

— Jakie wiadomości z Gdańska?

Porucznik skrzywił się.

— Nic specjalnego.

— Łaciak ciągle siedzi na Wybrzeżu?

— Tak.

— Kto go inwigiluje?

— Kapitan Czernik z wojewódzkiej komendy.

— Czernik, Czernik — powtórzył Downar. — Słyszałem już to nazwisko, ale nie mogę sobie przypomnieć...

— To jeden z najzdolniejszych oficerów dochodzeniowych na tamtejszym terenie. Możecie być pewni, że już on przypilnuje tego Łaciaka.

— Przekazywał nam jakiś raport?

— Tak, ale bardzo skąpy. Łaciak jest znany na Wybrzeżu. Ma szerokie kontakty wśród marynarzy. Prowadzi „handel zagraniczny”. Bardzo sprytny. Dotychczas nikt nie zdołał go przychwycić na gorącym uczynku.

— A propos! Byliście w MHZ-ecie?

— Byłem. Wszystko się zgadza. Brazylijska delegacja

rzeczywiście w tym czasie przyjeżdżała.

— Zakontraktowali jakieś dostawy?

— Tak. Wełna, skóry, ruda manganowa.

— I ruda manganowa? To dobrze. Muszę jeszcze odebrać fotografię z CAF-u. Wieczorem jadę do Krakowa.

— Sami jedziecie?

— Nie. Zabieram ze sobą Korbiełę. Pożyczamy wóz z wytwórni filmów dokumentalnych. Będziemy udawali filmowców.

— Co chcecie, żebym ja tu przez ten czas załatwił? — spytał Olszewski.

— No cóż... Miejcie na oku Elertową, jeżeli macie do zaplombowania jakiś ząb, to zajedźcie w charakterze pacjenta do doktora Szypowskiego i przyjrzyjcie się dobrze ludziom, którzy siedzą u niego w poczekalni, interesujcie się tą małą Kasią, której asystuję, a przede wszystkim przypilnujcie bardzo starannie Teresę Bonicką. Nie wymagam oczywiście, żebyście to wszystko robili sami. Muszą dać wam pomoc. W razie czego zwróćcie się z tym do majora Leśniewskiego. Aha... i jeszcze jedna sprawa. Może znacie jakąś babkę, która miałaby ochotę kupić buty z łyżwami?

ROZDZIAŁ XI

Jesienne sztormy z furją uderzały w falochrony. Potężne masy wspinającej się wody wdzierały się w głąb lądu, zalewały plaże, przewracały rosnące na piaszczystych urwiskach drzewa. Szum wichru i morza zagłuszał krzyki ludzi, walczących z żywiołem. Frachtowce z wielodniowym nieraz opóźnieniem zawijały do portu. Kutry rybackie z rzadka wychodziły w morze. Mimo złej pogody celnicy mieli pełne ręce roboty. Łaciak czuł się w swoim żywiole. Nieustannie krążył po Trójmieście, odbywał krótkie narady w pokoju hotelowym albo w jakiejś kawiarni, załatwiał błyskawiczne transakcje, kupował i rozprowadzał towar, dawał pieniądze na nowe partie szmuglu, montował skomplikowane interesy walutowe. A wszystko to

prowadził tak sprężyste, z zachowaniem tak daleko posuniętej ostrożności, że mimo iż milicja od dawna miała go na oku, nigdy nie potrafiła mu niczego dowieść. Posiadał znakomity zmysł organizacyjny i otaczał się wyłącznie ludźmi pewnymi i niezwykle sprytnymi. Jak to się działo, że zawsze dysponował dużym kapitałem obrotowym, nikt nie wiedział. Najprawdopodobniej miał powiązania z ludźmi, którzy finansowali jego inicjatywę.

Downar w ostatniej chwili zmienił plany. Podróż do Krakowa odłożył na później, wsiadł w samochód, na którym widniał napis „Kronika Filmowa”, zabrał Korbiełę, dwie kamery i pojechał do Gdyni. Nie był to brak zaufania do Komendy Wojewódzkiej, ale po namyśle doszedł do wniosku, że milicjanci z Wybrzeża są zbyt znani miejscowym kombinatorom i że to zdecydowanie utrudnia im pracę. Filmowiec z Warszawy łatwiej mógł nawiązać interesujące kontakty i dowiedzieć się wielu rzeczy.

Kapitan Czernik powitał kolegę z Komendy Głównej z uczuciem ulgi. Był to drobny, ruchliwy mężczyzna, o mocno zarysowanej, energicznej twarzy i ciemnych, żywych oczach.

— Bardzo się cieszę, żeście przyjechali. Chodzę za tym cholernym Łaciakiem, ale jak dotąd bez większego rezultatu.

— O ile się orientuję, to pan Mikołaj Łaciak jest wam znany nie od dziś — powiedział Downar.

— Chyba już od dwóch lat mamy go na oku.

— I co?

— I nic. To kombinator nie z tej ziemi. Wiemy, że przeprowadza różne nielegalne transakcje, że handluje szmuglowanym towarem, że ma kontakty z najgorszymi mętami na Wybrzeżu, ale co z tego? To jest taki cwaniak, że ani razu nie dał się na niczym złapać. Musimy przyznać się, niestety, do naszej bezsilności. Przecież nie możemy go zatrzymać ani postawić w stan oskarżenia bez wyraźnych dowodów winy, a udowodnić mu niczego nie jesteśmy w stanie. Każdemu wolno przyjechać nad morze i przyglądać się wzburzonym falom. Parę razy wzywaliśmy go do komendy i pytaliśmy, po co tu przyjeżdża. Odpowiada na to z niewinnym

uśmiechem, że klimat morski mu służy, że nad morzem odpoczywa nerwowo i że przesycone jodem powietrze doskonale mu robi na sklerozę. Kpi w żywe oczy, a nas o mało szlag nie trafia.

Downar słuchał z roztargnieniem. Zdawać by się mogło, że osoba Mikołaja Łaciaka przestała go interesować.

— Powiedzcie mi, kolego, czy wy macie tutaj znajomych marynarzy?

Czernik ze zdziwieniem spojrzął na mówiącego.

— Oczywiście, że mam. Przecież muszę orientować się w terenie. Nie wiem, o co wam chodzi.

— Chciałbym nawiązać kontakt z jakimś rozgoryczonym marynarzem.

— Z rozgoryczonym marynarzem?

— Tak. O ile mi wiadomo, za szmugiel marynarze zostają nieraz wydalani z floty. Otóż miałbym wielką ochotę poznać taką „ofiara” i uciąć sobie maleńką pogawędkę.

— Rozumiem — powiedział Czernik i zamyślił się. — Zaraz, zaraz... Wydaje mi się, że miałbym dla was kogoś odpowiedniego. Malec! A może chcielibyście przejrzeć w PLO listę wyrzuconych z floty handlowej marynarzy?

Downar potrząsnął głową.

— Wołałbym tego nie robić. Musimy dbać o jak najdalej idącą dyskrecję w tej całej sprawie. Ja jestem filmowcem i nie chcę występować w żadnym innym charakterze. Wspomnieliście o jakimś Malcu. Kto to taki?

— Były marynarz. Starszy facet. Wywalili go z floty. Niepoprawny szmugler. Parę razy wpadał, dawali mu ostrzeżenie, ale wszystko na nic. W końcu musieli się go pozbyć.

— Co teraz robi?

— Pije, włóczy się.

— No dobrze, a z czego żyje?

— Robi jakieś małe machloje. Handluje z dawnymi kolegami. Na ten kawałek chleba i ćwiartkę wódki zawsze zarobi. Jeżeli chcecie, to was na niego napuszczę. Bez trudu go znajdziemy w jakiejś knajpie.

— Dobra — zgodził się Downar. — Trzeba to tylko tak

zaaranżować, żeby się nie kapnął, że mam coś wspólnego z milicją.

— Oczywiście. Zaraz wyślę na zwiady kóregoś z naszych ludzi. Będziemy wiedzieć, gdzie siedzi Malec. Pokażę wam jego zdjęcie, żebyście się orientowali, jak facet wygląda.

Po upływie godziny Downar wszedł do niedużej restauracji, w której chętnie zbierali się marynarze. Przez chwilę stał nieruchomo przy drzwiach, czekając, aż oczy przywykną do panującego tu półmroku, spotęgowanego jeszcze chmurą tytoniowego dymu.

Malec siedział samotnie w głębi sali i popijał z dużego kufła piwo. Downar poznał go od razu po charakterystycznym, kartoflowatym, dużym nosie, po wywiniętych wargach i krótko przystrzyżonej siwiejącej bródce.

— Czy można się do pana przysiąść?

Malec spojrział spoде łba na intruza i w milczeniu skinął głową. Następnie pociągnął duży łyk piwa, wyjął z kieszeni cygaro i obciął je szybkim, wprawnym ruchem.

Downar kazał sobie podać serdelki na gorąco, ćwiartkę wódki i dwa kieliszki. — Chyba mi pan nie odmówi — powiedział z przyjacielskim uśmiechem.

Marynarz zwrócił ku niemu niebieskie, przekrwione oczy.

— Jak mnie ktoś grzecznie prosi, to dlaczegoż miałbym odmawiać.

— Pan pozwoli dwie porcje serdelków i pieczywo

— powiedział Downar do kelnera, który właśnie brudną serwetą wytarł niedbale zalany piwem stół.

Malec znowu sięgnął po kufel. — Pan chyba nietutejszy — mruknął obojętnie. W tonie jego głosu nie wyczuwało się pytania. Po prostu stwierdził fakt.

— Przyjechałem z Warszawy — wyjaśnił Downar. — Tłoczno tu w tej knajpie.

Marynarz zapalił cygaro i przez chwilę skrył się za dymną zasłoną. — Ano cóż... Ludziska zalewają robaka.

— Albo oblewają dobre interesy. Są jednak tacy, którzy sobie nieźle radzą.

Malec wydmuchnął nową porcję dymu i przez chwilę

poruszał w milczeniu szczękami, jakby coś przeżuwał.

— Nie każdy może mieć takie szczęście, jak ten sukinsyn.

— Kogo pan ma na myśli?

— No kogóż by, jak nie tego drania Łaciaka.

— Widzę, że pan nie jest zbyt dobrze do niego usposobiony.

— Dobrze usposobiony? Ha, ha, to byczy kawał. Ja bym tego oprycha nożem pchnął. Taki jestem do niego usposobiony!

— A cóż on panu zawinił?

— Wpakował mnie łajdak w taką aferę, że mnie z floty na zbitą mordę wywalili.

W tej chwili kelner postawił przed nimi butelkę i napełnił kieliszki.

— No to pomyślności — powiedział Downar. — I żeby się skończyły pańskie kłopoty.

Marynarz łypnął na niego niechętnym okiem.

— Jak tu się mogą, panie, skończyć kłopoty? Wylali mnie bez litości i raz na zawsze diabli wzięli pływanie. A ja bez morza nie mogę żyć. Trzydzieści parę lat, panie, pływałem, to mi teraz trudno odwyknąć. Włóczy się człowiek po tych zafajdanych knajpach i tyle.

— A nie mógłby się pan zaciągnąć na jakiś kuter rybacki? — zaproponował Downar.

Małec skrzywił się z obrzydzeniem.

— Ja się na śledziarza nie nadaję. A zresztą nie przyjmą mnie. Stary jestem. Rybakiem nigdy nie byłem. Nie znam się na tej robocie.

Downar przełknął kawałek serdelka i nalał wódki. Czuł, że niedawno nawiązana znajomość zaczyna się stawać coraz bardziej zażyłą. Postanowił możliwie jak najbardziej wykorzystać przyjacielski nastrój.

— Cholernie pana skrzywdzili. Nie powinno się tak postępować z zasłużonym, starym marynarzem.

— Kogo to obchodzi, czy kto zasłużony, czy nie, ile lat się pracowało? Człowiek zdrowie stracił na morzu, ale dla nich to nic nie znaczy. I za co? Za to, że się przeszmurowało tych kilka zegarków czy tam czegoś innego.

Downar skinął na kelnera i zamówił nową ćwiartkę.

Zrobił się czujny. Bał się jakimś nieostrożnym słowem spłoszyć swego rozmówcę. Ale Malec miał już dobrze w czubie. Wódka wypita po dużej ilości piwa zrobiła swoje.

— Niech tych wszystkich łobuzów jasny grom spali, niech ich zaraza wytłucze!

— Jak to się właściwie stało, że pan wpadł? — spytał ostrożnie Downar.

— Jak? A przez tego łobuza Łaciaka.

— Przez Łaciaka?

— Ano tak. W Krakowie mnie milicja zatrzymała.

— A co pan robił w Krakowie?

— Łaciak mnie wysłał do tego cholernego adwokata.

— Do jakiego adwokata?

Marynarz nagle odsunął kieliszek z wódką i podejrzliwie spojrzął na Downara.

— A pana właściwie co to wszystko obchodzi?

Downar obojętnie wzruszył ramionami.

— A co mnie to może obchodzić? Zaczął pan opowiadać, to się zainteresowałem. Ciekawe rzeczy.

— Ciekawe, nieciekawe, nie pański interes.

— Jak pan nie chce o tym mówić, to nie. Rozmawiajmy o czym innym. Mnie tam te sprawy nie interesują.

Malec wypił wódkę i niespodziewanie rozczył się nad swym losem. — Każdy tylko o siebie dba, do siebie ciągnie, a drugi może zdechnąć jak pies. Wykorzystają człowieka, ostatni szpik z niego wycisną, a później znać go nie chcą. Jak się na milicji Łaciaka pytali, czy mnie zna, to powiedział, że nie przypomina sobie, a przecież mnie taki syn w to wszystko zrobił. Gdyby nie on, to do tej pory bym pływał.

Stary matros jestem. Znam się na morskiej robocie. Cenili mnie. Pan myśli, że nie?

— Myślę, że na pewno pana cenili — przytaknął skwapliwie Downar. — Wystarczy spojrzeć.

Marynarz zwrócił ku Downarowi zaszklone wódką i łzami oczy.

— Co mi pan taki bajer zasuwa? „Wystarczy spojrzeć”. Trzeba mnie było widzieć przy robocie na pokładzie. Mieli do mnie

zaufanie. Niejeden młody kapitan przychodził do mnie po radę. „Powiedźcie, Malec, jak to jest to, jak tamto?” A ja radziłem, bo przecież doświadczenie mam. Nie od dzisiaj pływam. Mój ojciec był marynarzem, mój dziadek też. To nie to, co ta dzisiejsza zbieranina! Przyjeżdżają Górale, różne chłopki ze wsi i udają marynarzy. A chodzi im tylko o to, żeby do chałupy wrócić z pieniędzmi. Żadnego pojęcia o robocie na statku nie mają, bo skąd mają mieć? Krowę czy owcę potrafi taki cep jeden z drugim wydoić, ale żeby się na kompasie albo na cumowaniu statku znał, to szkoda gadać. Takie teraz porządki: starych, doświadczonych ludzi wyrzucają, a cymbałów przyjmują.

— No, pan też coś tam od czasu do czasu prze- szmuglował — powiedział nieśmiało Downar.

— No, pewnie, że przeszmurowałem.

— Po co się pan zadawał z takim mętym facetem jak ten Łaciak?

— Diabeł mnie chyba podkusił, cholera jasna. To wszystko przez tego drania. Bał się o swoje złote dolary i wysłał mnie do Krakowa, do mecenasa, a tam mnie milicja... Żeby nie miał tych dwudziestek przy sobie, toby mi nic nie zrobili, ale tak... Mecenas wyparł się wszystkiego. Powiedział, że nie zna ani mnie, ani żadnego Łaciaka. Zadzwoił po milicję, no i klops... Trochę siedziałem w kiciu, ale to jeszcze nie takie straszne. Gorzej, że mnie z floty wywalili. Taki już mój parszywy los. Inni forszę zgarniają, a ja... Nalej pan jeszcze tej gorzały, bo jak sobie przypomnę, to wytrzymać nie mogę. — Przełknął wódkę i znowu podejrzliwie spojrzął na Downara. — A pan właściwie z jakiej branży? Na marynarza pan nie wygląda.

— Ja z branży filmowej. Przyjechałem tu kręcić sztormowe fale.

— O, tego towaru panu nie zabraknie. Dmie jak wszyscy diabli. Musi pan uważać, żeby panu kamery nie zdmuchnęło, bo to ciężką forszę kosztuje. Ja tam do kina chodzić nie lubię. Czy mnie bołą i jak się zrobi ciemno, to zaraz zasypiam. Takie już mam usposobienie.

— Wielka szkoda, że pan nie może pływać — powiedział

nawiązując do przerwanej rozmowy Downar. — Zupełnie niepotrzebnie jeździł pan do tego mecenasa.

— No pewnie, że niepotrzebnie.

— Nie pamięta pan, jak się nazywa ten mecenas?

— Skąd miałbym pamiętać. Kawał czasu.

— I nie zapisał pan sobie jego nazwiska?

— Panie kochany, jak ja bym chciał sobie zapisywać nazwiska wszystkich drani, to musiałbym chyba książkę telefoniczną sobie wydrukować. Zresztą na cholere mi jego nazwisko, i tak już nie będę miał nic do czynienia z tym oprychem.

— Ma pan rację. Z takimi ludźmi lepiej nie mieć nic wspólnego.

Stary marynarz wstał, zamamrotał pod nosem coś niezrozumiałego i bez słowa pożegnania ruszył ku drzwiom. Downar kiwnął na kelnera. Interesującą rozmowę należało uważać za skończoną.

Nazajutrz z samego rana Downar i Korbiela przywdzieli stroje sztormowe, zabrali kamery i pojechali nad morze. Trzeba było wobec mieszkańców Gdyni zmanifestować aktywność filmową. Downar z zapałem odgrywał rolę reżysera i tak się przejął, że po paru godzinach zapomniał nieomal o swej właściwej profesji i o celu przyjazdu tutaj. Wracając ze „zdjęć”, wstąpili po drodze do kawiarni, rozmawiali głośno i z ożywieniem, spierali się na tematy fachowe, wykorzystując całą swą wiedzę filmową, zdobytą jeszcze w Warszawie z rozmaitych popularnych broszurek. Ktoś słuchający z boku nie mógł mieć żadnych wątpliwości co do tego, iż ma przed sobą autentycznych filmowców...

Właśnie chcieli już zmienić lokal i w tym celu przywołali kelnerkę, kiedy z głębi sali zabrzmiał schrypnięty baryton: — Panie Trębiński!

Downar odwrócił się i ujrzał przepychającego się pomiędzy stolikami Mikołaja Łaciaka.

— Co za miłe spotkanie! Witam, witam. Co słyhać? Czy nie przeszkadzam?

— Ależ skądże znowu! Bardzo się cieszę, że pana widzę. Pan pozwoli, że pana poznam z moim kolegą — powiedział Downar,

podsuwając uprzejmie krzesło lekkomyślnemu wujaszкови Kasi.

Pan Łaciak usiadł i sapnął: — Uff, trochę się zmęczyłem. Starość nie radość. A panowie na długo w Gdyni?

— Parę dni. Przyjechaliśmy tu na zdjęcia.

— Widzę, widzę. Zobaczyłem przez okno filmowy wóz i tak właśnie od razu pomyślałem, że może spotkam kogoś znajomego. Intuicja, panie kochany, intuicja. A ja tak siedzę w tej Gdyni i siedzę. Nie mogę się doczekać powrotu do Warszawy. Nie ma to, panie, jak Warszawa!

— Nie przypuszczałem, że pana tutaj spotkam — powiedział Downar. — Sądziłem, że pan już dawno wrócił do domu.

— Tak się zasiedziałem. Załatwiam tu różne sprawy rodzinne, a przy okazji robię spacerzy nad morze, oddycham świeżym powietrzem. Morze doskonale wpływa na moje samopoczucie, a grunt to dobry stan psychiczny.

Ale ja tak tylko o sobie... Panowie zadowoleni ze swojej tu pracy?

— Owszem. Zrobiliśmy trochę zdjęć. Włóczymy się po porcie, wylawiamy różne ciekawe typy wśród marynarzy. Nie dalej jak wczoraj rozmawiałem z takim starym wilkiem morskim. Malec się nazywa.

Na dźwięk tego nazwiska twarz Łaciaka drgnęła gwałtownie, ale trwało to tylko ułamek sekundy. Uśmiechnął się pogodnie i spytał: — No i cóż panu opowiadał ciekawego ten stary wilk morski?

— Różne takie historie. Narzekał, że go wyrzucili z floty za szmugiel.

Łaciak współczująco pokiwał głową.

— Ale, ale... O ile sobie przypominam, to pan nakręcił jakiś film, którego tematyką była praca artystów malarzy. Czyżby pan zrezygnował z tego?

Downar potrząsnął głową.

— Nie zrezygnowałem, tylko zazwyczaj opracowuję parę tematów jednocześnie. Jak skończymy zdjęcia na wybrzeżu, to wybierzemy się pewnie do Krakowa. Chcę tam odwiedzić pracownie niektórych artystów.

Na wzmiankę o zamierzonej podróży do Krakowa Łaciak poruszył się niespokojnie i uważnie przyjrzał się Downarowi. Ten jednakże twarz miał niewinnie uśmiechniętą i nic nie wskazywało na to, aby jego wyprawa do stolicy Jagiellonów miała jakieś uboczne cele.

ROZDZIAŁ XII

Początkowo Downar miał zamiar bezpośrednio z Gdyni pojechać do Krakowa. Po namyśle jednak postanowił parę dni zatrzymać się w Warszawie. Sprawa zabójstwa Elerta krystalizowała się w jego umyśle coraz wyraźniej i teraz pozostawało tylko uzupełnić brakujące elementy, aby otrzymać pełny obraz całości.

Porucznik Olszewski nie podzielał najwidoczniej tych optymistycznych poglądów. Był skwaszony i ponury.

— Co wam jest? — spytał zaniepokojony Downar. — Coście tacy przegrani?

Olszewski z rezygnacją machnął ręką.

— A, cholera z tym wszystkim. Kazaliście mi obserwować pacjentów tego dentysty i...

— No i co? Co się stało?

— To się stało, że facet zaplombował mi cztery zęby. Nie miałem zielonego pojęcia, że mam tyle dziur w zębach.

— No to doskonale, że wam zęby poplombował. Nie rozumiem, czego się martwicie?

— Może i doskonale, ale to pieroński zdzirus. Kupę forsy wydałem na te plomby.

— Ach, to o to chodzi — zaśmiał się Downar. — Nie martwcie się. Postaram się, żeby wam zwrócili. Podciągniemy to pod kosztą służbowe. A dowiedzieliście się przynajmniej przy tej okazji czegoś ciekawego?

— Niewiele, ale zawsze coś niecoś. Ta torba to nie była Elertowej.

— Jaka torba?

— Mówiłem wam, że w torbie Elertowej znalazłem fotografię

prokuratora Borzyckiego.

— No i co?

— No i okazało się, że to nie jest torba Elertowej, tylko tej malarki Teresy Bonickiej.

Downar zainteresował się.

— Teresy Bonickiej? Skąd wiecie?

— Przyszła z tą torbą do dentysty.

— Podobnych toreb mogą być setki. Skąd wiecie, że to akurat ta?

Olszewski chytrze przymrużył oko.

— Mam swoje sposoby. Podczas wizyty u Elertowej delikatnie scyzorykiem zadrapałem w charakterystyczny sposób zamknięcie. U dentysty od razu poznałem, że to moja robota.

— Bardzo sprytne — powiedział z uznaniem Downar. — Skąd wam przyszło do głowy, żeby znaczyć torbę Elertowej?

— Sam nie wiem skąd. Tak sobie pomyślałem, że to się może przydać.

— Więc z tego wynika, że Bonicka zostawiła torbę u Elertowej. A może to jednak torba Elertowej? Może pożyczyla ją przyjaciółce? W każdym razie z tego, co mówicie, wynika, że Bonicka i Elertowa dobrze się znają.

— To chyba nie ulega wątpliwości — przytaknął Olszewski.

— Odebraliście te odbitki z CAF-u?

— Oczywiście. A prócz tego, tak jakżeście sobie życzyli, kazałem w naszej pracowni fotograficznej zrobić powiększenie każdej osoby sfotografowanej w tej grupie. Mam te zdjęcia w teczce.

— Pokażcie.

Downar przez dłuższą chwilę przyglądał się brazylijskim handlowcom na tle Wawelu razem z towarzyszącymi im osobami. Roześmiany Elert był między nimi.

— Dziwne, że na tych fotografiach nie ma Edwarda Weinerdta.

Olszewski spojrział z zainteresowaniem.

— Mówicie o tym gościu z centrali handlu zagranicznego?

— Właśnie. Przed wyjazdem do Gdyni byłem w MHZ-cie i dowiadywałem się, kto jeździł z tymi Brazylijczykami z

ramienia centrali. Powiedziano mi, że Weinerdt. Trochę mnie to dziwi, dlaczego nie ma go na żadnym zdjęciu. Być może, że to czysty przypadek, a może wchodziły ta w grę jakieś inne względy.

— Podejrzewacie Weinerdta o jakieś machloje?

Downar w zamyśleniu wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem. Na razie to są wszystko tylko przypuszczenia. W tej sprawie jest tak dużo ludzi, których można podejrzewać o różne rzeczy, że doprawdy można się zgubić.

— Weinerdt jest także pacjentem tego dentysty — powiedział Olszewski.

— Właśnie. Spotkaliście go tam?

— Dwa czy trzy razy.

— I może zauważyliście coś w związku z jego osobą?

— Nic specjalnego. Chyba tylko to, że raz przyszedł w towarzystwie córki prokuratora Borzyckiego. Wyglądało na to, że są bardzo sobą zainteresowani.

Downar skinął głową.

— Tak. Wiem, że Weinerdt ostatnio flirtuje z Ewą. No cóż... przystojny, elegancki facet. Może dziewczynie zawrócić w głowie.

— Co robimy dalej? — spytał Olszewski.

— Dalej? Ja jadę do Krakowa wozem filmowym, z Korbielą. A wy pilnujcie jak zwykle tutejszego terenu. W dalszym ciągu ścisła inwigilacja Teresy Bonickiej i całego domu Siewierskich. Z dentystą na razie możecie sobie dać spokój. Natomiast jak tylko Łaciak wróci z Wybrzeża, trzeba do niego natychmiast przydzielić specjalnego człowieka, który by go ani na chwilę nie spuszczał z oczu. Na razie to chyba byłoby wszystko. Będę z wami w kontakcie telefonicznym.

Na drugi dzień Downar spotkał się z Kasią. Dziewczyna była jak zwykle ubrana elegancko, aczkolwiek nieco ekscentrycznie. Ucieszyła się na widok rzekomego filmowca.

— Strasznie dawno pana nie widziałam. Jakżeż się panu udały zdjęcia nad morzem?

— Znakomicie. Jestem bardzo zadowolony z mego pobytu w Gdyni.

Było to prawdą, tylko że Kasia w zupełnie czym innym widziała powód tego zadowolenia.

— Nie spotkał tam pan gdzieś kochanego wujaszka? Mama już się o niego niepokoi.

— Oczywiście, że spotkałem. Wujaszek cieszy się znakomitym zdrowiem i, jak zwykle, humor mu dopisuje. Wypiliśmy razem kawę. To przemily człowiek.

— Tak. Wuj umie sobie zdobywać ludzką sympatię, tylko że, niestety, bywa czasem trochę lekkomyślny.

— Mój Boże, a któż z nas nie jest trochę lekkomyślny? Wprawdzie cechę tę częściej spotyka się u kobiet aniżeli u mężczyzn, ale...

— I porobił pan ciekawe zdjęcia nad morzem? — spytała Kasia, dążąc najwyraźniej do zmiany tematu.

— Owszem, zrobiłem dużo zdjęć. Mam wrażenie, że ten dokument powinien wypaść dość interesująco. Poza tym poznałem trochę ciekawych ludzi. Nawiązałem kontakty ze starymi marynarzami, odwiedziłem mieszkanie jednego bardzo interesującego kolekcjonera.

— Jakiż to kolekcjoner?

— Niech pani sobie wyobrazi, że facet zbiera starą, zabytkową biżuterię. Doprawdy dziwię się, że go do tej pory nie okradli. Wprawdzie trzyma dwa ogromne, bardzo złe wilczury, ale... Ja bym tam nie spał spokojnie w nocy, jakbym miał w domu takie skarby. Mówię pani, że jest na co popatrzeć: naszyjniki, pierścienie, bransolety, diademy...

— A żeby pan widział, jaką piękną, starą biżuterię ma Ewa.

— Ewa Borzycka?

Kasia zmieszła się nagle.

— To znaczy... nie Ewa, a jej ojciec, pan Borzycki. To są klejnoty po jego babce, czyli po prababce Ewy.

Downar miał wielką ochotę o coś jeszcze zapytać, ale zrezygnował z tego. Bał się, żeby jego zbytne zainteresowanie biżuterią rodzinną Borzyckiego nie wzbudziło jakichś podejrzeń.

— Ślicznie pani wygląda, Kasieńko. Czy pani wie, że się za panią ogromnie stęskniłem?

— Niech pan nie zalewa.

— Wcale, jak to pani wytwornie określiła, nie zalewam. Naprawdę brakowało mi pani towarzystwa. Niestety, znowu muszę wyjechać. Tym razem do Krakowa.

— Długo tam pan będzie?

— Postaram się wszystko załatwić jak najprędzej, ale sądzę, że zajmie mi to ze dwa-trzy dni.

Przewidywania Downara nie sprawdziły się jednak, w Krakowie siedział przeszło tydzień.

Zaraz po przyjeździe odwiedził Komendę Wojewódzką. Poszperawszy w archiwum, w czym mu wydatnie pomógł uczynny młody człowiek, porucznik Kornecki, stwierdził, że w ubiegłym roku został zatrzymany w Krakowie i oddany do dyspozycji prokuratora marynarz nazwiskiem Malec. Malca zaaresztowano na skutek interwencji adwokata Gerylskiego.

Tak się szczęśliwie złożyło, że porucznik Kornecki brał w tym czynny udział.

— Jak to się właściwie stało, kolego?

— Ano zwyczajnie. Byłem akurat na dyżurze, kiedy zadzwonił do nas mecenas Gerylski, prosząc o pomoc, bo go jakiś bandzior napastuje. No to ja w radiowóz i jazda. Przyjeżdżam na miejsce i widzę, że faktycznie jakiś podejrzany facet jest w mieszkaniu mecenasa. Wzięliśmy go pod rękę i sprowadziliśmy draba do wozu. Stawiał lekki opór. Był trochę pijany. Znaleźliśmy przy nim pięć tysięcy dolarów w złocie.

— Pięć tysięcy dolarów — powtórzył Downar. — To piękna suma. Skąd ten facet z taką forszą wziął się u Gerylskiego?

— Mecenas mówił, że go zaczepił na ulicy, chociaż to się niezupełnie zgadza, bo ten dziennikarz twierdził, że Malec przyszedł do mieszkania.

— Jaki dziennikarz? — zainteresował się Downar.

Porucznik sięgnął po segregator.

— Zaraz sprawdzę jego nazwisko. O jest. Waclaw Heger, dziennikarz z Warszawy.

— Jesteście zupełnie pewni, że to Waclaw Heger?

Kornecki zdziwił się.

— Jak to, czy jestem pewny? No oczywiście. Przecież mamy

tu jego zeznanie.

— I powiadacie, że ten dziennikarz był w tym momencie u Gerylskiego?

— Tak. Pamiętam go nawet. Taki wysoki, szczupły facet.

— A co z marynarzem?

— No cóż... Posiedział trochę. Pewnie go wywalili z floty. Stary szmugler.

— Tłumaczył się, skąd miał te dolary?

— Bardzo mętnie. Coś tak gadał, że jego kumpel kazał mu odwieźć walutę do Krakowa, że spotkał mecenasa Gerylskiego, że chciał mu oddać dolary. Takie tam bajki. Pewnie kogoś obrabował w jakimś porcie i przeszmurował te dwudziestki. Nic z niego nie można było wydębić. Udawał głupiego.

Downar zapisał sobie dokładny adres mecenasa i na zakończenie rozmowy poprosił porucznika, żeby jak najściślej zostało zachowane jego incognito w Krakowie, że chce występować wyłącznie w charakterze filmowca. Z komendy udał się do hotelu „Francuskiego”, obudził Korbiele i pojechali obaj filmowym wozem do Gerylskiego.

Mecenas zdziwił się na widok nieznanego. — Dzisiaj nie przyjmuję klientów — powiedział. — Pan będzie łaskaw pofatygować się w piątek.

— Nie przyszedłem w sprawie porady prawnej — wyjaśnił Downar. — Jestem filmowcem, przyjechałem do Krakowa na zdjęcia i przy okazji chciałbym pana ostrzec, panie mecenasie.

Gerylski był wyraźnie zaniepokojony.

— Ostrzec? Mnie? Nie rozumiem. Proszę, może pan wejdzie, panie, panie...

— Nazywam się Trębiński — przedstawił się Downar. — Czy będziemy mogli porozmawiać bez świadków?

Weszli do pokoju, który służył jako gabinet adwokacki. Wszystkie niemal ściany zakryte były półkami, wypełnionymi książkami, teczkami i segregatorami. Na środku, na dużym dywanie stało ciężkie, masywne biurko z ciemnego mahoni.

Gerylski uprzejmym gestem wskazał fotel, którego skórzane obicie pamiętało zapewne odległe czasy.

— Proszę, niech pan łaskawie siada. Przyznaję, że

zaintrygował mnie pan swoim tajemniczym oświadczeniem.

— Doskonale rozumiem pańskie zdziwienie. Zaraz wszystko wyjaśnię. Otóż, jak już wspomniałem, jestem z zawodu filmowcem. Jeżdżę po całym kraju i zbieram materiały do filmów dokumentalnych. Niedawno byłem na Wybrzeżu, gdzie chwyciłem kamerą obrazki z życia ludzi morza. Przy tej okazji nawiązałem szereg znajomości wśród marynarzy. Jeden z nich oznajmił mi, że w najbliższym czasie ma zamiar zamordować pana, panie mecenasie.

Gerylski zaśmiał się niezbyt szczerze.

— Zamordować? Mnie? Co za nonsens. Ten człowiek musiał być pijany, a poza tym ja nie mam znajomych wśród marynarzy.

Downar wzruszył ramionami.

— Nie wiem, skąd ten marynarz pana zna, ale się odgrażał, że pana pchnie nożem. Strasznie zawzięty.

Mówił, że się musi zemścić. Uważałem więc za swój obowiązek ostrzec pana.

Gerylski ze zdenerwowania zaczął sobie wyłamywać palce.

— No... bardzo panu dziękuję. Ogromnie pan uprzejmy. Nie mam pojęcia, co to za człowiek i za co się chce na mnie mścić. Jak on wygląda?

— Rosły mężczyzna około sześćdziesiątki. Nosi brodę. Nazywa się Malec.

— Malec, Malec... — zamruczał Gerylski, ocierając chustką zroszone potem czoło. — Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek znał człowieka o tym nazwisku. Zupełnie zagadkowa historia. Nie jestem w stanie pojąć, dlaczego jakiś marynarz chciałby się na mnie zemścić?

— Mówił, że przez pana wyrzucili go z floty. Wspomniał także nazwisko jakiegoś Łaciaka. Przyznam się panu szczerze, że dokładnie nie dopytywałem się o to wszystko. Co mnie to może obchodzić. Dopiero jak się zaczął odgrażać i powiedział, że chce pana zarżnąć, to pomyślałem, że może bezpieczniej będzie pana ostrzec.

— Dobrze pan zrobił. Jestem panu niesłychanie zobowiązany.

— Co pan ma zamiar przedsięwziąć, panie mecenasie?

— Nie mam pojęcia. Trudno mi właściwie zbyt poważnie traktować tę sprawę. Chociaż... Bo ja wiem...

— Ja bym panu jednak nie radził lekceważyć tego marynarza. Robił wrażenie człowieka gotowego na wszystko. Byłaby to niepowetowana strata, gdyby tej klasy prawnik co pan... Mieliśmy teraz niedawno w Warszawie takie tajemnicze morderstwo. Zamordowano dziennikarza, niejakiego Elerta.

Downar powiedział to wszystko niedbale, jakby nie przywiązywał większej wagi do swoich słów. Bacznie obserwował twarz adwokata. Kiedy padło nazwisko Elerta, zauważył nerwowe drgnienie mięśni w okolicy ust.

— Czytałem coś w prasie o tej zbrodni.

— Na pewno pana interesują te zagadnienia.

— No, oczywiście, chociaż specjalnie nie pasjonuję się sprawami kryminalnymi. To nie moja dziedzina.

Downar doszedł do wniosku, że nie należy przedłużać tej rozmowy. Chętnie byłby przesłuchał Gerylskiego, ale, przynajmniej na razie, musiał z tego zrezygnować. Wstał więc i pożegnał wybitnego prawnika, który niezbyt interesował się sprawami kryminalnymi.

Następnym punktem krakowskiego programu była wizyta u eks-małżonki Borzyckiego.

Pani Julia przyjęła przystojnego filmowca z oznakami nie ukrywanej kokieterii. Kazała podać kawę i z zabytkowego kredensu wyjęła butelkę likieru.

— Ogromnie się cieszę, że mnie pan odwiedził, ogromnie!

— Ja również jestem bardzo rad z poznania tak uroczej istoty jak pani — powiedział uprzejmie Downar, który momentalnie zorientował się, z jakim typem kobiety ma do czynienia. — Jestem przyjacielem pani byłego małżonka. Stach prosił mnie, żebym, będąc w Krakowie, odwiedził panią.

Pani Julia westchnęła melancholijnie.

— Kochany Stasiulek. Wie pan, że czasem nawet żałuję, iż od niego odeszłam. To bardzo przyzwoity i porządny człowiek, a jaki inteligentny! Świetny prawnik. No, ale cóż... czasem się ludziom ułoży, a czasem się nie ułoży. Nieprawdaż?

— Ależ oczywiście — przytaknął skwapliwie Downar,

obawiając się, ażeby opowieść o nieudanym małżeństwie państwa Borzyckich nie rozwinęła się nadmiernie. — Oczywiście, różnie bywa.

— Tak, różnie bywa — powtórzyła w zadumie pani Julia i obdarzyła swego gościa czarującym uśmiechem. — Pan robi wrażenie człowieka niezwykle subtelnego. Jestem pewna, że pan potrafi zrozumieć duszę kobiety. Chyba się nie mylę. Prawda, że pan potrafi...?

— Jak czasem — odpowiedział wymijająco Downar. — Staszek prosił mnie, żebym panią pozdrowił i żebym dowiedział się o losy syna — dodał pospiesznie, pragnąc skierować rozmowę na inne tory.

— Bogdanek pracuje, proszę pana. Bardzo spoważniał.

— Pracuje? — zdziwił się Downar. — To doskonale. Otrzymał pracę tutaj w Krakowie?

Pani Julia ze smutkiem potrząsnęła głową.

— Niestety, otrzymanie pracy w Krakowie było nieco skomplikowane. Bogdanek musiał wyjechać na Śląsk. Pracuje w hucie.

— W hucie?

— Tak. Widzi pan, ja go kiedyś namówiłam, żeby kształcił się na laboranta. To interesująca i spokojna praca. Wprawdzie tych studiów nie ukończył, ale pewne pojęcie ma. Przyjaciel naszej rodziny, mecenas Gerylski, wyrobił mu posadę pomocnika laboratoryjnego. Nabierze wprawy, może z czasem zda jakieś egzaminy. To chyba dobra kariera dla mężczyzny. Jak pan myśli?

— Myślę, że to znakomite zajęcie — powiedział z przekonaniem Downar. — Sam żałuję, że nie zostałem laborantem. Ciekawa praca. Czy syn pani często bywa w Krakowie?

— Nie. Nie ma czasu na podróże.

Downar poprosił o dokładny adres huty, w której pracował syn Borzyckiego. Pożegnał przekwitłą piękność i zbiegł na dół do samochodu.

— Co się dzieje? — spytał Korbiela, spoglądając na zaaferowaną twarz kapitana.

- Jedziemy na Śląsk.
- Będziemy robić zdjęcia?
- Tak, odcisków palców.

ROZDZIAŁ XIII

Bogdan długo się opierał, ale wreszcie musiał ulec naleganiom matki i mecenasa Gerylskiego; zaczął pracować.

Początkowo otrzymał skromną posadę w Radzie Narodowej w Kielcach. Nie zdołał jednak przetrwać nawet okresu próbnego. Już po trzech tygodniach przedstawiciel wydziału personalnego wręczył mu pismo urzędowe, z którego wyraźnie wynikało, że dalsze pozostawanie na zajmowanym przez niego stanowisku jest najzupełniej bezcelowe.

Rozgoryczony młody człowiek wrócił do Krakowa i odegrał wobec matki rolę skrzywdzonego i nie zrozumianego przez prowincjonalne środowisko, nie wspominając oczywiście o tym, że przez cały miesiąc ani razu nie udało mu się punktualnie przybyć do pracy. Narzekał też na niegościnnie dom ciotki. Pani Julia umieściła tymczasem jedynaka u swojej siostry.

I znowu mecenas Gerylski, jako przyjaciel rodziny, zaczął zastanawiać się nad znalezieniem czegoś odpowiedniego dla niezmiernie rozleniwionego młodzieńca. Wreszcie okazało się, że w jednej z hut na Śląsku istnieją możliwości zatrudnienia pomocnika laboranta. Posada nie była zbyt dobrze płatna, ale i praca w laboratorium nie wymagała specjalnych kwalifikacji ani większego wysiłku. Jedynak pani Julii zamiatał podłogą i przestawiał różne butelki z jednego miejsca na drugie, a czasem chodził po papierosy, bułki i wędlinę. Dobrą stroną tego zajęcia było niewątpliwie to, iż jeżeli nawet niezbyt dokładnie wykonał którąś z tych czynności — i tak nie miano do niego pretensji. Główny laborant, inżynier Walicz, był przyjacielem mecenasa Gerylskiego, z dużą pobłażliwością więc traktował jego protegowanego. Klepał go życzliwie po ramieniu i patrzył przez palce na nieustanne niedociągnięcia w pracy.

Bogdan przywykł z wolna do nowego otoczenia, pogodził się z koniecznością wstawania o wczesnej godzinie i właściwie wszystko byłoby się pomyślnie ułożyło, gdyby nie tęsknota. Już po kilku dniach Bogdan zaczął odczuwać dotkliwy brak matczynej opiekuńczej ręki, ulubionych krakowskich knajpek oraz chętnych do kieliszka i do zabaw kompanów.

Najbardziej jednak tęsknił za Kirą. Dopóki był w Krakowie i mógł widywać ją prawie codziennie, jej obecność wydawała mu się czymś zwyczajnym, naturalnym. Nie zastanawiał się nad tym, że ta dziewczyna może pewnego poranka czy pewnego wieczora zniknąć z jego życia, że może odejść. Nie miał zwyczaju myśleć o przykrych sprawach, wychodząc z założenia, że jeżeli ma się coś stać niemiłego, to i tak się stanie i nie ma sensu martwić się na zapas. Jego leniwa wyobraźnia rzadko wybiegała w przyszłość i wyjeżdżając na Śląsk nie zdawał sobie sprawy z tego, jak to będzie bez Kiry.

Teraz rozłąka z nią stawiała się dla niego z każdym dniem trudniejsza do zniesienia i przemyślał nad sposobem uwolnienia się od laboratoryjnych zajęć. Pragnął jak najprędzej znowu znaleźć się na Krakowskim Rynku. Okazało się jednak, że zrezygnować z posady w hucie nie było rzeczą łatwą. Wypróbowany system zaniedbywania obowiązków służbowych nie działał tu zupełnie. Inżynier Walicz z pobłażliwym uśmiechem odnosił się do wszelkich przejawów niesubordynacji służbowej, udzielał młodemu człowiekowi łagodnych upomnień, z cierpliwą wyrozumiałością słuchał jego mętnych tłumaczeń, spokojną perswazją pragnął rozbudzić w nim zapał do systematycznej pracy. Bogdan znalazł się w trudnej sytuacji. Nie mógł doprowadzić do tego, żeby go wyrzucili z posady. Tęsknota za czarnooką dziewczyną spędzała mu sen z powiek. Zaczynała ogarniać go rozpacz. Wreszcie postanowił szczerze rozmówić się z inżynierem.

Walicz uważnie wysłuchał skarg zakochanego młodzieńca. Poczęstował go amerykańskim papierosem i powiedział:

— Niech mi pan powie, drogi przyjacielu, czy pan napisał list do wybranki swego serca?

— List? — zdziwił się Bogdan. — Przyznam się panu, że z

zasady listów nie pisuję. Uważam to za bezcelową stratę czasu.

Inżynier Walicz z zainteresowaniem przyjrzał się młodemu człowiekowi.

— Nie bardzo rozumiem pańską awersję do korespondencji. Jeżeli pan tak bardzo tęskni, to chyba powinien pan napisać do tej dziewczyny. Może przyjechałaby pana odwiedzić.

Bogdan ożywił się nieco.

— Sądzi pan?

— No cóż... wszystko jest możliwe. Nie wiem oczywiście, czy pańska dziewczyna... A może zatelefonowałby pan do niej, jeżeli trudno się panu zebrać na napisanie listu?

— To znakomita myśl, panie inżynierze, znakomita!

Jeszcze tego samego wieczoru Bogdan zamówił rozmowę z Krakowem. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zastał Kirę w domu. Była niezwykle serdeczna. Bez trudu zgodziła się przyjechać. Trochę go nawet zaskoczyła jej natychmiastowa decyzja. Znał ją przecież dość dobrze i wiedział, że ponad wszystko ceniła spokój i że niezbyt chętnie narażała się na trudy podróży. „Czyżby rzeczywiście kochała się we mnie?” — myślał podniecony. Nazajutrz z samego rana spędził sporo czasu przed lustrem i doszedł do optymistycznego wniosku, iż jest interesującym mężczyzną.

Przyjechała wieczornym pociągiem. Czekał oczywiście na dworcu.

— Stęskniłam się za tobą, Bogdanku — powiedziała, biorąc go pod rękę.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Naprawdę?

— Dlaczego miałabym kłamać? Przecież nie jesteś milionerem amerykańskim ani księciem Walii, żeby ci prawić miłe słówka dla twojego stanowiska czy pieniędzy.

Roześmiał się. Nie był amerykańskim milionerem. Był kandydatem na asystenta laboranta.

Kolację zjedli w restauracji. Bogdan na ten cel zaciągnął pożyczkę u inżyniera Walicza, któremu był już winien, mówiąc nawiasem, przeszło tysiąc złotych.

Przy kawie Kira pogładziła go po dłoni.

— Wiesz, bardzo cię lubię. Chciałabym, żeby nam było dobrze razem, żebyśmy się nigdy nie rozstawali.

Był zaskoczony, zmieszany. Dotychczas nie objawiana w ten sposób swych uczuć. Uśmiechnął się.

— Jesteś dzisiaj bardzo miła — powiedział i pocałował ją w rękę.

— Wszystko zależy od ciebie.

— Ode mnie?

— Tak. Wyjedziemy razem za granicę. Będziemy szczęśliwi. Chcesz wyjechać?

— Ba. Któż by nie chciał? Tylko jak to zrobić? Z czego tam będziemy żyć?

— Wszystko zależy od ciebie — powtórzyła, wyjmując z torby srebrną papierošnicę z dużym monogramem.

Patrzył na nią pytająco, czekając na wyjaśnienie tych tajemniczych słów. Przez chwilę paliła w milczeniu papierosa. Pochyliła się nad stolikiem i powiedziała:

— Słuchaj uważnie...

*

Po trzech dniach Kira wróciła do Krakowa. Bogdan pozostał sam, oszołomiony, zakochany, pełen nadziei na przyszłość, która, jak mu się zdawało, zaczynała się przed nim rysować w różowych barwach. Widział już siebie sunącego w luksusowej limuzynie przez ulice Paryża, Rzymu czy Nowego Jorku. Wokół błyszczą neony, tętni wielkomięjskie życie. A przy nim uśmiechnięta, wspaniale ubrana ona, kobieta jego marzeń. Kira tak sugestywnie przedstawiła mu obraz pięknej, beztroskiej przyszłości, że uwierzył. „Wszystko zależy od ciebie” — dźwięczały mu w uszach jej słowa. „Wszystko zależy od ciebie”. Przekazą mu dolary do któregoś z zachodnioeuropejskich banków i w porządku. Będzie używał życia, będzie korzystał z tego wszystkiego, co dotychczas zdarzało mu się oglądać tylko na ekranie.

Na drugi dzień po wyjeździe Kiry zwolniono z pracy Opalkę. Był to chudy, wąty człowieczyna o pociągłej, mizernej twarzy i wiecznie zaczerwienionym nosie. Na pierwszy rzut oka trudno

było określić jego wiek. Mógł mieć zarówno trzydzieści kilka lat, jak i sześćdziesiąt. Dopiero po bliższym poznaniu można się było zorientować, że to stosunkowo młody jeszcze mężczyzna, przedwcześnie tylko zwiędły i postarzały. Opalka od dłuższego czasu pracował w hucie i pełnił funkcję asystenta laboranta. Cichy, spokojny, sumiennie spełniał swe obowiązki i nic nie wskazywało na to, żeby miał stracić posadę. Z filozoficznym spokojem przyjął natychmiastowe wymówienie. Spytał tylko: „Dlaczego, panie inżynierze?”, a kiedy Walicz długo i dość zawile począł precyzować swoje zarzuty, machnął ręką i wyszedł z pokoju, nie czekając na koniec przemówienia swego byłego zwierzchnika.

Bezpośrednio po tej rozmowie Walicz wezwał do swego gabinetu Bogdana.

— Na razie obejmie pan funkcję kolegi Opalki — powiedział.

— Mam nadzieję, że nasza współpraca ułoży się pomyślnie.

Tego dnia Bogdan dłużej niż zwykle pozostał w laboratorium, pragnąc w ten sposób zadokumentować swą pilność w spełnianiu nowych obowiązków. Wyszedł jako jeden z ostatnich. Na ulicy dogonił go Opalka.

— Chciałbym z wami, kolego, chwilę porozmawiać.

— O czym? — spytał niechętnie Bogdan. Mizerna, zmięta twarz laboranta napełniała go w tej chwili wyraźnym niesmakiem.

— Może wstąpimy gdzieś na kawę, bo tak na ulicy...

Weszli do pierwszej napotkanej kawiarenki i usiedli pod ścianą, w głębi zadymionej sali. Bogdan był bardzo niezadowolony z tego spotkania. „Czego ten cymbał może chcieć ode mnie?” — myślał ze złością.

Opalka systematycznie mieszał cukier w filiżance. Siorbnął duży łyk kawy i wyjął papierosy. Widać było, że zastanawia się nad tym, od czego zacząć rozmowę.

— Chciałem pana ostrzec, panie kolego, i właśnie w tym celu...

— Ostrzec? Mnie? — zdziwił się Bogdan.

— Tak. No cóż... pan jest młodym człowiekiem. Nie ma pan jeszcze doświadczenia. Ja wiem, dlaczego mnie inżynier Walicz

tak z miejsca splawił. I pan pewnie też się domyśla, o co chodzi, a jeżeli nie, to niedługo dowie się pan wszystkiego. Ja się nie dałem wciągnąć w te machloje i panu nie radzę. Takie rzeczy zawsze, prędzej czy później, kończą się kryminałem. Jakbym chciał, to mógłbym zrobić grubszą rozróbę, ale po co mam się narażać. Z tymi typami to nic nie wiadomo. Zadźgają gdzie człowieka w ciemnej ulicy i tyle. Mógłbym pójść na milicję, zrobić doniesienie do prokuratury, ale ani na milicję nie pójde, ani doniesienia nie zrobię. Tak sobie tylko pomyślałem, że warto pana ostrzec. Niedawno pan tu pracuje, nie zna pan stosunków. Jestem pewien, że będą pana chcieli wciągnąć do swojej sitwy. Niech pan się nie daje. Radzę panu ze szczerego serca, niech się pan nie daje. Po co gnić w więzieniu? Szkoda młodych lat.

Bogdan siedział milczący i nadęty. Był wściekły na tego mizernego jegomościa. Nie znosił rozmów o przykrych rzeczach i nienawidził ludzi, którzy roztaczali przed nim wizję niewesołej przyszłości. Najchętniej rozbiłby cukiernicę na łysiejącej głowie Ireneusza Opałki, który wyczuł najwidoczniej jakieś niechętnie fluidy, emanujące z jego rozmówcy, gdyż nagle zamilkł. Przez chwilę wpatrywał się w kwitnącą zdrowiem twarz Bogdana, po czym machnął ręką, położył na stoliku pięć złotych za kawę, powiedział „Do widzenia” i wyszedł z kawiarni drobnym, niepewnym krokiem.

Tej nocy Bogdan spał bardzo źle. Wizje barwnego, luksusowego życia przerywane były co chwila słowami przedwcześnie postarzałego laboranta. „Takie rzeczy zawsze, prędzej czy później, kończą się kryminałem”. „Po co gnić w więzieniu? Szkoda młodych lat”. I ta twarz mizerna, chuda twarz z czerwonym nosem! Bogdan zrywał się, siadał na łóżku i wymachując rękami usiłował odpędzić dręczącą zmore. Postać Opałki wracała jednak uparcie. „Takie rzeczy zawsze kończą się kryminałem”.

Poranek zastał Bogdana w fatalnym nastroju. Był niewyspany, zmęczony, zły. „Dlaczego ludzie tak sobie wzajemnie zatruwają życie?” — myślał. Gdyby nie rozmowa z Opałką, byłby pozostał pod wrażeniem słów Kiry wesoły i

radosny. A teraz pojawiły się te niepokojące refleksje, których trudno się było pozbyć. Pocięszał się jedynie tym, że stosunkowo szybko uda mu się zdobyć potrzebne dolary i że bliska jest chwila wyjazdu za granicę.

Do huty przyszedł wcześniej niż zazwyczaj. Zastał już inżyniera Walicza, który był w doskonałym humorze.

— Bardzo się cieszę, panie kolego, że pozbyliśmy się wreszcie tego nieznośnego tetryka i że będziemy tylko we dwóch w laboratorium. Mam nadzieję, że współpraca rozwinie się ku obopólnemu zadowoleniu.

— Postaram się — mruknął niewyraźnie Bogdan. Walicz spojrział na niego z niepokojem.

— Co się stało? Czy coś nie gra? Dlaczego pan taki markotny Bogdanie?

— Nic się nie stało. Po prostu źle spałem. I dlatego jestem trochę przegrany.

— Tęsknota, co?

— Co dzisiaj jest do zrobienia? — spytał Bogdan, pragnąc zmienić temat rozmowy.

Walicz udał, że nie spostrzegł tego uniku. Chrząknął i rzeczowym tonem zaczął omawiać pracę na najbliższe godziny.

— Musi się pan trochę podciągnąć, panie kolego — dodał. — Powiedziałem w dyrekcji, że pan posiada odpowiednie kwalifikacje i znakomicie może zastąpić Opalkę.

Bogdan w milczeniu skinął głową i rzeczywiście przez cały dzień wysilał swą drzemającą inteligencję, aby osiąść tajniki laboranckiej wiedzy. Zdawał sobie jasno sprawę z tego, że czeka go najbardziej pracowity okres w jego życiu, ale w wysiłkach tych podtrzymywała go myśl o wspaniałej przyszłości. Gra była warta poświęceń. Chodziło przecież o dużą stawkę.

Pod koniec dnia pracy Walicz powiedział:

— Jutro, najdalej pojutrze spodziewam się pierwszego transportu. Czy pan wie, na czym polega pańska rola?

— Wiem.

*

Przez następnych kilka dni Bogdan tak był pochłonięty pracą, że nawet nie spostrzegł upływającego czasu. Wszystko układało

się pomyślnie, zapowiedziane wagony nadchodziły z Gdyni regularnie, analizy próbek były przeprowadzane według wskazań inżyniera Walicza i nic nie przemawiało za tym, żeby należało się obawiać jakichś nieprzewidzianych komplikacji. Niepokojące przepowiednie Opałki z każdą chwilą stawały się coraz bardziej nierealne, a widmo zakratowanych okien niknęło z wolna, ustępując miejsca obrazom luksusowego życia na Lazurowym Wybrzeżu i w wielkich metropoliach Europy i Ameryki.

Kira pisywała teraz bardzo często, a listy jej przepojone były takim gorącym uczuciem, taką wiarą we wspaniałą przyszłość, że Bogdan wyzbył się wreszcie wszelkich niepokojów i przestał myśleć o chudym laborancie i jego ponurych horoskopach. Był pewien, że wszystko ułoży się pomyślnie, że niedługo wyjadą i będą bardzo szczęśliwi. Wagony nadchodzące z Wybrzeża przybliżały tę piękną, wyśnioną chwilę.

Inżynier Walicz był zadowolony ze swego pomocnika. Klepał go przyjacielsko po plecach i mówił: — Będą z pana ludzie, panie Bogdanie, będą z pana ludzie!

— Czy nie obawia się pan, panie inżynierze, że w produkcji mogą nam coś zakwestionować? — zapytał kiedyś Bogdan.

— Zanim do tego dojdzie, my już będziemy się zajmować czym innym i będziemy daleko stąd. Niech się pan nie martwi, przyjacielu, wszystko gra na sto dwa. Grunt to dobra organizacja.

Kiedyś spotkał Bogdan Opałkę, ale udał, że go nie spostrzegł, i pospiesznie przeszedł na drugą stronę ulicy. „Stary cymbał — pomyślał ze złością. — Zawsze musi popsuć człowiekowi humor”. Mizerna twarz laboranta ciągle jeszcze wzbudzała w nim niepokój i nasuwała ponure refleksje. A jeżeli zechce się mścić, jeżeli pójdzie na milicję i zrobi donos? Bogdan parę razy miał ochotę porozmawiać na ten temat z inżynierem Waliczem, ale zrezygnował z tego zamiaru. Przecież Walicz musiał sobie zdawać sprawę z sytuacji. Nie miało sensu rozdrażniać go niepotrzebnym gadaniem. Im mniej będzie się mówiło na przykre tematy, tym lepiej. Nie trzeba wywoływać wilka z lasu.

Po pewnym czasie zresztą Bogdan zapomniał o niemiłym

spotkaniu. A niebawem dowiedział się od znajomych, że człowiek, którego bliskość spędzała mu spokojny sen z powiek, wyjechał do Poznania, gdzie rodzina wystarała mu się o jakieś zajęcie.

Mijały dni. W wyobraźni Bogdana rósł stos studolarowych banknotów. Pisał entuzjastyczne listy do Kiry, zapewniając ją o swej miłości i snując wspaniałe plany na przyszłość.

Pewnego dnia inżynier Walicz polecił swemu pomocnikowi zrobienie odpisów wszystkich raportów, które miały być w najbliższym czasie przekazane dyrekcji. Bogdan miał tę pracę wykonać w niedzielę. Sprawa była pilna. W sobotę po południu zabrał więc do domu maszynę do pisania, ale w pośpiechu zapomniał teczek z raportami.

Strażnik znał Bogdana. Uśmiechnął się przyjacielsko.

— Cóż to, panie Borzycki? Jeszcze do pracy o tej porze?

— E, nie, skądże. Zapomniałem papiery. Jak człowiek nie ma w głowie, to musi mieć w nogach.

— To prawda — przyznał z przekonaniem strażnik.

W pustym korytarzu samotne kroki rozlegały się szerokim echem. Bogdana ogarnął nagły niepokój. Sam nie wiedział dlaczego, ale poczuł się jakoś nieswojo. Począł iść mniej hałaśliwie, usiłując stąpać na palcach. „Co u diabła? — pomyślał zdenerwowany.

— Co się ze mną dzieje?” Nigdy tutaj nie był o tej porze i może dlatego wyludnione pokoje biurowe robiły na nim takie przygnębiające wrażenie. Wydawało mu się, że lada chwila coś się stanie. Mięśnie mu się sprężyły, gotowe do odparcia niespodziewanego ataku.

W laboratorium paliło się światło. Bogdan już położył rękę na klawiszach, gdy nagle posłyszał z zewnątrz podniesiony głos inżyniera Walicza, który rozmawiał z jakimś mężczyzną.

— To są najzupełniej bezpodstawne obawy. Nie zwracaj sobie głowy babskimi przywidzeniami. Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Głęboki baryton zabrzmiał niepokojem:

— Przecież w końcu to musi wyjść gdzieś w produkcji!

— Śmieć się z tego — uspokajał dalej Walicz. — Ja mam tutaj

teren dobrze zorganizowany, a jeżeli chodzi o Warszawę, to przecież trzymamy w szachu starego Borzyckiego. Jeżeli nawet chciałby się nam przeciwstawić, to go zgrabnie zlikwidujemy.

— Właśnie o tym chciałem z tobą pomówić.

Bogdan poczuł, że krew gorącą falą uderza mu do głowy.

ROZDZIAŁ XIV

Downar zostawił Korbiełę na Śląsku, a sam wrócił do Warszawy. Doszedł do wniosku, że nadszedł odpowiedni moment do rozwinięcia energicznej akcji. Dalsza zwłoka mogłaby skomplikować sytuację. Zaraz na drugi dzień posłał Olszewskiego po Teresę Bonicką.

Malarka była zupełnie spokojna. Ani jej twarz, ani ruchy nie zdradzały żywszych wzruszeń. Usiadła naprzeciwko biurka i końcem języka zwilżała mocno uszminekowane wargi.

— Widzę, że panią nie dziwi fakt, iż występuję w nowej roli — powiedział Downar.

Uśmiechnęła się.

— Nie jest to dla mnie niespodzianką. Od dość dawna domyślałam się, że ta cała filmowa maskarada to próba niezbyt zręcznej mistyfikacji.

— Więc uważa pani, że jestem słabym aktorem?

— Za bardzo pan się zżył z rolą milicjanta, żeby wypaść przekonująco w innych kreacjach.

Downar utkwiał badawcze spojrzenie w twarzy młodej kobiety i przez chwilę milczał. Kiedy się znowu odezwał, głos jego brzmiał spokojnie i łagodnie.

— Kwestionuje pani moje uzdolnienia aktorskie, ale tym niemniej mam pewne podstawy, aby sądzić, że pani nie domyśliła się, w jakim celu odwiedzałem panią. W przeciwnym razie nie popełniłaby pani tylu błędów.

— Błędów?

— Tak. Dostarczyła mi pani materiał dowodowy przeciwko sobie.

Nieznacznie wzruszyła ramionami.

— Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Mam wrażenie, że pana ponosi fantazja twórcza.

Downar zapalił papierosa i zaczął obracać w palcach pudełko.

— Sądzę, że będzie najlepiej, jeżeli od razu wyjaśnimy sobie sytuację. Pani jest aresztowana.

Poderwała się gwałtownie.

— Aresztowana? Ja? Jakim prawem?

— Na podstawie odnośnego paragrafu kodeksu karnego. Jest pani podejrzana o udział w zamordowaniu Leona Elerta.

— Pan chyba oszalał!

Downar skrzywił się z dezaprobatą.

— Używa pani bardzo stereotypowych zwrotów. Proszę się uspokoić. Niech pani siada. Proponuję, żebyśmy porozmawiali normalnym tonem.

Usiadła. Oddychała ciężko. Na policzkach jej wystąpiły ceglaste rumieńce.

— Pan nie ma prawa — powiedziała ciszej. — Pan nadużywa swej władzy.

Downar pochylił się nad biurkiem. Reakcje tej dziewczyny były tak typowe, że aż go to śmieszyło. Ileż już razy w swej karierze oficera śledczego przeprowadzał nieomal identyczne rozmowy!

— Chciałbym, żeby pani należycie orientowała się w sytuacji i dlatego pozwolę sobie opowiedzieć pewną niezwykle interesującą historię, która naświetli pani odpowiednio szereg spraw. Przecież nie wyobraża pani sobie, żebym ją zatrzymywał, nie mając dostatecznego materiału dowodowego. A więc, pewnego niedzielnego popołudnia prokuratora Borzyckiego odwiedził nieznany młody człowiek, noszący brodę. Nawiasem mówiąc, ten młody człowiek był niezmiernie podobny do brata pani, Karola. Osobnik ten przyniósł prokuratorowi pięćdziesiąt tysięcy złotych w samych pięćsetkach, jako zapłatę za rzekome zamordowanie dziennikarza Leona Elerta. Prokurator pieniędzy tych oczywiście nie przyjął i wyrzucił faceta za drzwi. Tego młodzieniec z przyprawioną bródką nie przewidział i nie bardzo wiedział, jak ma postąpić. Rzecz działa się na ulicy

Różanej. Tuż obok, w alei Niepodległości, mieszka siostra tego obiecującego młodzieńca, z zawodu artystka plastyczka. Ona to zapakowała pieniądze w papier i pędzelkiem umaczanym w tuszu napisała adres prokuratora Borzyckiego. Tusz jeszcze dobrze nie wysechł, gdy chłopak z brodą zaniósł paczkę z pieniędzmi na Różaną i oddał ją dozorca. No cóż... do takich imprez trzeba być fachowcem, tymczasem ani wspomniana plastyczka, ani jej brat nie są fachowcami i dlatego ja jestem w posiadaniu pewnych dowodów.

— To wszystko kłamstwo! — wykrzyknęła Teresa. — To kłamstwo. Pan chce mnie nastraszyć. Pan nie ma żadnych dowodów.

Downar zgniół w palcach wypalonego papierosa.

— Powiedziałem już pani, że nie prowadziłbym tej niezbyt miłej rozmowy, gdybym nie dysponował odpowiednim materiałem dowodowym. Palce tego młodego człowieka dotknęły niewyschniętego napisu. Muszę pani powiedzieć, że dawno nie widziałem tak wyraźnych odcisków linii papilarnych. Nie ulega wątpliwości, że na tym papierze pakowym pozostawił je brat pani, Karol. Jest już aresztowany. Poza tym ekspertyza przeprowadzona w instytucie kryminalistyki wykazała, że adres Borzyckiego na paczce z pieniędzmi i moje nazwisko na wizytówce pisała jedna i ta sama ręka, pani ręka. Czy nie sądzi pani, że te dowody są wystarczające?

Teresa Bonicka milczała. Twarz jej poszarzała. Z całej siły wbiła zęby w dolną wargę.

— A teraz chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań — mówił dalej Downar. — Chciałbym się dowiedzieć czegoś o pani współnikach, o ludziach, którzy odegrali główne role w tym dramacie.

— Niczego się pan ode mnie nie dowie. Niczego! Choćby miał mnie pan zabić.

Uważnie przyjrzał się malarce. Wolno skinał głową.

— Dobrze. Odłożymy tę rozmowę na później.

Downar został sam. Był zadowolony z siebie.

Bluff z tymi odciskami palców na papierze pakowym chwycił nadspodziewanie łatwo. To zabrzmiało tak prawdopodobnie, że

nie próbowała nawet przeczyć. A więc przypuszczenia jego były słuszne i eksperci, którzy zidentyfikowali pismo, nie pomylili się. Jedno ogniwo w tym łańcuchu niezwykle wydarzeń było jasne. Teraz należało zbadać, jakie powiązania ma Teresa Bonicka, z kim współpracowała i jaką rolę odegrała wtedy na przyjęciu u Siewierskich.

Wieczorem Downar odwiedził Wacława Hegera w jego prywatnym mieszkaniu. Dziennikarz był trochę zaskoczony tą niespodziewaną wizytą, ale bardzo uprzejmie zaprosił gościa do pokoju, usadowił go w fotelu i zaparzył kawę.

— Przepraszam, że pana niepokoję — powiedział Downar. — Muszę z panem pewne sprawy wyjaśnić i dlatego zdecydowałem się przyjść tutaj.

Heger z pewnym trudem wywołał na twarz uprzejmy uśmiech.

— Jeżeli tylko mogę być w czymś panu pomocny, to chętnie służyć.

Downar poprawił się w fotelu i wyjął papierośnicę.

— Chciałbym pana prosić o chwilę szczerzej rozmowy. Wtedy, podczas naszego wspólnego obiadu u „Dziennikarzy”, wyraźnie unikał pan pewnych tematów.

— Daję panu słowo, że nic nie wiem na temat zamordowania Elerta.

— Nie o Elercie chcę w tej chwili mówić. Chodzi mi o pana.

— O mnie?

— Tak. Pana interesowały również nadużycia gospodarcze, ale w rozmowie ze mną wypierał się pan bardzo energicznie tych zainteresowań. Zrobił pan wtedy na mnie wrażenie człowieka przestraszonego. Niech mi pan powie, panie redaktorze, czy może otrzymywał pan jakieś listy z pogrózkami?

Na twarzy dziennikarza odmalowało się wahanie.

— Śmiało — zachęcał go Downar. — Nikt nas tu nie słyszy.

Heger przełknął ślinę.

— No więc... tak. Otrzymywałem anonimy z pogrózkami.

— I co pan zrobił z tymi anonimami?

— Zniszczyłem je.

— Postąpił pan bardzo nierozsądnie. Straciliśmy piękny materiał dowodowy.

— Nie przypuszczałem, że...

Downar w zamyśleniu podrapał się za uchem.

— Szkoda. No trudno, stało się. Więc pana usiłowano zastraszyć, sterroryzować. Po śmierci Elerta ogarnęło pana takie przerażenie, że postanowił pan zrezygnować z tropienia tych szmuglerów.

— Skąd pan wie? — zdziwił się Heger.

Downar uśmiechnął się.

— Skojarzyłem sobie pewne fakty i wyciągnąłem odpowiednie wnioski. To nie takie trudne przy odrobinie wprawy. Ale, ale... zapomniałem panu powiedzieć. Łaciak aresztowany został w Gdyni.

Heger odetchnął z ulgą.

— Więc jednak wpadł!

— To się zazwyczaj tak kończy. To bardzo sprytny facet, ale najsprytniejszym noga się pośliznie. Pan miał go na oku od dłuższego czasu. Zaprzyjaźnił się pan z nim nawet. Wtedy na przyjęcie do Siewierskich też pan poszedł dla Łaciaka, a nie dla pięknej panny Katarzyny; udał pan pijanego, licząc na to, że Łaciak zabierze pana do siebie na noc. Tak się też stało. Nie wiem, co pan tam u niego wyniuchał, ale teraz to już nie ma dla mnie większego znaczenia. Interesuje mnie natomiast bardzo, co pan myśli o mecenasie Gerylskim z Krakowa?

Heger zmieształ się.

— Nie znam mecenasa Gerylskiego — powiedział niepewnie.

W oczach Downara zapaliły się wesołe błyski.

— Nie jest pan zbyt dobrym aktorem, panie redaktorze. A przy pańskim słabym systemie nerwowym każde kłamstwo w pana ustach brzmi bardzo nieprzekonująco. Wiem doskonale, że pan zna Gerylskiego. Po śladach Łaciaka trafił pan do rozmaitych jego kumpli. U mecenasa Gerylskiego był pan w Krakowie w momencie aresztowania pewnego marynarza nazwiskiem Malec. Dowiedziałem się tego wszystkiego z akt Komendy Wojewódzkiej. Sądzę, że pan nie ma zamiaru poddawać w wątpliwość prawdziwości moich słów.

— To nie miałyby sensu — przyznał Heger.

— No widzi pan. Ogromnie się cieszę, że wyjaśniliśmy sobie pewne sprawy. Pan od jakiegoś czasu deptał po piętach Malcowi i jego kompanom. Chciał pan zdobyć materiały do sensacyjnego artykułu czy też całej serii artykułów na temat szmuglu i jego kulis. Tragiczna śmierć Elerta bardzo pana ostudziła w zapale. Przyznam się, że wcale się panu nie dziwie.

— Nie przypuszczałem, że dziennikarz piszący na temat nadużyć gospodarczych może być narażony aż na tyle niebezpieczeństw — powiedział Heger.

Downar uśmiechnął się.

— No cóż, panie redaktorze, wszystko zależy od tego, o jaką stawkę idzie gra. Są ludzie, którzy potrafią zabić dla pięciuset złotych, a cóż dopiero jeśli chodzi o setki tysięcy dolarów. Niech mi pan łaskawie powie, czy Elert rzeczywiście nigdy nie zwierzał się panu z jakichś swoich obaw?

Heger potrząsnął głową.

— Nie. Mówiłem już panu, podczas pierwszej naszej rozmowy, że z Elertem nie przyjaźniłem się i że nasze kontakty posiadały charakter bardzo oficjalny.

— A adwokata Gerylskiego dawno pan zna?

— Nie, niedawno.

— Czy pan sądzi, że Gerylski bierze udział w jakichś aferach?

— Chyba na pewno. Ma powiązania z takimi ludźmi jak Łaciak. Nic oczywiście konkretnego nie mogę o nim powiedzieć, ale...

— A czy pan w tej chwili zrezygnował już definitywnie z tropienia tej bandy szmuglerów?

— Tak — powiedział Heger. — Nie mam zamiaru bawić się w te rzeczy. To nazbyt niebezpieczne.

Downar porozmawiał jeszcze chwilę z dziennikarzem, doszedł jednak do wniosku, że już nie dowie się niczego ciekawego. Pożegnał się więc i pojechał do domu. Był zmęczony, a musiał na jutro napisać obszerny raport z dotychczasowego przebiegu śledztwa. W komendzie nie miał na to nigdy czasu. Zaledwie jednak usiadł do maszyny, kiedy zadzwonił telefon. Od razu poznał charakterystyczny, trochę

nosowy głos Korbieli. Porucznik donosił mu, że Bogdan Borzycki wyjechał nocnym pociągiem do Warszawy.

— Pilnujcie inżyniera Walicza — powiedział Downar i odłożył słuchawkę. Wiadomość o nagłym wyjeździe Bogdana zaskoczyła go. Nie wiedział, co o tym sądzić. Co miała znaczyć ta nagła decyzja? Ucieczka? Ale w takim razie, dlaczego pojechał do Warszawy, a nie do Krakowa? Chce się zobaczyć z ojcem? Raczej wątpliwe. Po co? Pieniądze? Nie mógł przecież liczyć na to, żeby jeszcze wyciągnąć od starego trochę forsy, a zresztą w tej sytuacji... Nie, nie, to nie wchodziło w rachubę. Więc co? Jedno było pewne. Należało w Warszawie przejąć chłopaka i to od razu na dworcu.

*

Około południa Downar spotkał się w „Świteziance” z Kasią. Była bardzo podniecona i z ożywieniem opowiadała mu o jakichś szalowych cudzoziemcach Wreszcie trochę zmęczona zmniejszyła tempo. Wtedy zaproponował jej spacer. Widząc, że prowadzi ją do zaparkowanej na Litewskiej czarnej wołgi, zdziwiła się.

— Jedziemy samochodem?

— Tak. Maleńka przejażdżka dobrze nam zrobi.

— To pański wóz?

Downar uśmiechnął się.

— Prawie.

Spostrzegłszy kapitana, Sikora skwapliwie otworzył drzwiczki.

— Dokąd jedziemy? — spytała Kasia, nagie zaniepokój ona.

— Na Puławską.

— Po co na Puławską?

— Bo chcę z panią przeprowadzić poufną rozmowę.

— Wiezie mnie pan do swojej kawalerki?

— No, niezupełnie.

— Więc...?

— Chwilę cierpliwości. Zaraz pani wszystko wyjaśnię.

Kiedy wjeżdżali na teren ogrodzony żelaznymi sztachetami, Kasia krzyknęła: — Przecież to Komenda Milicji!

— Tak.

— Więc pan...?

— Tak — powtórzył Downar. — Pracuję w milicji i nie nazywam się Trębiński.

Po chwili siedzieli w pokoju, w którym odbyło się już niejedno przesłuchanie. Kasia tak była oszołomiona wytworzoną sytuacją, że nie mogła wydobyć głosu. Drżącymi rękami otworzyła torbę i wyjęła papierosy. — Więc... więc pan nie jest filmowcem... — powiedziała cicho. Nie było to pytanie, raczej stwierdzenie tego zaskakującego faktu.

Downar podsunął jej zapaloną zapalną.

— Nie, nie jestem filmowcem i nigdy nim nie byłem. Odgrywam komedię, która mi pomaga w prowadzeniu śledztwa. Obecnie postanowiłem się pani zaprezentować w mojej właściwej roli.

— Czego pan chce ode mnie?

— Chcę z panią pogawędzić na interesujące mnie tematy.

Spojrzała na niego i zmrużyła oczy.

— Czy tę rozmowę mam traktować jako przesłuchanie?

— Sądzę, iż nomenklatura nie ma tu specjalnego znaczenia. Prowadzę dochodzenie w sprawie zamordowania Leona Elerta i w związku z tym pragnę pani zadać kilka pytań.

— Czy muszę odpowiedzieć na te pytania?

— Nie, nie musi pani. Ale sądzą, że będzie lepiej, jeżeli pani odpowie.

— No cóż, słucham.

Downar poprawił się w fotelu i zapalił papierosa.

— Czy pani wiedziała o tym, że Elert był kochankiem pani matki?

Zachnęła się.

— Moja matka nie miała i nie ma żadnego kochanka. Wypraszam sobie!

— Proszę się nie irytować — powiedział uspokajająco Downar. — Jestem w posiadaniu całej kolekcji listów miłosnych, pisanych przez matkę pani do Elerta. Mogę panią zapewnić, że nie mówiłbym takich rzeczy, gdybym nie miał stuprocentowej pewności. A więc ponawiam pytanie: czy pani wiedziała o tym stosunku?

— Nie.

Downar uśmiechnął się łagodnie.

— Kasieńko, niechżeż pani będzie rozsądną dziewczyną. Wiem o wiele więcej, niż pani to sobie może wyobrazić. Jestem do tej rozmowy od dawna przygotowany i na pewno nie ma sensu, żebyśmy oboje tracili czas na niemądre kłamstwa. Pani doskonale orientowała się w tym, że Elert był kochankiem matki.

— Jeżeli pan wie, to po co pan pyta?

— To są niezbędne formalności. Muszę mieć potwierdzenie pewnych faktów. Pani bardzo kocha swoją matkę, prawda?

Spojrzała zaskoczona.

— Nie rozumiem, co to ma wspólnego?...

— Uczucie, jakie pani żywi do matki — powiedział, zaciągając się dymem Downar — tłumaczy pani postępowanie.

— O jakim postępowaniu pan mówi? — spytała ostrożnie.

— Mam na myśli to, że pani ukradła prokuratorowi Borzyckiemu pistolet z szuflady biurka.

Zerwała się. Drżała na całym ciele.

— Nieprawda! To nieprawda!

— Niech się pani uspokoi. Na nic się nie zda zaprzeczać. Jeżeli pani chce, to zaraz opowiem, jak wyglądała sytuacja. Elert nie był dżentelmenem. Szantażował matkę pani listami, które do niego napisała. Pani, pragnąc pomóc matce, postanowiła odebrać od niego te nieszczęsne listy, ale bała się pani pójść nie uzbrojona. W takich razach nieraz dopomaga przypadek. Któregoś dnia poszła pani w odwiedziny do Ewy Borzyckiej, która pokazała pani staroświecką biżuterię, znajdującą się w biurku jej ojca. Sama mi pani o tym powiedziała, że oglądała tę muzealną biżuterię. Przy tej okazji spostrzegła pani pistolet w szufladzie. Błyskawiczna decyzja i pistolet powędrował do torebki. No cóż... to nie było trudne.

Kasia opadła ciężko na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

— Jezus Maria! Jezus Maria! I pan przypuszcza, że ja...

Downar pokiwał głową.

— Przyznam się, że przez moment podejrzewałem panią o tę zbrodnię, ale ten moment minął już dosyć dawno. Niech mi

pani powie, czy to pani wsunęła pistolet do płaszcza prokuratora Borzyckiego w czasie tych imienin?

W milczeniu skinęła głową. Była zupełnie oszołomiona jego słowami.

— Tak się domyślałem — mówił dalej Downar.

— Chciała się pani pozbyć później tej broni, z której pani nie zrobiła użytku. No tak, to byłoby właściwie wszystko, co chciałem wiedzieć. Liczę na pani dyskrecję. W zamian ja także będę dyskretny i pani ojczym nie dowie się o niczym.

ROZDZIAŁ XV

Maciek dotrzymał słowa. Wytrwale śledził Downara, który bardzo prędko zorientował się w sytuacji i bawił się znakomicie, obserwując wysiłki detektywa amatora. Rozmyślał też nad tym, jak wykorzystać młodego boksera dla swych celów. Sprawa zamordowania Elerta rysowała się coraz wyraźniej i teraz należało tylko zręcznie rozegrać końcowy etap akcji.

Któregoś popołudnia zatelefonowała Kasia. Szła wieczorem z Weinerdtem do „Bristolu”.

— Niech się pan z nami wybierze — prosiła. — Mnie to nic nie szkodzi, że pan jest w milicji. Dobrze pan tańczy. Będzie wesoło. Zobacz pan!

Downar był zadowolony z propozycji. Przypomniawszy sobie jeszcze dziewczynie o tym, że on w dalszym ciągu występuje w roli filmowca, pojechał do domu, żeby się przebrać i około dziewiątej pojechał taksówką do „Bristolu”.

Całe towarzystwo czekało już w hallu. Kasia podbiegła parę kroków na jego spotkanie.

— Bardzo się cieszę, że pan przyszedł. My też właśnie przed chwilą...

Downar przywitał się z Ewą i z Weinerdtem, powiedział kilka uprzejmych słów, podziękował za zaproszenie i oddał płaszczy do szatni. Zauważył, że Ewa jest chmurna i najwyraźniej z czegoś niezadowolona. „Prawdopodobnie dziewczyna wolałaby

przyjść tu sama ze swoim amantem” — pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

Mieli zarezerwowany stolik w dansingowej sali. Orkiestra grała twista. Weinerdt od razu przejął inicjatywę w doborze trunków i przekąsek.

— Jest to nasza pożegnalna kolacja — powiedział, jakby się usprawiedliwiając.

— Jak to pożegnalna kolacja? — zdziwił się Downar. — Dlaczego?

— Edward wyjeżdża na placówkę za granicę — wyjaśniła Ewa z melancholią w głosie. Downar już przedtem zauważył, że Ewa i Weinerdt są po imieniu.

— Można wiedzieć, dokąd się pan wybiera, panie inżynierze?

— Do Argentyny.

— Na długo?

— Trudno mi w tej chwili powiedzieć. Zależy od tego, jak się potoczą pertraktacje handlowe. Mamy zakontraktować dużą partię skór.

— Ciekawa praca w tym handlu zagranicznym.

— Ciekawa, ale i męcząca.

— Można nieźle zarobić.

Weinerdt uważnie spojrział na mówiącego.

— Co pan przez to chce powiedzieć?

— Nic. Po prostu to, że w handlu zagranicznym dobrze płacą. Tak przynajmniej słyszałem.

— A ja słyszałam, że tam u was lepsze kanty odchodzą — wyrwała się niezbyt taktownie Kasia Atmosfera wytworzyła się trochę ciężka. Weinerdtowi stężała twarz, Ewa zaśmiała się krótkim, nerwowym śmiechem.

Downar sięgnął po papierosy. Na szczęście w tym momencie kelner przyniósł wódkę i przekąskę.

Po paru kieliszkach nastrój stał się bardziej swobodny i już nie wracano do drastycznych tematów. Weinerdt opowiadał swoje przygody w Paryżu, Londynie i w Rzymie. Downar poczęstował towarzystwo kilkoma dowcipami, związanymi z gwiazdami srebrnego ekranu, których się na wszelki wypadek nauczył od jednego swojego znajomego z branży filmowej.

Dziewczęta słuchały z wypiekami na twarzach i kolejno chciały odbyć podróż dookoła świata albo zrobić karierę filmową. Po przekąskach poszli na parkiet. Weinerdt poprosił do tańca Ewę, Downar Kasię. Przytuliła się do niego mocno.

— To nic nie szkodzi, że pan udaje. I tak bardzo pana lubię.

Downar chciał jej coś miłego powiedzieć, ale w tej chwili spostrzegł Maćka w towarzystwie jakiegoś młodego barczystego chłopaka o tryskającej zdrowiem, kwadratowej twarzy. Usiedli w pobliżu ich stolika. To było trochę niepokojące, tym bardziej że Maciej robił wrażenie podpitego.

Orkiestra przestała grać. Wrócili na swoje miejsca. Ewa także spostrzegła Maćka i zaczęła się kręcić niespokojnie. Kasia widząc dziwne podniecenie przyjaciółki, spytała:

— Co ci jest, kochanie?

Znowu odezwał się saksofon. Teraz wypadało Downarowi zatańczyć z Ewą. Zanim jednak się pod

niósł, od sąsiedniego stolika wstał Maciek i podszedł ku Ewie, zapraszając ją do tańca. Potrząsnęła głową.

— Dziękuję, ale jestem zmęczona... może później.

— No co się zgrywasz, chodź tańczyć — powiedział schrypniętym głosem Maciek.

— Jestem zmęczona — powtórzyła Ewa.

Chłopak nie ruszył się z miejsca. Stał pochylony do przodu, kołysząc się lekko na rozkraczonych nogach. Palce obu rąk zaciskał w pięści i znowu je rozprostowywał.

Weinerdt, który siedział koło Ewy, zmarszczył brwi i spojrzał nieprzychylnie na natręta.

— Słyszał pan chyba, że pani nie życzy sobie tańczyć z panem?!

— A z panem to sobie życzy tańczyć, co? — prychnął Maciek.

Weinerdt wstał.

— Proszę natychmiast stąd odejść, bo każę wyrzucić pana z sali — powiedział stanowczo.

— Wyrzucić mnie? — zaśmiał się Maciek. — Spróbuj, cherlaku!

— Kelner! — krzyknął Weinerdt.

Wtedy cała długo hamowana nienawiść wybuchła. Maciek

zaczął bić zaciśniętymi pięściami z taką pasją, z jaką walił na treningu w worek. Poderwał się ze swego miejsca Downar, ale i on otrzymał kilka potężnych ciosów i potoczył się pod orkiestrę. Młody bokser szalał, wspomagany przez swojego kolegę. Powstał tumult i zamieszanie nie do opisania. Kelnerzy próbowali początkowo opanować sytuację, ale nie mogli skutecznie stawić czoła bokserom. Zamieszanie stawało się ogólne. Mężczyźni poderwali się od stolików, a ponieważ nikt nie wiedział, o co chodzi, jedni stanęli po stronie młodych bokserów, drudzy zaś przyłączyli się do Downara, Weinerdta i kelnerów. Wywiązała się ogólna bijatyka i reprezentacyjna sala „Bristolu” zostałaby zapewne doszczętnie zdemolowana, gdyby nie interwencja milicji. Kierownik sali widząc bowiem, że nie może liczyć na skuteczną akcją swego personelu, zdecydował się wreszcie wezwać pomoc.

Uczestników zajścia, w mocno zniszczonych garderobach, załadowano systematycznie do dużych milicyjnych wozów. Nie obeszło się oczywiście bez przekleństw, złorzeczeń i drobnych, szybko likwidowanych awantur.

Downar, który po zainkasowaniu kilku skutecznych ciosów, trzymał się z dala od walczących, zdołał w hallu odciągnąć na bok kierującego patrolem porucznika, pokazał mu swoją legitymację służbową i wyjaśnił, że zależy mu bardzo na zachowaniu do końca incognito. Porucznik zanotował sobie na kartce „filmowe” nazwisko przedstawiciela Komendy Głównej i obiecał załatwić dyskretnie sprawę w komisariacie.

Niebawem uczestnicy „bitwy o Ewę” znaleźli się przed drewnianą barierką, oddzielającą ich od przedstawicieli władzy, których surowe i bynajmniej nie karnawałowe twarze nie wróżyły nic dobrego. Spisanie obszernego protokołu zajęło bardzo dużo czasu, tym bardziej że dyżurny oficer nie miał najmniejszego zamiaru się spieszyć. Większość bristolowych gości zdążyła już ochłonąć z bojowego zapału. Jedni w posepnym milczeniu palili papierosy, inni usiłowali dodać sobie animuszu, popisując się dowcipem nie pierwszej jakości, jeszcze inni drzemali zrezygnowani, siedząc pod ścianą na drewnianej ławie. Alkohol z wolna wyparowywał z

podochoconych głów, twarze bladły, humory gasły, wieczorowe stroje przedstawiały sobą oplakany widok.

Porucznik wywiązał się ze swego zadania bez zarzutu i Downar został wylegitymowany jako Henryk Trębiński, z zawodu filmowiec. Dla zachowania możliwie jak najbardziej przekonujących pozorów, dyżurny oficer zadał domniemanemu reżyserowi szereg pytań, dotyczących zajścia, a zrobił to takim energicznym i urzędowym głosem, że nikomu z obecnych nie przeszło przez myśl, że jest świadkiem rozmowy dwóch funkcjonariuszy milicji.

Cała awantura zaczęła się od Weinerdta. On też był najbardziej pokrzywdzony. Nos złamany, olbrzymie sińce pod oczyma, dwa zęby wybite, nie licząc silnych obrażeń klatki piersiowej. Pomimo tych wyraźnych oznak uszkodzenia ciała niefortunny adorator Ewy nie chciał zgłaszać swoich pretensji.

— Więc obywatel nie ma pretensji o pobicie? Nie będzie obywatel skarżyć do sądu? — spytał oficer dyżurny.

— Nie — odpowiedział półgłosem Weinerdt, któremu nadwierzona szczeka przeszkadzała w mówieniu.

— Ależ dlaczego? — wtrącił się z ożywieniem Downar. — Ten chłopak bardzo pana poturbował. To należy traktować jako chuligański wybryk. Powinien być ukarany.

Weinerdt wzruszył ramionami.

— Co mi z tego przyjdzie, że chłopaka ukarzą grzywną czy więzieniem? Młody, głupi... Nie mam zamiaru mu szkodzić.

— Jak pan uważa, ale mnie się wydaje, że za taką napaść trzeba by przykładowie ukarać.

— Dajmy temu spokój — machnął ręką Weinerdt.

— Powiedziałem panu przecież, że nie chcę mścić się na tym draniu. Zresztą nie mam teraz czasu wdawać się w sprawy sądowe.

Downar późną nocą wrócił do domu. Był tak zmęczony, że nie miał nawet sił zrobić sobie herbaty. Od razu poszedł spać.

Nazajutrz major Leśniewski kazał sobie przedstawić wszystkie dokumenty dotyczące sprawy zabójstwa Elerta. Przez parę godzin wertował materiał. Wreszcie wezwał Downara.

— Widzę, że robicie postępy w śledztwie — powiedział.

Downar skinął głową.

— No cóż... klaruje się powoli, towarzyszu majorze. Teraz tylko trzeba bardzo ostrożnie, żeby na finiszu całej roboty nie popsuć.

— Czy nie boicie się, że ta dziewczyna może wam narobić zamieszania?

— Kasia? Nie sądzę. Za bardzo zależy jej na tym, żeby sprawa romansu mamy nie nabrała rozgłosu. W pewien sposób trzymam ją w szachu. Jak dotąd nic nie wskazuje na to, żeby komuś coś powiedziała na mój temat.

— Miałem nosa, że wam poddałem myśl z biurkiem prokuratora — uśmiechnął się Leśniewski. — Córka Borzyckiego pochwaliła się rodzinną biżuterią, a ta głupia dziewczyna skorzystała z okazji i ukradła pistolet. Czy jesteście pewni, że to nie ona zastrzeliła Elerta?

— Na pewno nie ona — powiedział z przekonaniem Downar. — Jej reakcje w czasie przesłuchania były takie typowe, że ani przez moment nie miałem wątpliwości.

— Czy sądzicie, że Bogdan Borzycki wie o skłonnościach ojca do amnezji alkoholowych?

— Z całą pewnością. Wszystko wskazuje na to, że zwierzył się z tego swojej kochance, która następnie poinformowała mecenasa Gerylskiego. Jest to, oczywiście, na razie tylko moja hipoteza. Mam jednak wrażenie, że jestem bardzo bliski prawdy. Chłopak musiał zapewne coś posłyszeć od matki.

Oddając Downarowi akta, Leśniewski powiedział:

— Wiecie co, towarzyszu? Myślę, że to nie będzie przesadna przezorność, jeżeli na jakiś czas damy Borzyckiemu ochronę.

ROZDZIAŁ XVI

Weinerdt kończył się golić. Był zdenerwowany i dwa razy już się zaciął koło lewego ucha. Zatałował krew watą. Następnie umył twarz i skropił policzki wodą kolońską. Rosnący niepokój, który opanowywał go od kilku dni, wzrastał teraz z każdą niemal godziną. Właściwie nic się takiego nie stało, co mogłoby

usprawiedliwiać ten fatalny nastrój. Jedyne przedłużające się formalności paszportowe. Miał już zarezerwowane miejsce w samolocie, za cztery dni ruszał w podróż, a z paszportem ciągle jeszcze zwlekali. Nie mógł się właściwie dokładnie dowiedzieć, o co chodzi. Czyżby jakieś nieprzewidziane komplikacje? Wyszedł z łazienki i zatelefonował do ministerstwa. W słuchawce posłyszał niezwykle uprzejmy głos dyrektora Drożdżyńskiego.

— Ależ nie, panie radco, nic się nie zmieniło, absolutnie nic. Odlatuje pan do Buenos Aires tak, jak to zostało ustalone. A jeśli chodzi o paszport, to będę go miał u siebie jutro, najdalej pojutrze. Tak, tak, obiecali mi. No wie pan... oni tam teraz w biurze paszportowym są zawaleni robotą. Jeszcze jakieś drobne formalności i wszystko będzie w porządku. Proszę się uzbroić w cierpliwość.

Trochę uspokojony Weinerdt włożył koszulę i zawiązał krawat. W tej chwili zadzwonił telefon. Pospieszenie podbiegł do aparatu i podniósł słuchawkę. Ewa. Mówiła szybko, trochę beładnie, była bardzo podniecona. Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć. Tak, tak, bardzo pilna sprawa. Chodzi o mojego brata. Telefonował. Boję się. Nie mam do kogo zwrócić się o pomoc i dlatego...

— Przyjeżdżaj — powiedział Weinerdt. — Czekam na ciebie w domu.

Skończył się ubierać i połączył się z międzymiastową. Zamówił rozmowę błyskawiczną. Chciał natychmiast porozumieć się z Waliczem. Zaraz jednak odwołał rozmowę. Przyszło mu na myśl, że jeżeli stało się coś nieoczekiwanego, to jego telefon może być na podsłuchu. Lepiej było nie ryzykować. Potem zadzwonił z poczty. Zapalił papierosa. Co się mogło takiego zdarzyć? Przecież gdyby coś nie grało, Walicz zawiadomiłby go natychmiast. Gerylski także dałby znać. Co oznacza ten tajemniczy telefon Ewy?

Po upływie pół godziny zadzwieczał dzwonek u drzwi wejściowych. Ewa wbiegła bardzo podniecona. Miała wypieki na twarzy. Nie przywitała się nawet. Zaraz zaczęła mówić.

— Wyobraź sobie, że Bogdan zadzwonił do mnie z Kielc. Nie

wiem, dlaczego jest u ciotki. Powiedział, że musi się ze mną zobaczyć, że naszemu ojcu grozi niebezpieczeństwo, mówił o jakimś morderstwie. Nie mogłam dobrze zrozumieć. Bardzo źle było słyhać. Jestem przerażona. Nie wiem, co robić. Może trzeba zawiadomić milicję?...

— W żadnym wypadku — powiedział stanowczo Weinerdt. — Mogłabyś zaszkodzić ojcu.

— Boję się... Co robić?

Weinerdt spojrział na nią i zmarszczył brwi, jakby zbierając myśli.

— Trzeba pojechać do Kielc.

— I ja też tak myślę. Zaraz zadzwonię na dworzec i dowiem się, kiedy mam pociąg.

Zatrzymał ją ruchem ręki.

— Zaczekaj. Musimy się zastanowić. Więc twierdzisz, że twój brat jest u ciotki?

— Tak mi powiedział.

— A dlaczego nie przyjechał do Warszawy?

— Mówił, że nie miał odwagi. Czegoś się boi. Źle było słyhać. Słuchaj, a jakbyśmy pojechali samochodem?

— Ba, to byłoby najlepsze, tylko że mój wóz nie jest w tej chwili na chodzie.

Ewa zamyśliła się.

— Wiesz co? Zadzwonię do Kasi. Może uda mi się pożyczyć wóz Siewierskich.

— Spróbuj, ale musisz to zrobić bardzo dyskretnie. Nie możesz się zdradzić z tym, gdzie jedziesz i po co.

— To rozumiałe. Nie bój się, nie wyrwę się z niczym niepotrzebnym.

Ewa, nie tracąc czasu, usiadła przy telefonie. Załatwiła sprawę nadspodziewanie szybko. Weinerdt nawet się trochę zdziwił, że Siewierski zgodził się wypożyczyć swój niedawno kupiony Chevrolet, ale nie podejrzewał w tym żadnego podstępu. Za niecałe dwadzieścia minut wóz zajechał przed dom. Przy kierownicy siedziała Kasia.

— Jedźcie i bawcie się dobrze w Kazimierzu, a uważajcie na hamulce! — zaśmiała się trochę sztucznie i ucałowała Ewę w

oba policzki. Weinerdtowi mocno uściśnęła rękę.

— Szkoda, że pani z nami nie jedzie — zaryzykował.

— Bardzo żałuję, ale mam masę pracy, a zresztą po co miałabym wam przeszkadzać.

Weinerdt zapalił motor i powiedział, spoglądając na Ewę:

— Obawiam się, że nie będziemy mogli jechać zbyt szybko. Szosa jest oblodzona.

Okazało się jednak, że tylko miejscami droga była zła. Samochody rozprasowały śnieg z lodem, tworząc błotnistą masę, która nie groziła niebezpiecznym poślizgiem.

— Powiedziałaś ojcu, że wyjeżdżasz? — spytał Weinerdt.

— Tak. Powiedziałam, że jadę na dwa dni do Komorowa, do Halszki.

— A jeżeli Halszka zadzwoni do ciebie?

— Nie zadzwoni, bo u niej jest wyłączony telefon. Jak zwykle zapomnieli zapłacić rachunku.

— Może zadzwonić z Warszawy.

— Nie. Leży w łóżku, chora na grype.

— Widzę, że wszystko przewidziałaś.

— Nie chciałam ojca niepokoić i dlatego nic mu nie powiedziałam.

— Bardzo słusznie. Ojciec twój i tak jest wystarczająco wyczerpany nerwowo. Trzeba się najpierw dowiedzieć, o co chodzi.

Nacisnął hamulec, biorąc ostry zakręt. Zarzuciło ich na gołoledzi. Z wprawą wytrawnego kierowcy wyrównał błyskawicznie wóz, ale przez najbliższych kilkanaście kilometrów nie mógł rozwinąć większej szybkości.

— Nie wiem, czy nie bylibyśmy szybciej pociągiem — powiedziała Ewa.

Z przydrożnych drzew zrywały się niechętnie mokre, smutne wrony. W rowach błyszczała brunatna woda. Na polach leżały płaty topniejącego śniegu, które na ciemnym tle wilgotnej ziemi wyglądały jak duże białe ptaki.

Znowu maszyna wpadła w poślizg i zarzuciła na zakręcie. Ewa pchnięta siłą odśrodkową oparła się ciężko o swego towarzysza. Odsunął się od niej przezornie. Bał się, żeby nie

wyczuła w kieszeni jego płaszcza pistoletu. Był wściekły, że nie pomyślał o tym i wsunął broń do prawej kieszeni. Natychmiast jednak zdał sobie sprawę z tego, że ten ruch mogła sobie wytłumaczyć jako wyraz niechęci. Postanowił załagodzić sytuację.

— Nie zimno ci? — spytał troskliwie.

Potrząsnęła głową.

— Nie. Jest mi bardzo dobrze. Lubię jechać autem, szczególnie z tobą.

Zwolnił i delikatnie musnął wargami koniec jej zaróżowionego ucha. — Kochanie...

Przytuliła się do jego ramienia. Znowu musiał się delikatnie odsunąć. Psiakrew, ten pistolet. Powinien był go włożyć do wewnętrznej kieszeni. Począł zastanawiać się nad tym, jak dyskretnie załatwić tę sprawę. Nie mógł przecież dopuścić do tego, żeby Ewa zorientowała się, iż jest uzbrojony. To mogłoby bardzo skomplikować sytuację. Poza tym musiał wreszcie powziąć jakąś decyzję, co ma zrobić z Ewą. Jedno nie ulegało wątpliwości: należało się jej pozbyć przed rozmową z tym durniem.

— Wiesz co, jestem wściekle głodny — powiedział. — W tym całym zamieszaniu zapomniałem zjeść śniadania. Jak byś się na to zapatrywała, gdybyśmy zatrzymali się na maleńką przekąskę w Radomiu? Właśnie dojeżdżamy.

Spojrzała na niego z wahaniem.

— Stracimy dużo czasu.

— E, nie tak znowu dużo. Zjemy jajecznicę czy kawałek kielbasy i jedziemy dalej. No, co ty na to?

— Bo ja wiem. Jak chcesz.

W Radomiu Weinerdt zaparkował wóz przed restauracją. — Chodź, chodź — powiedział pomagając Ewie wysiąść. — To nie potrwa długo.

Otoczył ich senny nastrój mrocznej sali. Tęga kelnerka bez pośpiechu przyjęła zamówienie. Ewa jednak nie mogła jeść. Wypiła tylko szklankę herbaty i wypaliła papierosa. Przesunęła dłonią po czole.

— Piekielnie boli mnie głowa.

Spojrzał na nią zatroskany.

— Zaczekaj. Przyniosę ci z apteki proszek. — Wyszedł. Wrócił po dłuższej chwili, poprosił kelnerkę o wodę i bardzo starannie rozpuścił lekarstwo. — Wypij, ale od razu.

Przechyliła w tył głowę i wlała sobie do gardła całą zawartość szklanki. — Piekielnie gorzkie. Co to było?

Uśmiechnął się.

— Bądź spokojna. Nie otrułem cię.

Po chwili Ewa powiedziała słabym głosem.

— Ed, niedobrze mi. Źle się czuję. Chodźmy stąd. Może na świeżym powietrzu mi przejdzie.

Pomógł jej wstać. Ciężko oparła się na jego ramieniu.

Zaprowadził ją do wozu. Zawrócił, kierując się w stronę hotelu. Na pierwsze piętro musiał ją prawie zanieść na rękach. Była na wpół przytomna. Poruszała wargami, ale z trudem chwycił tylko poszczególne, niezwiązane ze sobą słowa. Rozebrał ją pospiesznie i położył do łóżka. Zasnęła natychmiast.

Stał nieruchomo, patrząc na śpiącą; następnie zasłonił okno i wyszedł, zamykając cicho drzwi za sobą. Zaraz jednak wrócił, wziął ze stolika torebkę Ewy i począł w niej czegoś szukać. Wreszcie znalazł kartkę z adresem Bogdana. Wsunął ją do kieszeni marynarki, raz jeszcze rzucił okiem na nieprzytomną dziewczynę i szybko wybiegł z pokoju. Na dole zatrzymał się koło portiera.

— Pani jest bardzo zmęczona. Śpi — powiedział z przyjacielskim uśmiechem. — Trochę za dużo wypila — dodał i wyjął z portfelu pięćdziesiąt złotych.

— Proszę jej nie przeszkadzać i nie budzić. Ja niedługo wrócę.

Portier zgrabnym ruchem pochwycił banknot i na jego twarzy pojawił się wyraz serdecznej życzliwości. Był to człowiek niemłody już, doświadczony i wyrozumiały.

— Niech pan będzie zupełnie spokojny. Pani u nas wypocznie znakomicie. Po przepiciu najlepsza rzecz, to dobrze się wyspać.

— Czy jest u pana maszyna do pisania? — spytał Weinerdt.

Portier spojrzał nieco zdziwiony.

— Maszyna do pisania jest w biurze. A pan szanowny?...

— Chciałem zaadresować kopertę.

— A, proszę bardzo, proszę. Pan pozwoli.

Na starym, mocno już wysłużonym „Underwoodzie” Weinerdt wystukał: „Czekam na ciebie w kawiarni koło «Bristolu». Przyjdź zaraz. Ewa”. Następnie zaadresował kopertę, którą wyjął z portfela. Podziękował uprzejmemu portierowi, raz jeszcze poprosił, żeby nie budzić Ewy, i wyszedł przed hotel.

Ulica była cicha. Tylko z oddali dolatywał warkot przejeżdżających samochodów. Po warszawskim zgiełku życie tutaj wydawało się powolne i spokojne.

Usiadł za kierownicą i zapuścił motor. Przed wyjazdem z miasta wstąpił na stację benzynową, żeby napełnić bak. Wprawdzie do Kielc benzyny na pewno by mu wystarczyło, ale wolał być przygotowany na wszelką ewentualność.

Znowu duża maszyna potoczyła się po szosie. Znowu wrony zrywały się z nagich drzew i znowu koła samochodu rozpryskiwały szeroko gęste, brunatne błoto. Miejscami szosa była jeszcze oblodzona i opony ślizgały się po szklistej powłoce. Trzeba było mocno trzymać kierownicę, szczególnie na zakrętach.

Weinerdt pewną ręką prowadził wóz. Nie widział krajobrazu, nie zwracał uwagi na mijane wsie ani na psy oszczekujące czarną limuzynę. Pograżył się w swych myślach, które nie były wcale wesołe. Już od jakiegoś czasu czuł instynktownie, że coś się działo wokół niego, coś, czego nie był w stanie uświadomić sobie i sprecyzować. Usiłował w dalszym ciągu wierzyć w swą szczęśliwą gwiazdę, ale stawało się to coraz trudniejsze. Teraz ta historia z Bogdanem Borzyckim. Co mógł oznaczać tajemniczy telefon? Dlaczego zatrzymał się w Kielcach, a nie przyjechał do Warszawy, żeby porozumieć się z siostrą? Co się kryje za tym wszystkim?

Spojrzał w lusterko, zawieszony nad kierownicą. Zobaczył ponurą, ściągniętą twarz. Z taką twarzą nie mógł pokazać się temu chłopakowi. Usiłował się uśmiechnąć, ale był to tylko jakiś złowrogi grymas. Potrząsnął głową z dezaprobatą i zaklął głośno.

Nie zauważył nawet, że po obu stronach szosy wyrosły sosnowe pnie. Wiatr potrząsał mokrymi gałęzmi i opadając niżej szeleścił wśród gęstego poszycia.

Zaraz za lasem nacisnął hamulec i zatrzymał wóz. Z płaszcza wyjął pistolet i przez chwilę przyglądał się lśniacej, gładko wypolerowanej lufie. Zarepetował, włożył do magazynka brakującą kulę i wsunął broń do wewnętrznej kieszeni marynarki. Następnie odetchnął głęboko, zapalił papierosa i ruszył dalej. Zdawał sobie jasno sprawę z tego, iż z gry, którą prowadzi, wycofać się nie można. Dla niego już nie było odwrotu. Musiał zwyciężyć albo zginąć. Dotychczas tej drugiej ewentualności nie brał pod uwagę. Impreza zorganizowana była świetnie i funkcjonowała bez zarzutu. Dlaczegoż akurat na samym finiszu miałyby się coś stać? Nerwy, to wszystko tylko nerwy.

Czego ten idiota chciał od Ewy? Dlaczego wyjechał z huty? A może chodziło o jakieś głupstwo? Może ta cała historia nie miała żadnego znaczenia? Wszystkie jednak uspokajające słowa brzmiały dziwnie sztucznie i nieprzekonująco. Weinerdt był głęboko przekonany o tym, że dzieje się coś niedobrego, że popełnić musiał jakiś zasadniczy błąd i że za ten błąd może teraz drogo zapłacić. Nie miał jednak teraz na to czasu, żeby bawić się w szczegółowe dociekanie, a zresztą cóż by mu przyszło z tego, gdyby nawet zobaczył jasno swój błąd. Teraz już było na wszystko za późno. Musiał iść aż do końca, z całą bezwzględną konsekwencją. Jeżeli się mówi „A”, trzeba umieć powiedzieć także i „B”. Pochylił się nad kierownicą i zwiększył szybkość.

Przed Kielcami zmotoryzowany patrol milicyjny zatrzymywał wozy i kontrolował dokumenty. Weinerdt posłusznie zahamował Chevrolet. Poczul nieprzyjemny chłód w okolicy kręgosłupa. Tak mocno ścisnął kierownicę, że aż mu palce zbieleły. Zbliżył się milicjant w hełmie. Spojrzał jednak tylko na numer rejestracyjny i, nie żądając dokumentów, machnął czerwono-białym „lizakiem”.

— Proszę jechać — rzucił niecierpliwie, widząc, że Weinerdt czeka.

Co to było? Dlaczego? Dlaczego wszystkim sprawdzali dokumenty, a jemu nie? Szczęśliwy przypadek czy też...? Wzruszył ramionami. „To już jest mania prześladowcza” — mruknął ze złością i dodał gazu.

W Kielcach zaparkował wóz na bocznej, wąskiej ulicy, zaczepił jakiegoś przechodzącego chłopca, dał mu piętnaście złotych i list napisany w Radomiu na maszynie.

Zaniesiesz?

— Co nie mam zanieść — uśmiechnął się chłopak, pokazując żółte zęby. — To niedaleko. Jakby pan jeszcze piątkę dołożył, tobym biegiem zasuwał.

Weinerdt sięgnął do kieszeni i wyjął pięć złotych. Przez chwilę patrzył w ślad za swym posłańcem, który rzeczywiście puścił się pędem wzdłuż ulicy.

W kawiarni było dużo ludzi, których twarze, przesłonięte tytoniowym dymem, miały przeważnie wyraz tępej melancholii. Tylko od czasu do czasu w szmer dyskretnych rozmów wdzierał się jakiś kłótlivy, agresywny głos lub astmatyczny kaszel.

Weinerdt znalazł wolny stolik w kącie pod ścianą, usiadł, zamówił kawę i uważnie obserwował wchodzących. Nie był pewien, czy nie czeka na próżno. Chłopak mógł nie zastać Bogdana w domu, mógł także zrezygnować z roli uczciwego posłańca i wrzucić list do kosza na śmieci. Nie pozostawało jednak nic innego, jak cierpliwie czekać.

Wszystkie obawy okazały się płonne. Po upływie czterdziestu minut na salę kawiarnianą wszedł Bogdan. Był pochylony i rzucał dokoła niespokojne spojrzenia. Weinerdt przez chwilę obserwował młodego człowieka, zanim wstał i zbliżył się do niego.

— Przepraszam. Czy pan Borzycki?

Bogdan drgnął tak gwałtownie, jakby się koło niego rozerwał pocisk artyleryjski. Spojrzał niespokojnie na nieznanomego.

— Słucham? Tak... To jest...

— Pan pozwoli, że się przedstawię — powiedział Weinerdt i wyciągnął rękę. — Moje nazwisko Kosicki, Stanisław Kosicki. Pańska siostra, Ewa, prosiła mnie...

— Właśnie myślałem, że Ewa... że spotkam tu Ewę...

— Może usiądziemy — zaproponował Weinerdt i pociągnął młodego człowieka w kierunku swojego stolika. — Musimy pomówić.

Kiedy usiedli, Bogdan nerwowym ruchem wyjął z kieszeni papierosa.

— W jaki sposób pan mnie poznał? — spytał.

— Ewa nieraz pokazywała mi pańską fotografię.

— Pan się przyjaźni z Ewą?

— Tak. Już od dłuższego czasu.

— Dlaczego nie przyjechała? Prosiłem ją przecież...

— Źle się czuje. Dostała niespodziewanie wysokiej temperatury. Straszliwy ból głowy. Musiałem zostawić ją w hotelu w Radomiu.

— To pan razem z Ewą jechał z Warszawy?

— Tak. Powiedziała mi o pańskim telefonie. Była bardzo zdenerwowana. Prosiła, żebym jej dotrzymał towarzystwa.

Bogdan uspokoił się trochę. Podejrzliwie zaczął przyglądać się Weinerdtowi.

— Jakiś chłopiec przyniósł mi kartkę podpisaną przez Ewę. — Sądziłem więc, że...

— Uważałem, że tak będzie prościej — powiedział Weinerdt.

— Pan mnie nie zna. Nie chciałem się rozpisywać i dlatego podpisałem Ewę. Do pana nie chciałem pójść, bo obawiałem się, iż pogawędka z cicią zabierze nam za dużo czasu. Poza tym tyle rzeczy musiałbym tłumaczyć.

— Oczywiście, oczywiście — przytaknął skwapliwie Bogdan.

— Postąpił pan zupełnie słusznie.

Weinerdt energicznym ruchem zgasił papierosa w popielniczce.

— Czy może mi pan wyjaśnić, co znaczył ten tajemniczy telefon? Ewa bardzo się zdenerwowała. Dlaczego pan nie przyjechał do Warszawy? O co to właściwie chodzi?

Bogdan umknął spojrzeniem w dół.

— Nie mogę mówić z panem na te tematy. To są sprawy bardzo osobiste. Ja pana nie znam. Bardzo przepraszam, ale...

— Rozumiem — Weinerdt skinął głową. — Jestem

zaprzyjaźniony z Ewą i z pańskim ojcem. Przyjechałem tu po to, żeby panu pomóc! Jeżeli jednak uważa pan, że to jest niemożliwe, to nie mam zamiaru narzucać się. Pozwoli pan wobec tego, że go pożegnám.

Bogdan powstrzymał go ruchem ręki.

— Pan jest przyjacielem mego ojca? — spytał niepewnie.

— Tak. Jestem przyjacielem pańskiego ojca i to nie od dziś.

— Mojemu ojcu grozi niebezpieczeństwo.

— Jakie niebezpieczeństwo?

— Chcą go zamordować.

Weinerdt uśmiechnął się z powątpiewaniem.

— Kto panu to powiedział? Mam wrażenie, że pan jest bardzo zdenerwowany i że pańska fantazja nadmiernie pracuje.

— Nie mogę przecież panu wszystkiego tego opowiadać — jęknął Bogdan.

Weinerdt klepnął przyjacielsko chłopaka po plecach.

— Coś panu zaproponuję, panie Bogdanie. Ponieważ pan nie chce ze mną szczerze na te tematy porozmawiać, to pojedziemy do Radomia. Ewa tam leży w hotelu. Myślę, że czuje się już lepiej. Porozumiecie się.

— Pojechalibyśmy koleją?

— Nie. Mam tu wóz, i to całkiem niezły.

— Dobrze. Pojadę z panem do Radomia.

Chevrolet stał tam, gdzie go Weinerdt zostawił.

Paru chłopców przyglądało się eleganckiemu samochodowi, robiąc fachowe uwagi.

Weinerdt usiadł za kierownicą i wskazał Bogdanowi miejsce obok siebie. Zanim zapalił motor, wychylił głowę przez okno i rozejrzał się badawczo.

Pod wieczór chwycił lekki przymrozek. Szosa zaczynała pokrywać się lodową powłoką. Światła reflektorów odbijały się w błyszczącej powierzchni, zapalając diamentowe błyski na zmarzniętych płatach śniegu, który zaczął prószyć właśnie w momencie, gdy wyjeżdżali z miasta.

— Wspominała mi Ewa, że pan pracuje w jakiejś hucie — powiedział Weinerdt.

— W laboratorium.

- I mógł pan sobie tak wyjechać? Puścili pana?
- Nikogo nie pytałem o pozwolenie. Wyjechałem i już.
- Straci pan pracę.
- Gwizdzę na pracę. Zresztą kiedy posłyszałem tę rozmowę...
- Jaką rozmowę?

— Zapomniałem któregoś dnia papierów: protokołów, które miałem przepisać w domu. Wróciłem wieczorem do laboratorium i przypadkowo posłyszałem, jak mój szef rozmawiał z jakimś facetem.

- Z jakim facetem?
- Nie widziałem go. Słyszałem tylko ich rozmowę. Weinerdt rzucił chłopakowi szybkie spojrzenie.

— O czym mówili?

— Naradzali się nad sprawą ewentualnego zamordowania mego ojca.

- Ale dlaczego?! Musi przecież być jakiś powód.
- Na razie nie chcę o tym mówić — mruknął Bogdan.

Weinerdt zwiększył szybkość, ale w tym momencie maszyna wpadła w gwałtowny poślizg, tak iż obrócili się prawie o sto osiemdziesiąt stopni.

- Rany boskie! — krzyknął przerażony Bogdan.
- Mało brakowało, a byłibyśmy rąbnęli o drzewo.

Weinerdt wymanewrował z trudem i znowu ustawił wóz we właściwym kierunku. Jechał teraz jednak o wiele ostrożniej. Zastanawiał się nad tym, jak pokierować dalej akcją. Parokrotnie spojrzał w lustro, ale nie zauważył nic niepokojącego, nikt ich nie gonił. Uspokojony, jeszcze trochę zwolnił. Wyraźnie czuł ciężar pistoletu, tkwiącego w kieszeni marynarki. Nikt nie widział, jak w Kielcach wsiadali do wozu. Ten milicjant nawet nie obejrzał jego prawa jazdy. Pada śnieg, który zasypie do rana wszystkie ślady. Właściwie ryzyko było minimalne.

Las. Przysypane bielą drzewa stały się od razu bardziej strojne, świąteczne. Śnieg padał ciągle. Białe płatki coraz gęściej wirowały w powietrzu, błyszczały w świetle reflektorów, osiadały na szybie, przykrywały nocny krajobraz.

- Czy jak ten chłopak przyszedł do pana z kartką, to zastał

pańską ciotkę? — spytał Weinerdt.

Bogdan, jakby zbudzony z drzemki, spojrział na niego zdziwiony.

— Nie, nie zastał ciotki. Ja sam byłem w domu. Dlaczego to pana interesuje?

— Tak sobie zapytałem. Po prostu, żeby coś powiedzieć. Widzę, że spać się panu chce.

— Zmęczony jestem trochę — ziewnął Bogdan.

Nagle Weinerdt wykonał gwałtowny obrót kierownicą i Chevrolet wpadł z rozpędem na leśną drogę, kołysząc się gwałtownie na resorach.

— Co pan wyprawia?! — wrzasnął Bogdan.

— Proszę się nie denerwować. Zaraz to panu wytłumaczę.

— Niechże pan nie gasi reflektorów, do diabła. Rozwalimy się o drzewo.

— Spokojnie — głos Weinerdta stał się nagle twardy, zdecydowany.

— Po co wjechaliśmy w las? Co pan chce zrobić?!

Weinerdt nacisnął hamulec i zatrzymał wóz.

— Niech pan wysiada. Szybko!

— Po co mam wysiadać? Czego pan chce ode mnie?!

W rękę Weinerdta zaczęła lufa pistoletu.

— Wysiadaj!

— Czego pan chce ode mnie? — powtórzył Bogdan, wysiadając niezdarne.

Weinerdt pchnął chłopaka przed sobą. Za ledwie jednak zrobili parę kroków, gdy rozbłysło światło reflektorów. Odwrócił się błyskawicznie i strzelił na oślep. W tej chwili rozległ się energiczny, rozkazujący głos:

— Niech pan rzuci broń, panie inżynierze, i ręce do góry, bo jak nie, to ja zacznę strzelać!

ROZDZIAŁ XVII

— No, należy się wam porządny urlop — powiedział Leśniewski, wyciągając rękę na powitanie.

Downar dotknął obolałego boku i skrzywił się.

— Pojadę chyba do Ciechocinka wymoczyć trochę gnaty. Jeżeli jeszcze raz miałbym podróżować w bagażniku, to poszukam sobie innej pracy. Za stary już jestem na takie numery.

— Przecież to była wasza koncepcja, nawiasem mówiąc, koncepcja dość ryzykowna.

— Ryzykowna?

— Oczywiście. Weinerdt mógł tego chłopaka zastrzelić w samochodzie, a następnie zwłoki wyrzucić do rowu czy gdzieś w krzakach.

Downar potrząsnął głową.

— Nie. To było bardzo mało prawdopodobne. Weinerdt jest zbyt doświadczonym człowiekiem, żeby ryzykować powalenie krwią obicia wozu albo zrobienie kulą dziury. Poza tym strzał z tak bliskiej odległości jest zawsze niepewny. Może dojść do walki, a w czasie szamotania się różnie bywa. Weinerdt był przekonany, że jedzie wozem pożyczonym od Siewierskich. Musiał liczyć się z tym, że mógł nie zdążyć zatrzeć śladów. O wiele bezpieczniej było wyprowadzić chłopaka do lasu i tam go zlikwidować.

— Dziwię się, że młody Borzycki poszedł na taką niebezpieczną grę — powiedział Leśniewski. O ile się orientuję, to nie jest typ bohatera.

Downar roześmiał się.

— Bohater to on na pewno nie jest, ale nie miał innego wyboru. Jak tylko przyjechał do Warszawy, zaraz na dworcu wzięliśmy go pod swoją opiekę. Pogadałem sobie z nim tak od serca w Komendzie Miasta. W jego sytuacji trudno się było nie zgodzić. Odstawiliśmy go wozem do Kielc, gdzie pilnował go bardzo troskliwie sierżant Pakuła.

— Czy córka prokuratora Borzyckiego była zorientowana w tej całej historii?

— Nie. Uważałem to za zbyt niebezpieczne. Do akcji wciągnąłem tylko Kasię, córkę doktora Siewierskiego.

— Mielście do niej takie zaufanie?

— Zaufanie, nie zaufanie, ale miłosne listy mamusi.

— Skąd wiedzieliście, że Ewa zwróci się do córki Siewierskiej z prośbą o wypożyczenie wozu?

— Prosiłem Kasię, żeby powiedziała Ewie, iż w razie potrzeby może liczyć na ich Chevrolet. Na drugi dzień po tej rozmowie telefonował Bogdan. Nietrudno się było domyślić, jakie skojarzenia następują w umyśle dziewczyny.

— Byliście pewni, że Ewa poprosi o pomoc Weinerdta?

— Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Dziewczyna zaczynała się w nim mocno podkochiwać. A w takich wypadkach nabiera się zaufania. Zresztą nie bardzo miała komu się zwierzyć. Oczywiście, że to wszystko mogło się potoczyć zupełnie inaczej. Wtedy musiałbym montować na nowo całą historię.

— Czy nie prościej byle zaaresztować Weinerdta i postawić go w stan oskarżenia?

Downar potrząsnął głową.

— Chyba nie. Miałem trochę za mało konkretnego materiału dowodowego przeciwko niemu. Na śledztwie wyparłby się oczywiście wszystkiego i mielibyśmy trudności, a tak sytuacja została całkowicie wyjaśniona.

— Dawno zaczęliście podejrzewać Weinerdta?

— Właściwie tak na dobre zacząłem go podejrzewać od czasu, kiedy w biurku Elerta znalazłem rudę manganową, przechowywaną w słoiku po kwasie glutaminowym. Wtedy zaczęły mi się pewne fakty kojarzyć. Elert był dziennikarzem, polującym na afery gospodarcze. Weinerdt pracował w centrali handlu zagranicznego... Zaczął się kręcić koło Ewy Borzyckiej, poza tym jeździł do Krakowa i na Śląsk z brazylijską delegacją handlową, ale unikał fotografowania się przy tej okazji. Na żadnym zdjęciu nie znalazłem go. Był ostrożny, wolał się nie afiszować. Moje podejrzania pogłębiły się jeszcze bardziej po awanturze w „Bristolu”. Chłopak Ewy porządnie wtedy zmasakrował Weinerdta, a ten nie chciał go oskarżać i za wszelką cenę dążył do zatuszowania całej sprawy. Po prostu nie miał ochoty mieć do czynienia z milicją, z prokuratorem, z sądem. Ta jego wspaniałomyślna postawa ogromnie mnie za
stanowiła, tym bardziej że Weinerdt nie jest typem człowieka,

który by puszczał płazem takie rzeczy. Skojarzyłem sobie to wszystko z tą rudą znaną u Elerta, no i...

— A właśnie... co z tą rudą? — spytał Leśniewski. — Przyznam się wam, że niezbyt dokładnie orientuję się w tej sprawie.

— No to może zacznę od początku — uśmiechnął się Downar. — Duchem tej całej afery był adwokat Gerylski z Krakowa. Początkowo kombinował z Łaciakiem i za jego pośrednictwem finansował najrozmaitsze przemytnicze imprezy. Po aresztowaniu Malca przestraszył się jednak i zerwał z Łaciakiem, nawiązując kontakt z Weinerdtem, którego znał już zresztą dosyć dawno. Duża afera importowa wyglądała o wiele ciekawiej aniżeli drobne kombinacje szmuglerskie. Gerylski znał pewnego Brazylijczyka, rodem z Miechowa, który na terenie Ameryki Łacińskiej od dawna robił różne interesy. Weinerdt od razu zorientował się, że z tego rodzaju człowiekiem można zaryzykować dostawę rudy manganowej wysokoprocentowej. Cała kombinacja polegała na tym, że dostarczana ruda była o wiele mniej procentowa. Zyski z tego „interesu” szły w setki tysięcy dolarów. Trzeba było oczywiście całą imprezą dobrze zorganizować. W Gdyni Weinerdt miał opłaconych ekspertów, którzy przyjmowali towar i wystawiali fałszywe zaświadczenia stwierdzające, że procentowość rudy jest zgodna z umową handlową. Poza tym trzeba było obstawić hutę, która odbierała surowiec.

Przyjaciół i wspólnik Weinerdta, inżynier Walicz, był głównym laborantem w hucie i potwierdzał prawidłową jakość odbieranego towaru. Wszystko grało znakomicie do czasu, kiedy Elert wpadł na trop afery. Najprawdopodobniej pobrał próbkę rudy w Gdyni, a następnie zapoznał się z umową handlową. Nie zdążył jednak oddać rudy do analizy, gdyż został zamordowany przez Weinerdta.

Leśniewski pokiwał głową.

— Tak. Teraz to wszystko jest zupełnie jasne, zastanawiam się tylko nad tym, w jaki sposób Weinerdt wpadł na pomysł rzucenia podejrzeń na Borzyckiego?

— Ja też się nad tym przez pewien czas porządnie głowiłem — powiedział Downar. — Ale teraz już mi się to wyjaśniło. Była

żona Borzyckiego musiała kiedyś w rozmowie z synem wspomnieć o skłonnościach ojca do amnezji alkoholowej. Bogdan powiedział o tym swojej kochance, a ta prawdopodobnie poinformowała mecenasa Gerylskiego. Jestem przekonany, że to Gerylski wpadł na pomysł wciągnięcia do tej historii Borzyckiego. Pomysł był właściwie zupełnie niezły. Mieli w rękę prokuratora, do którego najprawdopodobniej trafiłaby ta sprawa, gdyby im się noga powinęła. Borzycki przeważnie prowadził dochodzenia w dużych aferach gospodarczych. Gerylski był w ścisłym kontakcie telefonicznym z Weinerdtem, wiedział o wyjeździe matki Bogdana do Warszawy i domyślił się, że między byłymi mal

żonkami musiało dojść do przykrej rozmowy, która Borzyckiego wyprowadziła z równowagi. A potem imieniny u Siewierskich, wódka, którą Borzyckiemu dolewała skwapliwie Teresa Bonicka.

— Ta plastyczka była kochanką Weinerdta?

— Oczywiście. To ona spiła Borzyckiego. Wykradła też z torebki Siewierskiej klucz od bramy domu, w którym mieszkał Elert, następnie, już na ulicy, Weinerdt przejął Borzyckiego, prawdopodobnie zaprowadził go jeszcze gdzieś na wódkę i do Elerta. Chodziło o to, żeby Borzycki zostawił odciski swych palców. Kiedy Weinerdt zorientował się, że Borzycki ma przy sobie pistolet, który podrzuciła mu w czasie przyjęcia imieninowego Kasia, pomysł zastrzelenia Elerta z tego właśnie pistoletu, wydał mu się wręcz genialny. Wszystko to jednak...

— Zaraz, zaraz... — przerwał Leśniewski. — Mówiliście mi kiedyś o tym, że Olszewski znalazł w torebce Elertowej fotografię Borzyckiego.

Downar skinął głową.

— To prawda. Tylko że to nie była torebka Elertowej, a Teresy Bonickiej, która zdobyła to zdjęcie po to, żeby je dać Weinerdtowi. Edward Weinerdt nie znał Borzyckiego, nigdy go nie widział, więc żeby nie było nieporozumień...

— A jednak ta fotografia nie dotarła do rąk Weinerdta.

— Najwidoczniej już to nie było potrzebne. Weinerdt wybrał

się kiedyś do prokuratury i przyjrzał się Borzyckiemu.

— No więc cóż... Jeszcze jedna sprawa pięknie rozszyfrowana. Gratuluję. Czy rzeczywiście chcecie jechać do Ciechocinka?

Downar roześmiał się.

— Nie, nie przesadzajmy. Na Ciechocinek poczekam jeszcze kilka lat. Jeżeli mi dacie urlop, to wypuszczę się do Zakopanego. Pojeżdżam sobie z Kasprowego Wierchu.

— A nie zapomnijcie zabrać ze sobą większej ilości gipsu — uśmiechnął się Leśniewski.

- Tak. - Borytcki zomylił się. - Mam wrażenie, poruczniku, że Elerto zamordował ktoś z jego otoczenia, ktoś, kogo on znał. Świadczy o tym chociażby fakt, że...

- ...Je strzelił podł w momencie, kiedy Elert był odwrócony plecami do mordercy - dokończył Olszewski.

- Właśnie. Należy przypuszczać, że do osoby nieznajomej byłby odwrócony twarzą.

- Chyba żeby ktoś niepostrzeżenie zakradł się do mieszkania, ale to raczej wątpliwe. Mnie się zdaje, panie prokuratorze, że sytuacja wyglądała mniej więcej w ten sposób: Elerto odwiedzili jacyś jego znajomi czy przyjaciele, posiedzieli u niego, prawdopodobnie coś wypili. Świadczy zresztą o tym kilka kszki i butelki po trunkach. Następnie całe towarzysstwo wyszło. Został tylko morderca.

